



Dziennik Bałtycki

77 lat

REJSY

- Budowa silnego koncernu wymaga konsolidacji polskich spółek paliwowo-energetycznych oraz ekspansji geograficznej
- mówi Daniel Obajtek

Strony 14-15

ZAWSZE W PIĄTEK:
dodatek
TELEWIZYJNY, KRZYŻÓWKA
i twój lokalny
TYGODNIK

Ludzie znikąd, czyli skąd się wzięła eurolewica

Strona 16

W CIENIU IMPERIUM PUTINA

Rejsy

strony 20-21

Prezydent Rosji mógł już zająć zbyt daleko na ścieżce wojny z Ukrainą, aby teraz się wycofać i zachować twarz – mówią eksperci. Konflikt wisi na włosku, bo imperialnym celem Putina jest stworzenie strefy wpływów w obrębie państw byłego ZSRR oraz państw buforowych w Europie Wschodniej. – Sytuacja jest bardzo trudna. Nie straszę bez powodu. Mimo olbrzymiego zaangażowania świata – NATO, Amerykanie, Unia Europejska – nie ma ani kroku do tyłu po stronie rosyjskiej. Ponad sto tysięcy żołnierzy rosyjskich stoi na granicy z Ukrainą, gotowych do użycia broni w każdej chwili – mówi Witold Waszczykowski, były minister spraw zagranicznych.



Magazyn Rejsy



Blitzkrieg dronów, czyli jakie może być pole walki przyszłości

strony 6-8

Przyroda

Zbieracze poroża zagrażają jeleniom w pomorskich lasach

strony 9-10

Ludzie

Gdy wiatr mocniej wieje, sołtys Mokrego Dworu pilnuje wiatraka

strony 18-19

Dziś dodatek telewizyjny



Pracodawca, pracownik i wiedza o szczepieniach. „Segregacja sanitarna” czy konieczność

Artur Kielbasiński
redaktor naczelny



Komentarz

Powstaje projekt ustawy pozwalającej pracodawcom weryfikować fakt zaszczepienia pracowników. Część środowisk protestuje, pracodawcy popierają takie rozwiązania. I trzeba powiedzieć jasno - mają rację.

Dostęp do danych medycznych, w tym danych dotyczących szczepień, jest niewątpliwie kwestią bardzo drażliwą i musi być regulowana przez państwo z ogromną ostrożnością. Wiedza o chorobach i stanie zdrowia poszczególnych osób, w tym przypadku pracowników, obejmuje bowiem prawo do tajemnicy, jest chronionym prawem dobrem osobistym. Wypływ takich informacji może bowiem uderzać w zainteresowanego i jego sytuację życiową. Z drugiej strony za normalne uważamy badania okresowe, w tym także badania specjalistyczne. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie kwestionował potrzeby specjalnych badań kierowców. Nikt poważny nie kwestionuje też testów psychologicznych, którym poddawani są np. policjanci. Nikt nie kwestionuje specjalnych oczekiwań zdro-

wotnych stawianych strażakom. Można oczywiście zakładać, że to zawody „specjalne”. Ale trzeba też założyć, że czasy mamy „specjalne”. I w tym zakresie trzeba specjalnych, przejściowych rozwiązań.

W Polsce nie mamy obowiązku szczepień, mamy za to nałożony na pracodawców obowiązek zorganizowania działania przedsiębiorstwa w taki sposób, by zapewnić pracownikom bezpieczne środowisko pracy. Bez podstawowej wiedzy o zaszczepieniu lub jego braku to niemożliwe. W takiej sytuacji ewentualne restrykcje obowiązywać muszą wszystkich pracowników, co jest absurdalne.

W obecnym stanie prawnym pracodawca nie ma możliwości takiej organizacji pracy, która byłaby racjonalna, np. skierowania do bezpośredniej obsługi klientów tylko pracowników zaszczepionych. Albo skierowania osób niezaszczepionych do pracy niewymagającej stałego kontaktu z klientami i innymi pracownikami.

Kolejną konsekwencją obecnych przepisów i braku możliwości podziału obowiązków według kryterium zaszczepienia jest ryzyko wyłączenia z produkcji całej firmy, gdy dojdzie do rozprzestrzenienia się wirusa. Myśląc o firmach, musimy bowiem pamiętać nie tylko o nowoczesnych biurach, gdzie pracownika kieruje się na pracę zdal-

ną. Polska jest krajem o względnie dobrze rozwiniętym przemyśle. A w tej branży konsekwencje rozprzestrzenienia się pandemii mogą być znacznie poważniejsze niż w korporacjach i firmach opartych na pracy biurowej. W skrajnych przypadkach może dochodzić do wygaszania produkcji i potężnych strat rynkowych zagrażających istnieniu firmy. I w tym kontekście dostęp do danych to żadna „segregacja sanitarna”. To prawo pracodawcy do możliwie skutecznej organizacji pracy.

Organizacja procesu weryfikacji szczepień powinna zapewnić maksymalną anonimowość z punktu widzenia pracownika, w tym zakresie odpowiedzialność za poufność danych obciążać musi pracodawcę. Organizacja pracy w firmie powinna być wypracowana przy uwzględnieniu postulatów pracowniczych, np. poprzez udział związków zawodowych lub przedstawicieli załogi, ale bez ich dostępu do wrażliwych danych poszczególnych osób. No i w końcu trzeba napisać jasno - takie rozwiązanie musi być przejściowe. Nie na zasadzie „kiedyś uchylimy ten przepis”, ale poprzez wpisanie wprost czasu obowiązywania przepisu w ustawie. Ustawę można wprowadzić zawsze zmienić, ale taka zmiana byłaby poprzedzona dyskusją, miejmy nadzieję - merytoryczną. ©P

W weekend raczej ponuro, ale bez ostrej zimy

Prognozy przewidują pogodę - jak na tę porę roku - dość umiarkowaną. Nie będzie ani silnych mrozów, ani dużych opadów śniegu. Czekają nas ponura aura, choć w piątek można się spodziewać okresowych przejaśnień. W niektórych rejonach Pomorza może lekko poproszyć śnieg. W sobotę - niestety - dość ponuro i depresyjnie. Uczucie chłodu potęgować będzie wilgoć i północny wiatr, choć nie powinno być już silnych podmuchów. Podobna pogoda czeka nas w niedzielę: przez cały dzień możliwe okresowe opady deszczu ze śniegiem. W nocy przymrozki, więc rano uważajmy: będzie ślisko. Podobna pogoda - z lekkimi przymrozkami i opadami deszczu ze śniegiem - czeka nas też na początku przyszłego tygodnia.

Sobota

Magazyn Rodzinny

Dziadkowie i wnuki mogą się od siebie wiele nauczyć - trzeba tylko chcieć



Sobota

Co słychać u gwiazd

Irena Santor, legenda polskiej piosenki, ma w sobie siłę i pokorę



Sobota

Sprawdzone przepisy

Pyszne zupy kremy nie tylko nasycą, ale też rozgrzeją zimową porą



Pogoda na weekend

Piątek

1°C
-1°C



Wiatr
płn.-zach.
24 km/h
Uwaga
Zachmurzenie duże,
możliwe
przejaśnienia

Sobota

2°C
-1°C



Wiatr
płn.
18 km/h
Uwaga
W regionie
pochmurno, możliwe
opady śniegu

Niedziela

2°C
-2°C



Wiatr
płn. - zach.
17 km/h
Uwaga
Możliwe okresowe
opady deszczu ze
śniegiem

WAŻNE TELEFONY:

800 190 590

- numer infolinii NFZ dotyczącej postępowania w sytuacji podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

- telefon alarmowy WSSE - służby do powiadamiania o nagłych sytuacjach zagrożenia sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

- infolinia w sprawie koronawirusa czynna w dni powszednie od 7.0 do 15.00

NOTOWANIA W KANTORACH

20.01.2021

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattan, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

USD	<< 393/408 >>
EUR	<< 446/461 >>
SEK	>> 427/442 >>
GBP	<< 536/551 >>
CHF	<< 428/443 >>

KantorMax, Gdańsk, ul. Jagiellońska

USD	<< 393/408 >>
EUR	<< 446/461 >>
SEK	>> 427/442 >>
GBP	<< 536/551 >>
CHF	<< 428/443 >>

USD - dolar amerykański, EUR - euro, SEK - korona szwedzka, GBP - funt brytyjski, CHF - frank szwajcarski, << - spadek ceny do dnia poprzedniego, >> - wzrost ceny, ● - bez zmian

za 100 jednostek

DYŻURNY „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

facebook.pl/dziennikbaaltycki.pl
mail: stanislaw.balicki @
polskapress.pl

Dzisiaj jestem dyżurnym reporterem i czekam na Państwa telefony i mejle.

Pracuję w dziale publicystyki „Dziennika Bałtyckiego”.

Stanisław Balicki

502 339 105



32 tys. zakażeń Piąta fala się rozpędza

Pandemia

„Mamy 32 tys. 835 nowych i potwierdzonych przypadków zakażenia koronawirusem. Z powodu COVID-19 zmarło 78 osób, z powodu współistnienia COVID-19 z innymi schorzeniami zmarło 237 osób” - podał wczoraj resort zdrowia. W Gdańsku zaczął już działać szpital tymczasowy.

Najnowsze zakażenia pochodzą z województw: mazowieckiego (5863), śląskiego (4971), małopolskiego (3653), dolnośląskiego (2789), wielkopolskiego (2396) i pomorskiego (2145). Piąta fala pandemii, jak mówi minister Adam Niedzielski, stała się faktem. - W szpitalach przebywa 13 tys. 770 pacjentów z COVID-19, w tym 1297 chorych podłączonych do respiratorów - podało w czwartek Ministerstwo Zdrowia. Dla pacjentów z COVID-19



przygotowano 30 tys. 175 łóżek i 2735 respiratorów.

W Gdańsku ruszył w środę szpital tymczasowy.

- W województwie jest 1199 łóżek „covidowych”, w tej chwili mamy zajętych 770 łóżek, reszta jest wolna - mówił w środę dr Jerzy Karpiński, dyrektor wydziału zdrowia Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego. - Uruchamiany szpital tymczasowy dysponuje 300

miejskami. Dodatkowo planujemy otwarcie szpitala w Kościerzynie z dalszymi 300 łóżkami. Ponad tysiąc łóżek będzie w gotowości dla zakażonych wariantem omikron wirusa - informuje dyrektor wydziału zdrowia PUW.

Organizacja „covidowej” części szpitala w Kościerzynie została przyspieszona w stosunku do tego, co Jerzy Karpiński mówił nam jeszcze tydzień temu. Kalkulacje miejsc potrzebnych dla przewidywanych hospitalizacji nie dają zbyt szerokiego marginesu bezpieczeństwa.

- Biorąc pod uwagę wariant Omikron, objawy zachorowania wystąpią w ciągu 3-4 dni. Po tym czasie będziemy mieli znaczny przyrost przyjęć do szpitala. Spodziewamy się na Pomorzu w ciągu miesiąca ponad tysiąc przyjęć - przewiduje Jerzy Karpiński.

Stanisław Balicki

KALENDARIUM

1504

Z prywatną wizytą przybył do Gdańska Mikołaj Kopernik.

1628

W kościele Mariackim pochowano rzeźbiera Wilhelma van den Blocka, działającego w Gdańsku od 1584 roku, będącego autorem kamieniarki Bramy Wyzwolenia, wielu kamieniczek oraz nagrobków.

1906

W Tucholi urodził się Stanisław Lesiowski, ps. Las, komendant Okręgu Kościńskiego Polskiej Armii Powstania i Obwodu Kościerzyna AK, więzień Stutthofu, w którym został stracony 26.07.1944 r.

1947

W grudniu w powiecie kwidzińskim osiedliło się 6 rodzin repatriantów - informuje „Dziennik Bałtycki”.

1949

Gazownia Miejska przewiduje, że 700 latami gazowych oświecili So-

pot, staną one tam, gdzie nie można zastosować oświetlenia elektrycznego.

1950

Dom Starców w Kolibkach został przeznaczony na dom przejściowy dla bezdomnych, walczących się po Wybrzeżu ludzi - pisze „Dziennik Bałtycki”.

1959

Słynna domniemana... katastrofa UFO w Gdyni. W kierunku basenu nr IV przy Nabrzeżu Polskim w porcie, o godz. 6.00 nadleciał płaski, świecący na pomarańczowo obiekt. Po rozbiciu się z hukiem otaflę wody widać było chmurę pary wodnej - relacjonują świadkowie.

1993

W nocy z 21 na 22 stycznia siła wiatru przekroczyła 12 stopni w skali Beauforta (tzn. 35 m/sek.). Padły drzewa, a energetycy nie nadążali z naprawą uszkodzonych linii. Przerwane zostało między innymi połączenie drogowe między Chałupami a Helem.

(GRAN)

SONDAŻ

Chęć głosowania na Zjednoczoną Prawicę zadeklarowało 34 procent badanych, na KO chce głosować 27 proc. respondentów. Z kolei Polska 2050 cieszy się poparciem 12 proc. respondentów. Na Konfederację wskazało 11 proc. badanych, Lewicę popiera 10 proc. TAK WYNIKA Z BADANIA SOCIAL CHANGES NA ZLECENIE WPOLITYCE.PL.

POWIEDZIELI

W każdej chwili moglibyśmy żądać powołania komisji śledczej do sprawy marszałka Senatu, Tomasza Grodzkiego. Uważam, że komisja ds. Pegasus to ucieczka do przodu grupy senatorów, którzy chcą odwrócić uwagę od rzeczywistego problemu, czyli wykręcania się marszałka Grodzkiego od rozwiązania sprawy wniosku o uchylenie jego immunitetu

Ryszard Terlecki w rozmowie z Lidią Lemaniak (polskatimes.pl)



„Ukraina ma nasze polityczne wsparcie” - zapewnia szef MON. Trwają rozmowy na szczycie w Wiśle

Warszawa
Małgorzata Puzyr
m.puzyr@polskatimes.pl

- Polska jest bezpieczna. Polski rząd robi wszystko, aby tak było - mówił w „Jedynce” Polskiego Radia szef MON Mariusz Błaszczak.

Dzisiaj w Wiśle kontynuowane są rozpoczęte wczoraj konsultacje między prezydentami Polski Andrzejem Dudą i Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim. Ich tematem jest szeroko pojęta sytuacja bezpieczeństwa w naszym regionie i zagrożenia płynące ze strony Rosji.

- Celem tych konsultacji jest, przede wszystkim, polityczne wsparcie, jakiego udziela Polska Ukrainie - mówił w czwartek w „Jedynce” Polskiego Radia minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak.



Minister Mariusz Błaszczak zapewnia, że NATO jest silniejsze od Rosji

Jak zapewnił, jest w stałym kontakcie ze swoim odpowiednikiem na Ukrainie.

Pytany o działania ze strony Polski w przypadku konfliktu zbrojnego na Ukrainie, Błaszczak stwierdził, że „najważniejsze jest

to, żeby wykazać jedność w formacie sojuszu”.

- Mamy wszyscy świadomość tego, że Sojusz Północnoatlantycki jest silniejszy od agresora, jakim jest Rosja. Jest to sojusz obronny, przez jego rozwija-

nie odstraszamy agresora - zaznaczył minister obrony. - Agresywna polityka rosyjska to nie jest coś nowego. Ważna jest reakcja, właściwa reakcja - podkreślił.

Mariusz Błaszczak był również dopytywany, czy w kontekście imperialnych skłonności Rosji Polska jest bezpieczna. Jak zapewnił, polski rząd robi wszystko, aby tak było.

- Wzmacniamy zdolności obronne Polski, jest przygotowana ustawa o obronie ojczyzny, która zapewnia finansowanie rozwoju wojska, mamy gwarancje w ramach NATO i dwustronne w ramach współpracy z USA. Mamy wypracowane sposoby w krótkim czasie zwiększenia amerykańskich wojsk w naszym kraju. Żołnierze amerykańscy na co dzień ćwiczą z polskimi żołnierzami, budując interoperacyjność - mówił minister.

KRÓTKO

Warszawa
Polski żołnierz ranny na granicy z Białorusią

Jak przekazała Straż Graniczna, na granicy polsko-białoruskiej doszło do kolejnego groźnego incydentu. Ucierpiał żołnierz Wojska Polskiego, który został uderzony kamieniem w głowę. Trafił do szpitala. Z raportu Straży Granicznej wynika, że 19 stycznia 2022 r. granicę polsko-białorską próbowało przekroczyć 38 osób - to obywatele Iraku, Gwinei, Pakistanu, Syrii i Indii. (TD)

Warszawa
Będzie nowy przedmiot w szkołach

- Chcemy, aby od 1 września 2023 roku podstawy przedsiębiorczości zostały zastąpione nowym przedmiotem: biznes i zarządzanie - poinformował minister edukacji Przemysław Czarnek. - 60 godzin lekcyjnych zajęć związanych z ekonomią i finansami w ciągu 12 lat edukacji to zdecydowanie za mało - przyznał minister. (TD)

Warszawa
Sejm. Czy powstanie komisja śledcza ds. podsłuchów?

- Dałem zielone światło. Rozmawiałem długo z posłami i posłami naszego klubu. Mogę powiedzieć, że pod wnioskiem o powołanie komisji śledczej (ws. Pegasus - przyp. red.), znajdują się podpisy nie tylko PO, ale także Pawła Kukiza i jego grupy, Lewicy, Polski 2050 i Konfederacji, a także PSL - powiedział szef Platformy Obywatelskiej, Donald Tusk. W ubiegłym tygodniu Paweł Kukiz poinformował Polską Agencję Prasową, że jego ugrupowanie ma gotowy wniosek w sprawie powołania komisji śledczej w sprawie podsłuchów w latach 2007-2021. Szef PO dodał, że nie ma pojęcia, jak zachowa się PiS. W środę w Polsat News Kukiz powiedział, że projekt uchwały miałby objąć także lata 2005-2006, co skłoniło PSL do wsparcia. Aby wnieść projekt uchwały o powołaniu komisji śledczej należy zebrać podpisy co najmniej 46 posłów. (TD)



CZYTAJ

NASZA
HISTORIA

naszahistoria.pl



Globalne ochłodzenie i piękne zachody słońca. Takie będą skutki wybuchu wulkanu na Pacyfiku

Tomasz Chudzyński
tomasz.chudzynski@
polskapress.pl



Rozmowa

Trwającym dwa lata ochłodzeniem temperatury na Ziemi, a także pięknymi zachodami słońca może skutkować niedawny wybuch wulkanu na Pacyfiku – wynika ze słów prof. Jacka Piskozuba, oceanografa z Instytutu Oceanologii Polskiej Akademii Nauk.

Wybuch wulkanu Hunga Tonga-Hunga-Hapai w pobliżu Wysp Tonga doprowadził do skażenia wód Oceanu Spokojnego. To poważne zagrożenie dla ekosystemu w tamtym regionie?

Erupcja tego wulkanu jak najbardziej będzie wpływać na jakość wód, skoro warstwa tzw. tefry, jak nazywa się wulkaniczny popiół, licząca co najmniej kilka centymetrów, pokryła nie tylko wyspę, w pobliżu której doszło do wybuchu, ale także dno oceanu. Ona może się również w wodzie rozpuścić. Tefra zawiera ciężkie metale, więc możemy mieć do czynienia z przejściowym zakłóceniem jakości środowiska oceanicznego. Warto zauważyć, że popiół jest czynnikiem użyźniającym, choć to nie jest do końca pozytywne zjawisko w kontekście mórz, w przeciwieństwie do łąd.

Tzw. eutrofizacja może prowadzić do wykwitów różnego rodzaju organizmów. Mam na myśli głównie sinice, mające niekorzystny wpływ na inne organizmy. One nauczyły się doskonale truć.

Wybuch był widoczny na zdjęciach satelitarnych i był przerażającą emanacją potęgi natury. Pióropusz dymu i pyłu wznosił się na wysokość 20 km. Wydaje się, że tak wielki wybuch musiał mieć efekt globalny...

I wiele wskazuje, że będzie miał globalny efekt klimatyczny na całej Ziemi. Nie mam wiedzy, ile wybuch wyniósł pyłów do atmosfery, ale po erupcji wulkanu Pinatubo [na wyspie Luzon w 1991 r. - red.] mieliśmy na Ziemi dwa chłodniejsze lata. Średnia temperatura była okresowo obniżona. Zatem jeśli liczba pyłów z wybuchu wulkanu w okolicach Archipelagu Tonga byłaby porównywalna do Pinatubo, mieliśmyby oddech w globalnym ociepleniu. Tu również mam pewne wątpliwości, bo stanie się to argumentem dla sceptyków podważających zmiany klimatu. Już słyszę głosy: „gdzie wasze globalne ocieplenie” i „nic nie trzeba robić”. Ale po krótkim okresie proces ogrzewania Ziemi wróci do nas z pełną mocą. Bo owo ochłodzenie byłoby zjawiskiem przejściowym.



Moment wybuchu wulkanu na zdjęciu z satelity

Czy mógłby pan wyjaśnić mechanizm „schładzania” ziemskiej temperatury? Pyły nie zasłonią przecież nieba, nie odetną nas od promieni słonecznych...

Drobiny pyłu odbijają po prostu światło słoneczne, a są one w stanie utrzymać się w stratosferze ziemskiej około 2-3 lat. Nie wpływają na obecność gazów cieplarnianych, ale jeśli promieni słonecznych dociera mniej, to automatycznie jest chłodniej. Pomiary wskazują, że kolejny rok po wybuchu wulkanu Pinatubo był chłodniejszy na Ziemi o 0,3, a nawet 0,4 st. C. W 1815 r. po wybuchu wulkanu Tambora w Indonezji mieliśmy tzw. rok bez lata. Wówczas w Kanadzie i Nowej

Anglii śnieżyce występowały w lipcu i sierpniu. Na polach nic nie urosło, nie było żadnych zbiorów. Wówczas pyły było w stratosferze jednak znacznie więcej, skala zjawiska była nieporównywalna do obecnej sytuacji. Natomiast będziemy mieli na pewno, wiosną i latem, piękne, pełne czerwieni, zachody słońca, może nawet takie jak Joseph Turner albo inni malarze angielscy malowali w XIX w. po wybuchu wulkanu Krakatoa.

To też efekt wulkanu?

Pyły tropikalnych wulkanów rozchodzą się na północ i południe. Co ciekawe, to po ich osadach w lodzie na Grenlandii i Antarktydzie

jesteśmy w stanie datować historyczne wybuchy wulkanów. Jeśli cząstki są takie same po obu stronach globu, to mamy pewność, że pochodzą z erupcji w strefie tropikalnej. Ślady tego niedawnego też będziemy obserwować w lodzie. Spodziewam się zatem, że pyły z wulkanu z okolic Tonga dotrą do naszych szerokości geograficznych. Jeśli nawet efekt klimatyczny tej erupcji będzie krótkotrwały, to będzie na pewno widoczny, właśnie w postaci zachodów słońca. To skutek „pociemnienia” stratosfery.

Był pan zaskoczony skalą wybuchu?

Są doniesienia, że wybuch rozerwał jedną z wysp Archipelagu Tonga. Obserwowaliśmy zjawisko podobne do tego z 1883 r. na wyspie Krakatoa, które jest uznawane za największy odnotowany wybuch wulkanu w dziejach. Na pewno mamy kandydata do największego wybuchu wulkanu w XXI wieku. Poczekajmy na ocenę jego siły. Wydaje się, że była ona dość duża i może się okazać, że przewyższa skalę erupcji Pinatubo, która była najsilniejszą w XX w. Wiemy, że fala ciśnienia po ostatnim wybuchu na razie dwukrotnie okrążyła Ziemię (jedno okrążenie zajmuje około 30 godzin) i spodziewać się należy trzeciego okrążenia. Fala po wybuchu Pinatubo była widoczna cztery razy w po-

miarach ciśnienia. Niemniej należy powiedzieć, że kolejne wybuchy wulkanów o znacznej większej sile są w przyszłości możliwe.

Pomiary wskazują po niedawnym wybuchu na podniesienie poziomu wód, również u wybrzeży państw Europy – w Hiszpanii i Portugalii.

Chodzi przede wszystkim o efekt tsunami, odczuwalny głównie wokół basenu Pacyfiku. Nie miało ono może znaczącej siły, niemniej spowodowało śmierć kilku osób i poważne straty materialne.

Niedawna wichura w Polsce nie była związana z wybuchem wulkanu na Pacyfiku. Niemniej w Polsce zanotowaliśmy jedno z najwyższych podmuchów w Europie, w tym na Bałtyku...

To prawda. Natomiast, co ciekawe, poprzedni sztorm, ten sprzed weekendu, był wywołany przez wyż baryczny, a nie jak zazwyczaj ma to miejsce przez niż. To się wcześniej zdarzało, natomiast obserwujemy coraz większą ich częstotliwość. Niemal huraganowe wiatry przy wyżu mieliśmy w roku 2018 i obecnie. Być może wskazuje to na coś, na co trzeba się przygotować, że sztormy, o sile nawet „dwunastki” w skali Beauforta, na otwartym Bałtyku będą występować zarówno w czasie niżu, jak i wyżu.

16 lutego posiedzenie sądu w sprawie zabójstwa prezydenta Gdańska

Gdańsk

Stanisław Balicki
stanislaw.balicki@polskapress.pl

Oskarżony o zabójstwo prezydenta Gdańska Stefan W. nie zostanie doprowadzony na posiedzenie. Będzie ono poświęcone sprawom organizacyjnym procesu. Ten ruszy prawdopodobnie w kwietniu, jak informuje адвокат oskarżonego.

Gdański Sąd Okręgowy wyznaczył termin niejawnego posiedzenia na 16 lutego. Wezmą w nim udział jedynie prokurator, obrońca oskarżonego oraz oskarżyciele posiłkowi. Stefan W. nie zostanie doprowadzony z aresztu.

- Sąd będzie organizował przebieg rozprawy, czyli będzie wskazywał na kolejność dowodów, które będą przeprowadzane, ewentualnie strony będą miały możliwość złożenia dal-

szych wniosków dowodowych poza tymi, które są zawarte w treści aktu oskarżenia złożonego przez prokuraturę - wyjaśnił w Radiu Gdańsk mec. Marcin Kminkowski, адвокат oskarżonego.

Nie wiadomo, czy na posiedzeniu zostanie poruszona kwestia jawności procesu. Nie wiadomo też, kiedy proces ruszy. Obrońca Stefana W. przewiduje, że będzie to kwiecień. Po lutowym posiedzeniu sprawa się wyjaśni.

- Taki jest cel posiedzenia przygotowawczego w trybie art. 349 Kodeksu postępowania karnego. Wtedy ustalamy sobie terminy rozpraw tak, żeby m.in. uniknąć kolizji terminów procesowych obrońców bądź pełnomocników - mówił mec. Kminkowski.

Akt oskarżenia w sprawie zabójstwa Pawła Adamowicza wpłynął do gdańskiego sądu 10 grudnia 2021 roku. Oskarżo-



Możliwe, że proces Stefana W. rozpocznie się w kwietniu br.

nemu Stefanowi W. zarzucono dokonanie zabójstwa „w zamierze bezpośrednim w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie”. Oskarżonemu zarzucono również popełnienie przestępstwa zmuszania innej osoby do okre-

ślonego zachowania. Oba przestępstwa oskarżony dopuścił się w warunkach powrotu do przestępstwa, a w chwili ich popełnienia miał ograniczoną poczytalność - podała prokuratura. Przestępstwo zabójstwa z motywacji zasługującej na szczególne

potępienie zagrożone jest karą pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 12, karą 25 lat pozbawienia wolności albo karą dożywotniego pozbawienia wolności. Wobec sprawcy, który w chwili czynu miał ograniczoną poczytalność sąd może

zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary.

Przypomnijmy. 13 stycznia 2019 roku podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej pomocy Paweł Adamowicz został zaatakowany przez napastnika, który wtargnął na scenę na Targu Węglowym. Mężczyzna kilkakrotnie ugodził nożem prezydenta Gdańska. Reanimacja trwała blisko godzinę, operacja w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym godzin pięć. Adamowicza nie udało się uratować, zmarł następnego dnia.

Wdowa po prezydencie Gdańska i jego brat, obecnie politycy i parlamentarzyści Koalicji Obywatelskiej, żądają jawności procesu, szukając u sprawcy motywacji politycznych. Matka sprawcy uważa, że jej syn, u którego zdiagnozowano schizofrenię paranoidalną jeszcze podczas odsiadki wyroku za napady na banki, sam jest ofiarą nieszczęścia. ©©

Orlen Team w komplecie na mecie Dakaru. Kamil Wiśniewski wjechał na podium

Tegoroczny zakończony już Dakar to osiem tys. km bezdroży Arabii Saudyjskiej do pokonania w 12 dni. Wyzwania podjęło się 1065 zawodników. Wśród nich cztery załogi Orlen Teamu, który w Dakarze bierze udział nieprzerwanie od 23 lat. Po raz pierwszy jedna z nich stanęła na podium legendarnej rywalizacji. Konkretnie to jadący na quadzie Kamil Wiśniewski.

Tegoroczna rywalizacja w Arabii Saudyjskiej (trzecia z rzędu po przeniesieniu rajdu z Ameryki Południowej) była dla Kamila Wiśniewskiego szóstym Dakarem w karierze. Wszystkie ukończył. W debiucie w 2017 r. był dziesiąty, rok później 13. W kolejnych latach robił stały progres. Od 2019 r. dojeżdżał szósty, piąty i rok temu czwarty.

- Czy nadszedł czas na podium? - pytaliśmy przed startem rajdu 39-letniego kierowcę quada. - Tak, zdecydowanie. W poprzednich latach liczyło się przede wszystkim zebranie doświadczeń i dojechanie do mety. Ten etap już za mną. W najbliższej edycji interesuje mnie tylko podium. Jak zapowiadał, tak zrobił, zajmując trzecie miejsce. - Plan wykonałem. Cieszę się tym bardziej, że jestem pierwszym zawodnikiem Orlen Teamu, któremu udało się to osiągnąć i nie było to moje ostatnie słowo - zadeklarował już po rywalizacji quadowiec z Wyszkowa, który jest trzecim Polakiem na podium rajdu uznawanego za najtrudniejszy na świecie. Droga po brązowego Beduina dla Wiśniewskiego nie była usłana różami. Wprawdzie w 12-etapowym rajdzie trzy razy stał na podium odcinków, ale po raz pierwszy (na drugim stopniu) dopiero na piątym etapie. Wcześniej dojeżdżał szósty, piąty, siódmy, a nawet ósmy. - Na początku rajdu miałem pewne problemy z osiągnięciem maksymalnych obrotów w moim quadzie. Przebiłem cztery koła. Dostosowanie ustawień maszyny do kamienistych odcinków też trwało kilka dni - wspominał quadowiec, który jechał pojazdem, który budował z zespołem niemal od podstaw, z napędem na tylną oś. - W drugiej części rywalizacji wszystko funkcjonowało już bardzo dobrze - ocenił Wiśniewski, który na trzecie



miejsce w klasyfikacji generalnej awansował po ósmym etapie, a przypieczętował je dwoma ostatnimi odcinkami, które ukończył z drugim czasem. Jak zapowiedział na mecie, trzecie miejsce w Dakarze nie jest jego ostatnim słowem. Co dalej? - Przed nami dużo pracy. Za chwilę zaczynamy zamawiać części i budować quad na kolejną edycję rajdu. W 2023 roku pojadę z myślą o tym, żeby znowu poprawić swoją pozycję. Nie udałoby mi się tego zrobić bez całego zespołu. Ja startuję, ale to oni każdego dnia na Dakarze, ale też przez cały rok dopracowują sprzęt, tak żebym mógł rywalizować z najlepszymi zawodnikami na świecie - zwrócił uwagę pierwszy kierowca w 23-letniej dakarowej historii Orlen Team, który stanął na podium najtrudniejszego rajdu na świecie. Rywalizację wygrał Francuz Alexandre Giroud przed Argentyńczykiem Francisco Moreno. Do zwycięzcy Polak miał stratę blisko dwie i pół godziny, od drugiego był wolniejszy od niewiele ponad sześć minut. Na „pułdo” nie wjechał, choć miał taki zamiar, Jakub Przygoński. Kierowca Orlen Teamu w parze z niemieckim pilotem Timo Gottschalkiem zajęli szóste miejsce. Przez część rajdu mieli problemy ze

swoim nowym autem Mini Buggy, które - wydawało się przed rywalizacją - miało być czymś, co przesądzi o zajęciu wymarzonego miejsca. - Przez cały rajd brakowało nam prędkości w aucie, ale z tym nic nie mogliśmy zrobić. Mieliśmy z Timo kilka sytuacji podbramkowych, lecz ze wszystkich wyszliśmy obronną ręką. Generalnie jesteśmy zadowoleni - podsumował swój 13. Dakar 36-letni Przygoński, którego tegoroczna krzywa wyników przypomina elektrokardiogram. Jednego dnia był ósmy, dwa dni później szósty, ale w międzyczasie dojechał 32. - Pękło nam mocowanie od drążka zmiany biegów, przez dłuższy czas nie mogliśmy ich zmieniać. Na szczęście nie była to skrzynia biegów i udało nam się to naprawić. W pewnym momencie wyglądaliśmy na trasie z Timo jak w filmie MacGyver - mimo wszystko pozostawał w dobrym humorze Przygoński, któremu na pocieszenie pozostało zwycięstwo w klasyfikacji aut tylnonapędowych. - Ten Dakar, jak każdy inny, zapamiętam jako ekstremalnie ciężki. Rywalizacja w naszej klasie, gdzie jadą legendy światowego motorsportu, zawsze jest bardzo zacięta. To miłe uczucie być między takimi zawodnikami jak Carlos Sainz



czy Sebastien Loeb, rywalizować z nimi i wygrywać - podsumował warszawiak, który ma za sobą siódmy Dakar przejechany w aucie, we wcześniejszych sześciu startował na motocyklu. W barwach Orlen Teamu startował też czeski duet Martin Prokop i Viktor Chytka. Znakomicie rozpoczęli tegoroczną rywalizację swoim Fordem Rap-torem. Na pierwszym etapie stanęli na podium i przez długi czas utrzymywali miejsce w pierwszej dziesiątce klasyfikacji generalnej. Na dziesiątym etapie przez problemy techniczne stracili do czołówki ponad cztery godziny. Cały rajd ukończyli na 25. pozycji. Triumfował, już po raz czwarty w karierze, Katarczyk Nasser Al-Attiyah. Podium uzupełnili Francuz

Sebastien Loeb i Saudyjczyk Yazeed Al-Rajhi. Natomiast wśród motocyklistów 18. miejsce zajął Maciej Gienza. Był blisko wyrównania swojego najlepszego wyniku, jaki osiągnął dwa lata temu, gdy był 17. Niewykluczone, że by go nawet poprawił, gdyby nie kłopoty nawigacyjne na początku rywalizacji. Na pierwszym etapie, razem z kilkunastoma zawodnikami, zgubił trasę i ze stratą kilkudziesięciu minut dojechał do mety dopiero na 43. pozycji. Później systematycznie piął się w górę. Dziesiąty odcinek zakończył na ósmym miejscu, najlepszym w jego dotychczasowej karierze. W najlepszej dziesiątce był także dzień wcześniej. - W pierwszym tygodniu

rajdu adaptowałem się do warunków pustynnych, a w drugim to przyniosło efekty - wspominał 26-letni motocyklista z Piekoszowa koło Kielc, który od listopada przygotowywał się do rajdu m.in. w Dubaju. - Kilka razy dojeżdżałem w pierwszej dziesiątce i dawało mi to motywację do kolejnych etapów. Żartuję, że ten rajd mógłby trwać dla mnie kolejny miesiąc, wtedy moja pozycja byłaby jeszcze lepsza - uśmiechał się. 44. edycję Dakaru w kategorii motocykli wygrał (drugi raz w karierze) Brytyjczyk Sam Sunderland. Drugie miejsce zajął Pablo Quintanilla z Chile, a trzeci był Austriak Matthias Walkner. Gienza, mimo wszystko, miał powody do zadowolenia ze względu na przygody w poprzedniej edycji. Zakończył ją przedwcześnie, w trakcie dziewiątego etapu. Było to konieczne, ponieważ uległ poważnemu wypadkowi, po którym zerwał więzadła w barku i złamał kość w stopie. Przed startem w tym roku zapowiadał, że chce wyrównać rachunki z Dakarem i to mu się udało. Miniony Dakar był dla niego piątym, ale trzecim ukończonym. Dojazd do mety legendarnego rajdu to coś, co należy docenić. A to udało się całemu Orlen Teamowi. - Sukcesy polskich sportowców, szczególnie tych wspieranych przez PKN Orlen, są zawsze powodem do satysfakcji - podsumował prezes polskiego koncernu Daniel Obajtek i dodał: - Wspierają też biznesową działalność firmy, bo zwiększają rozpoznawalność marki Orlen. To bezpośrednio przekłada się na wyniki sprzedaży. Do tego osiągamy konkretny zwrot z naszych inwestycji w sport. Tylko w 2020 roku łączny ekwiwalent reklamowy, wynikający z naszej działalności sponsoringowej w obszarze sportu i kultury, wyniósł niemal 800 mln zł. Dakar w 2021 roku był relacjonowany przez 70 stacji telewizyjnych docierających do 190 krajów na całym świecie. Transmisje telewizyjne łącznie ponad 1200 godzin, a na oficjalnych kanałach Dakaru w mediach społecznościowych odnotowano ponad 135 mln odsłon publikowanych materiałów. Tegoroczne wyniki zostaną opublikowane wkrótce.

Daniel Obajtek mówi m.in.
o polskim sektorze paliwowym
str. 14

Witold Waszczykowski
o relacjach Rosji i USA
str. 20

Lekarze rodinni. Na pierwszej
linii frontu walki z pandemią
str. 24-25

rejsy

Tomasz Chudzyński
tomasz.chudzynski
@polskapress.pl



Konflikty zbrojne

Ormiańscy żołnierze byli prze-
rażeni, gdy słyszeli dźwięk sil-
ników azerskich dronów. Bez-
załogowce w czasie odsłony
konfliktu w Górskim Karaba-
chu jesienią 2020 r. siały śmierć
i zniszczenie. Poniekąd narzę-
dzie to wpłynęło na sytuację
geopolityczną w tamtym regio-
nie. Analitycy obronności
uważnie analizują przebieg
konfliktu między Azerami i Or-
mianami z jesieni 2020 r. Wielu
z nich podkreśla, że drony
wpłynęły istotnie na pole walki
potencjalnych konfliktów
zbrojnych w przyszłości. - Jako
element kompleksowego or-
ganizmu obrony mają one po-
tencjał, choć samodzielnie nie
zastępują, przynajmniej na razie,
czołgów i artylerii - wynika ze
słów prof. Krzysztofa Kubiaka
z Uniwersytetu Jana Kocha-
nowskiego w Kielcach, eksper-
ta ds. obronności, systemów
bezpieczeństwa.

W Górskim Kara-
bachu azerskie
drony bojowe
i rozpoznawcze
były niemal
bezkarne. Precyzyjnymi atakami
na ludzi, sprzęt pancerny, wy-
rzutnie rakiet, systemy prze-
ciwlotnicze i umocnienia nie
tylko zadawały straty, łamały
obronę Ormian, ale także de-
strukcyjnie wpływały na morale
żołnierzy i społeczeństwa. Sku-
teczność tych stosunkowo ta-
nich, w porównaniu do innych
rodzajów uzbrojenia, narzędzi
przyczyniła się poniekąd
do zmiany układu sił w mroź-
nym (z przerwami na okresy
starć) od końca lat 80. XX w. kon-
flikcie między Armenią a Azer-
bejdżanem. Azerowie wyparli
siły Ormian z części terenów
Górskiego Karabachu.

- Nie bez przyczyny wojna ka-
rabaska w Rosji otrzymała popu-
larne miano wojny czołgów
i dronów, co dla wielu anality-
ków stanowiło wykładnię ob-
razu przyszłego pola walki - tak
w branżowym portalu Defen-
ce24.pl wskazywał analityk Pa-
weł Makowiec. - Nowatorski

Blitzkrieg dronów? Pole walki przyszłości



Atak na siły Ormian widoczny z kamery azerskiego drona. Azerowie chwalili się takimi nagraniami w internecie

charakter działań armii Repu-
bliki Azerbejdżanu i swoista he-
katomba ormiańskich podod-
ziałów pancernych i zmechanizowanych wygenerowały
wiele pytań o charakter przy-
szłych konfliktów zbrojnych oraz
sposobu ich prowadzenia.

Drony kontra czołgi

W swoim tekście w branżowym
portal Defen-
ce24.pl analityk
Maksymilian Dura przytoczył
dane dotyczące strat spowodowa-
nych przez azerskie bezzałogo-
we systemy powietrzne w si-
łach Armenii i wspierających je
jednostkach nieuznawanego
państwa Republiki Górskiego
Karabachu (tzw. Arcachu).

Szacuje się, że w czasie po-
nad 40 dni walk jesienią 2020 r.
drony zniszczyły 43 pojazdy
opancerzone i 249 różnego
typu samochodów wojsko-
wych. Systemami bezzałogo-
wymi zniszczono prawdopo-
dobnie ponad 140 lufowych
i raketowych systemów arty-
le-
ryjskich. Azerbejdżan na końcu
konfliktu poinformował, że
jego systemy bezzałogowe
zniszczyły 114 czołgów, a więc
ponad połowę stanu całej ar-
meńskiej armii - pisał kmdr
wst. spocz. Maksymilian Dura.
Poległo ponad tysiąc żołnierzy
sił ormiańskich. Kmdr Dura na-
zwał owe straty zimnym, krwa-
wym prysznicem.

- Konflikt w Górskim Karaba-
chu pokazał dobitnie, że wojska
mające tylko tego rodzaju uzbro-
jenie są zupełnie bezradne w ob-
liczu ataków ze strony systemów
bezzałogowych i amunicji precy-
zyjnej, wspartych kompleksami
walki elektronicznej - pisał w De-
fence24.pl Maksymilian Dura,
w artykule „Dlaczego konflikt

w Górskim Karabachu powinien
zmienić Wojsko Polskie?”.

Robot z powietrza

Prekursorami bojowego wyko-
rzystania bezzałogowych sys-
temów powietrznych wydają
się być siły lotnictwa Stanów
Zjednoczonych oraz Izraela.
Amerykańskich dronów Pre-
dator użyto po raz pierwszy
pod koniec lat 90. XX w.,
w czasie interwencji w Serbii.
Siły USA rozwijały tę koncep-
cję - do służby wchodziły ko-
lejne typy maszyn - Reaper,
Global Hawk.

Amerykańsko-izraelski
Hunter pod koniec lat 80. XX
w. zwyciężył w koncepcyjnym
konkursie na taktyczny, bezza-
łogowy aparat latający dla US
Army. Podobnie jak Predator
był wykorzystywany w czasie
konfliktu o Kosowo.

Drony wykorzystywane były
szeroko w czasie działań w Afga-
nistanie i Iraku przez siły amery-
kańskie. Używano je do działań
rozpoznawczych - wyposażone
w sprzęt optyczny zapewniały
doskonały przegląd pola walki,
dzięki czemu można było koor-
dynować ogień artylerii czy do-
starczały danych wywiadow-
czych. W dodatku obserwacja
mogła trwać niemal bezzastan-
nie, z uwagi na zasięg i możliwo-
ści wielogodzinnego przebywa-
nia w powietrzu. Drony stoso-
wane były również do działań
uderzeniowych, nie tylko rozpo-
znawczych. Wyposażonymi
w rakiety eliminowano przy-
wódców islamskich organizacji
terrorystycznych, niszczone
składy amunicji.

Drony raczej uzupełniały
działania powietrzne armii USA
i NATO, korzystających z „tradycy-

cyjnych”, załogowych samo-
łotów. W ostatniej odsłonie kon-
fliktu w Górskim Karabachu bez-
załogowce właściwie zastąpiły
standardowe działania lotnic-
twa, nie narażając życia pilotów,
załóg i bez ryzyka utraty bardzo
drogich samolotów.

Azerowie, zadając straty
swoim przeciwnikom w Gór-
skim Karabachu, nie stracili ani
jednego pilota. Armenia infor-
mowała o zniszczeniu 206 dro-
nów azerskich. Jednak strącenie
jednego bezzałogowca kosztowa-
ło zużycie rakiet znacznie
droższych od produkcji dronów
lub niemal całego, przydzielone-
go zapasu amunicji armat
przeciwlotniczych. Co istotne,
Maksymilian Dura wskazuje, że
Azerbejdżan uzyskał przewagę
taktyczną nad Armenią w ciągu
zaledwie sześciu lat, inwestując
w swoje nowatorskie systemy
walki znacznie mniej środków
niż Ormianie modernizujący siły
pancerne, przeciwlotnicze.

- Powszechnie uważa się, że
Azerbejdżan pokonał Armenię
za pomocą dronów. W tej opinii
jest jednak tylko część prawdy.
W rzeczywistości Armeńczycy
przegrali, ponieważ przeciwnik
zaskoczył ich zupełnie nową tak-
tyką działania, stosując dodat-
kowo na masową skalę uzbroje-
nie, na które nie było odpowied-
nie skutecznego środka obrony
- pisał w Defence24 Maksymilian
Dura, wskazując, że systemy za-
kłócające sygnały kierowania
dronami [czyli jedno z głównych
narzędzi do walki z tym typem
uzbrojenia - red.], którymi dys-
ponowali Ormianie, okazały się
całkowicie nieskuteczne.

Oczy i kamikaze

Warto zaznaczyć, że drony
użyte przez Azerów nie przypo-
miwały bezzałogowych syste-
mów amerykańskich - sporych,
latających na dużych wysoko-
ściach, potężnie uzbrojonych
i drogich Reaperów czy Global
Hawków.

- W momencie wybuchu
konfliktu Azerbejdżan miał
na swoim stanie co najmniej
trzysta dronów różnych typów
oraz kilkaset sztuk amunicji
krajowej, które po wykryciu
celu niszczyły go przez bezpo-
średnie uderzenie - pisał Mak-
symilian Dura.

Dokończenie na str. 8

KONIEC STRZYKANIA W KOLANACH?

DARMOWY ŚRODEK pomaga zmniejszyć dyskomfort i tarcie w stawach

WSPIERA REGENERACJĘ STAWÓW



BEZPŁATNA METODA POMOGŁA JUŻ 159 500 POLAKOM ZMNIEJSZYĆ SZTYWNIECIE I OPUCHLIZNĘ STAWÓW

Badania potwierdzają: by móc wesprzeć regenerację stawów i poprawić sprawność ruchową, wystarczy kilka dni. Nowy preparat może odbudowywać chrząstkę stawową, usuwać trzeszczenie, dyskomfort i sztywność stawów. A co najważniejsze – może łagodzić reumatyzm i problemy zwyrodnieniowe bez kosztownych zabiegów.

Skuteczna nawet w najbardziej zaawansowanym stadium problemu, bez względu na wiek chorego, stopień uszkodzenia chrząstki i przyczynę zwyrodnienia. Przełomowa formuła spec. Hopkinsona może być wsparciem dla przeciążonych stawów. 96% osób potwierdza efekty jej działania i poleca innowacyjną metodę swoim bliskim. A aż 9/10 badanych deklaruje poprawę sprawności ruchowej zaledwie po kilkunastu dniach. Jak to możliwe? Spec. wyjaśnia:

Nie „zaśmiej” swojego organizmu – zaufaj naturalnym składnikom



Spec. Louis Hopkinson,
twórca innowacyjnej metody

Zamiast zaśmiewać organizm chemicznymi wspomagaczami, które tylko powierzchownie łagodzą dolegliwości, warto postawić na JEDNĄ, w 100% naturalną formułę, która wspiera kompleksową regenerację uszkodzonych stawów. Pomaga 3-krotnie zwiększyć produkcję mazi stawowej, gwarantując „naoliwienie” stawów. Gdy kości przestają o siebie trzeć, mikrouszkodzenia chrząstki stawowej zyskują szansę na naprawę, a dyskomfort, trzeszczenie i sztywność stawów zmniejszają się bardzo szybko. Serdecznie polecam.

Odzyskaj swobodę ruchów

Innowacyjna metoda wspierająca stawy zdobyła ogromną popularność na kongresie Nova Medica w Sztokholmie, gdzie rozmawiano o niezwykłej skuteczności preparatu.

W każdym przypadku preparat Hopkinsona może pomóc odbudować chrząstkę stawową, intensywnie wzmocnić mięśnie, a także zwiększyć produkcję naturalnego kolagenu, likwidując tarcie pomiędzy kośćmi.

STANĘŁAM NA NOGI. Stawy już mi tak nie dokuczają!

Byłam bardzo ograniczona ruchowo, miałam problemy z chodzeniem, a nawet z utrzymaniem kubka w dłoni. Czułam się naprawdę do niczego, a przecież nie jestem jeszcze taka stara! Na szczęście trafiłam na metodę pana Hopkinsona, która naprawdę mi pomogła. To niesamowite, ale bardzo szybko zaczęłam odczuwać ulgę, a niedługo później byłam już w stanie chodzić na dłuższe spacerki, po zakupy i do kościoła. Jestem zachwycona!

Danuta P., 65 lat, Olsztyn



ULGA DLA TWOICH STAWÓW

Medal przyznany RevitaPharm w programie Konsumencki Lider Jakości – Debiut Roku 2020

Nowatorska formuła może wypełnić pęknięcia, ubytki i uszkodzenia na powierzchni chrząstki stawowej oraz zwiększyć poślizgowość płynu wypełniającego przestrzeń między kośćmi.

Stawy nie muszą Cię ograniczać

Systematyczne stosowanie nowego preparatu może wesprzeć odbudowę tkanek chrzęstnej, dzięki czemu możliwe jest zmniejszenie zmian zwyrodnieniowych. Przywrócenie maksymalnej poślizgowości płynu maziowego sprawia, że stawy mogą odzyskać właściwości amortyzujące, a ruchy stają się płynne.

4 SPODZIEWANE REZULTATY

Innowacyjny środek pomaga:

- ✓ **ZŁAGODZIĆ DYSKOMFORT KOLAN, BIODER, NADGARSTKÓW I KRĘGOSŁUPA W 24 H**
- ✓ **3-KROTNIE ZWIĘKSZYĆ PRODUKCJĘ KOLAGENU**
- ✓ **ODŻYWIĆ KOMÓRKI KOSTNE I WZMOCNIĆ STAWY**
- ✓ **PORUSZAĆ SIĘ JAK DAWNIEJ**

PRZETESTUJ PRODUKT ZA 0 ZŁ!

KOLANA JAK NOWE

Wystarczyło kilka dawek, by przestało strzykać mnie w kolanach – ruchy są płynne, żwawe, jakby ktoś naoliwił moje stawy! Kucam, kłękam, bawię się z wnukami, żadnego dyskomfortu ani drętwienia nawet po długim spacerze. Dzięki tej metodzie zapomniałem o zwyrodnieniach.

Jan S., 73 lata, Tarnów



Nie zwlekaj – skorzystaj z metody TERAZ

Specjaliści potwierdzają, że innowacyjna formuła to absolutne turbodoładowanie w procesie regeneracji układu kostnego i stawów. Właśnie dlatego stosując preparat bardzo szybko możesz poczuć ulgę, zmniejszyć dyskomfort i „trzeszczenie” w kolanach, kręgosłupie, nadgarstkach i biodrach. Jeśli masz skończone 40 lat i posiadasz obywatelstwo polskie, przysługuje Ci bezpłatne opakowanie preparatu.

WZMOCNIJ SVOJE STAWY!

Pierwsze 100 osób, które zadzwonią do 05.02.2022 r., otrzyma **100% REFUNDACJI OD PRODUCENTA!**

63 218 89 20

Pon.-pt. 08:00-20:00, sob.-nd. 09:00-20:00.
Zwykłe połączenie lokalne bez dodatkowych opłat.

ZADZWOŃ TERAZ – PRODUKTY GRATIS CZEKAJĄ!



Lekcja wojny z Górskiego Karabachu

Dokończenie ze str. 6

Znacznie mniejsze i tańsze konstrukcje izraelskie czy tureckie (m.in. maszyny typu Bayraktar TB2, które ma na uzbrojeniu także Polska) miały jednak jeszcze inny atut. - Armeńskie zestawy przeciwlotnicze najczęściej w ogóle nie były w stanie wykryć dronów. „Nagle” okazało się, że bezzałogowce mają zbyt mało skuteczną powierzchnię odbicia radarowego oraz małą prędkość - ignorowaną bardzo często przez systemy śledzenia radarów, przeznaczonych wcześniej do wykrywania inaczej poruszających się, załogowych statków powietrznych - tłumaczył Dura. - Drony mogą więc tak atakować cele naziemne, by same nie zostały przez nie wykryte.

Paweł Makowiec i Maksymilian Dura opisują sprytną taktykę wykorzystania dronów przez azerskie siły w Górskim Karabachu. Ukryte punkty obrony przeciwlotniczej „aktywowano” dzięki samolotom-pułapkom - np. zautomatyzowanymi, starymi dwupłatowymi AN-2. Potem azerskie drony przypuszczały atak na zlokalizowane systemy artyleryjskie i rakietowe. Po zniszczeniu ormiańskiego parasola, azerskie drony urządzały polowanie na sprzęt pancerny Ormian, pojazdy czy nawet pojedynczych żołnierzy. Następnie do akcji wkraczały azerskie siły lądowe, zajmując terytorium Archachu.

Makowiec i Dura wskazywali, że Azerowie używali mieszanych zespołów dronów - rozpoznawczych, uderzeniowych i walki elektronicznej. Azerskie „oczy” wypatrywały celów, a drony uderzeniowe niszczyły je za pomocą rakiet lub bomb. W użyciu były również drony kamikaze - zawierające ładunki wybuchowe, uderzające choćby w ciężarówkę z żołnierzami. Ze wsparciem dronów Azerowie byli w stanie powstrzymać kontratak zmechanizowanych sił Ormian.

Nowe pole walki

Zaznaczmy, w ciągu kilku miesięcy odnotowywano próby ataków za pomocą dronów na instalacje gazowe w Arabii Saudyjskiej, które podjęli rebelianci Huti z Jemenu. Wiadomo było, że wykorzystania bezzałogowców do zamachu chcieli islamscy fanatycy z ISIS. Znaną są przypadki użycia dronów przez grupy kryminalne, np. do przemytu. Natomiast, w odróżnieniu od działań „nieregularnych” pojawia się pytanie o wizję współczesnego pola walki, w której drony odgrywać będą coraz poważniejszą rolę.

Maksymilian Dura wskazywał, podobnie jak Paweł Makowiec, że bez skutecznej obrony antydronowej po doświadczeniach Górskiego Karabachu, system obrony siły lądowej będą narażone na poważne straty. Zdaniem Maksymiliana Dury, zarówno ofensywne drony, jak i systemy obrony przeciw nim,

powinny być ważnym elementem modernizacji polskich sił zbrojnych, obok zakupów nowych czołgów, samolotów czy okrętów. Według Dury, brak tego elementu w polskich siłach zbrojnych, nawet wzmocnionych amerykańskimi czołgami Abrams, może kosztować nas taką samą lekcję, jaką Armenia odebrała w Górskim Karabachu. Z drugiej strony zaznacza, że rodzimy przemysł ma możliwości

Uzbrojone systemy bezzałogowe muszą być traktowane jako zagrożenie, z którym zetkną się polscy żołnierze

produkcji systemów antydronowych oraz bezzałogowego sprzętu różnych rodzajów - od rozpoznawczych po drony kamikaze (zresztą w grudniu 2021 r. polski MON zawarł z PGZ kontrakt na dostawę stu sztuk maszyn obserwacyjnych Duch, a wcześniej kupił od Turcji uderzeniowe drony Bayraktar). Makowiec i Dura przyznają, że Rosja z armeńskiej klęski w Górskim Karabachu wyciągają wnioski. Obaj wskazują na wielkie możliwości produkcji bezzałogowych systemów bojowych w kraju naszego wschodniego sąsiada, największego potencjalnego przeciwnika państw NATO.

Oczywiste wydaje się, że ogromne możliwości produkcji systemów obronnych tego typu mają Chiny. Dura przytacza informację, że wkrótce rosyjska Marynarka Wojenna ma zostać wyposażona w drony kamikaze, które mogą stać się nie lada wyzwaniem dla polskich okrętów, w tym planowanych „Mieczników”. W drony mają być także wyposażone rosyjskie jednostki nawodne na Zalewie Wiślanym - służące do transportu małych, dywersyjnych oddziałów sił specjalnych.

Maksymilian Dura przytacza przykład drona Kargu 2, który jako pierwszy w historii bezzałogowiec, w marcu 2020 r. w Libii, wykonał skutecznie atak na ludzi samodzielnie, bez końcowej akceptacji operatora (ma możliwość samodzielnego identyfikowania celów). W Górskim Karabachu dron tego typu wleciał za jednym z ormiańskich żołnierzy do polowego schronu i eksplodował wewnątrz.

- Uzbrojone systemy bezzałogowe muszą być traktowane jako zagrożenie, z którym z całą pewnością zetkną się polscy żołnierze - pisał Maksymilian Dura.

Korzystałem z: Maksymilian Dura - Dlaczego konflikt w Górskim Karabachu powinien zmienić Wojsko Polskie? (Defence24.pl), Maksymilian Dura - Czy Rosja skrycie rozwija bojowe systemy bezzałogowe? (Defence24.pl), Paweł Makowiec - Nowa wizja bitwy lądowej. Rosyjskie wnioski z wojny w Górskim Karabachu (Defence24.pl).

WOJNA W INTERNECIE

ZASIALI STRACH

Bezkarne działania swoich dronów w Górskim Karabachu Azerowie skrzętnie filmowali, a nagrania rozpowszechniali w internecie na masową skalę. - Azerom nie chodziło jedynie o udokumentowanie swoich zwycięstw, ale również o wzbudzenie strachu i zniechęcenia wśród armeńskich żołnierzy i... armeńskiego społeczeństwa - informował w Defence 24 Maksymilian Dura. - W Górskim Karabachu okazało się, że życie armeńskich żołnierzy zależało tak naprawdę jedynie od tego, czy operator drona był bezwzględny, czy też nie. Byli bowiem Azerowie, którzy mając do dyspozycji uzbrojenie przeciwpancerne, rzeczywiście niszczyli głównie sprzęt ustawiony na pozycjach i to bardzo często bez obsługi znajdującej się w ukryciu. Ale byli też tacy operatorzy dronów, którzy mając do wyboru kilka wojskowych pojazdów ciężarowych, wybierali grupę ludzi, która znajdowała się pomiędzy nimi. Byli też tacy, którzy specjalnie czekali, aż armeńscy żołnierze przez wiele kilometrów uciekali przed dronem i uderzali w momencie, gdy Armeńcy znaleźli ukrycie i poczuli się bezpieczni. Nie

pomagała też ewakuacja żołnierzy w szybkich pojazdach ciężarowych. Niektórzy operatorzy dronów nie atakowali tych pojazdów w momencie załadunku i ucieczki, ale bezkarne czekali na moment, gdy na dole Armeńcy uznali się za uratowanych i bezpiecznych. Dopiero wtedy wysłano w ich kierunku amunicję krążącą, co w efekcie wywoływało u armeńskich żołnierzy poczucie bezradności i skłaniało ich do irracjonalnych zachowań. Generałom, którzy chcą, by ich żołnierze byli odważni i gotowi do poświęceń, trzeba też pokazać film, jak operator azerskiego drona najpierw niszczy schron, zasypując w nim ludzi, a następnie czeka spokojnie, aż ich kolezdy odważnie

i z poświęceniem zaczną ratować swoich towarzyszy. Jak się okazało, Azerowie bez skrupułów uderzyli po raz drugi w to samo miejsce dopiero wtedy, gdy armeńscy żołnierze dotarli do zasypanych kolegów, zabijając: i ratowanych, i ratujących. Przeżyli tylko ci, którzy wcześniej uciekli, pozostawiając swoich współtowarzyszy bez pomocy. I takie postawy armeńskich żołnierzy kształtowała właśnie bezkarność dronów.

ROZMOWA

TO NIE JEST BRONĀ ABSOLUTNA

Rozmowa z prof. Krzysztofem Kubiakiem, ekspertem obronności, wykładowcą Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach.

Drony zmieniają lub już zmieniły obraz współczesnego pola walki? Konflikt o Górski Karabach pokazał, że są skuteczne, niezawodne i znacznie tańsze od np. broni pancernej?

To jest nieco bardziej skomplikowana sprawa. Zgodzę się, że drony są środkiem walki perspektywnym, elastycznym i stosunkowo tanim. Musimy jednak zwrócić uwagę, że owe najprostsze bezzałogowce to są nadal aparaty sterowane drogą radiową przez człowieka - operatora. Zatem pełna swoboda ich wykorzystania wymaga zapewnienia stabilności własnego przekazu w przestrzeni

elektromagnetycznej. Mówiąc prosto, by nikt nam nie mógł łączyć z naszym dronem zakłócić. Miało to miejsce w Donbasie, gdzie rosyjskie systemy walki radiowo-elektronicznej skutecznie zakłócały ukraińskie bezzałogowce taktyczne. Pamiętajmy, że są to aparaty o dość niskiej prędkości i doświadczony operator broni przeciwlotniczej będzie sobie w stanie z takim dronem dość łatwo poradzić. To też obserwacja z tamtego konfliktu. Rosjanie używali 23-milimetrowych armat przeciwlotniczych, jako środka zwalczania współczesnych samolotów absolutnie nieprzydatnych, za to przeżywających renesans właśnie przeciwko dronom. Zatem inwestowanie w jeden tylko środek walki, jakim są drony i amunicja krążąca, nie dostarczy nam cudownego panaceum na wszystkie bolączki systemu obronnego. Przy fascynacjach jednostkowymi rozwiązaniami często zapominamy, że budując obronność należy tworzyć kompleksowy system. Nie da się go protezować, np. wrę-

czając każdemu obywatelowi karabin, bo to nie będzie wojsko, tylko gromada ludzi z karabinami. Zatem tzw. chmura dronów wymaga stabilności przestrzeni elektromagnetycznej i pewnej koncepcji ich wykorzystania.

Analitycy wskazują, że w Górskim Karabachu Azerowie zaskoczyli Ormian nowatorskimi sposobami wykorzystania narzędzi w postaci bezzałogowców...

Konflikt armeńsko-azerski miał charakter lokalny. Nie był starciem systemów obronnych o dużej lub średniej intensywności, w jakich uczestniczyć może Polska. Wyciągnięcie generalnych wniosków z lokalnych konfliktów w kontekście naszego kraju obarczone będzie pewnymi błędami. To są starcia sekwencyjne, one nie odbywają się w pełnym spektrum, w którym ścierają się jedynie „wycinki” zdolności, a nie w pełni rozwinięte organizmy wojskowe. Nie zmienia to faktu, że w konfliktach mniejszej skali są strony, które potrafią się posłużyć nawet na dalekim dystansie.

Mam tu na myśli szyickich rebeliantów Huti, którzy w Jemieniu skomplikowali działania interwenujących w tym kraju sił Arabii Saudyjskiej. Atakujący, który ma pełną swobodę miejsca i czasu ataku, pomijając oczywiście jego skuteczność i siłę destrukcyjną, ma możliwość dość swobodnego przenikania przez obronę przeciwlotniczą. Takie uderzenia, nawet jeśli nie są miazdzące, to dość ambarasujące, podważające wiarygodność obrony takiego systemu.

To czynnik terrorystyczny, psychologiczny...

Tak. Nie tyle element pełnoskalowej konfrontacji, co raczej walki o umysły czy też o zainteresowanie mediów.

Rozumiem, że drony zarówno w ofensywie, jak i defensywie powinny być częścią polskiego systemu obronnego...

Jak najbardziej, to oczywiście. Odstawać od trendów nie możemy, a nawet powinniśmy te trendy wyprzedzać tak, by mieć półtora oddechu przewagi nad przeciwnikiem. Nato-

miast bez absolutyzacji. To nie jest tak, jak można przeczytać na różnorodnych forach, że 10 tysięcy dronów zapewni nam przewagę nad przeciwnikiem, a każdy „Iksinśki” sterujący nim z balkonu będzie niezwykle skutecznym wojownikiem przyszłości.

Samodzielnie nie zastąpią czołgów, artylerii czy taktyki z użyciem wojsk zmechanizowanych.

Tak. Chyba że będziemy mieć do czynienia z inną sytuacją - zasadniczej zmiany w rozwoju sztucznej inteligencji, wyłączenia z procesu bezpośredniego kierowania aparatami bojowymi człowieka. Byłby to samouczący się, współdziałający trochę na zasadzie sieci neuronowej system bojowy. Sądzę jednak, że mimo tak gigantycznego postępu technologicznego, jaki obserwujemy w ostatnich latach, jest to nadal zagadnienie fantastyczne. Z drugiej strony przypomina mi się powieść „Niezwyciężony” Stanisława Lema, w której z prognostyczną wnikliwością opisał chmurę dronów, które łą-

cząc się zyskiwały inteligencję. One występowały przeciwko potężnym maszynom dysponującym miotaczami antymaterii. Z drugiej strony, z poziomu obserwatora obecnego rozwoju technologicznego, mamy dość blade wyobrażenie na temat tego, jakie są rzeczywiste możliwości sztucznej inteligencji.

W najbliższej przyszłości, w określonej jako możliwa inwazji Rosji na Ukrainę, scenariusz starcia w Górskim Karabachu nie powtórzy się?

Na pewno nie jeden do jednego. Środki bezpilotowe na pewno znalazłyby w nim zastosowanie, ale wypełniając pewne luki w systemach obronnych walczących stron, mogą tworzyć nowe obszary. Na pewno nie zyskają rangi broni absolutnej, rozstrzygającej.

Krzysztof Kubiak jest historykiem wojskowości i politologiem. Prof. dr hab., komandor porucznik rezerwy. Autor książek, artykułów i monografii dotyczących konfliktów zbrojnych po II wojnie światowej.

Zbieracze poroża zagrażają jeleniom



Kilogram poroża w skupie może kosztować nawet 150 złotych. Nieetyczni zbieracze zrobią wszystko, żeby zdobyć cenny łup

Agnieszka Kamińska
agnieszka.kaminska
@polskapress.pl



Środowisko naturalne

Hordy zbieraczy poroży niemal bezustannie płoszą jelenie, nie dając zwierzętom wytchnienia. Niektórzy używają dronów, żeby tropić zwierzęta, a potem je gnać. Zbieranie poroży może być całkiem lukratywnym, dodatkowym źródłem dochodu, drugą, a może i trzecią pensją – mówi Marcin Kostrzyński, przyrodnik, autor książek i filmów o lesie i zwierzętach.

Co roku w zimie pojawiają się w lasach zbieracze poroży. Leśnicy i aktywiści ekologiczni są oburzeni ich działalnością. Mówią, że to niebezpieczny dla zwierząt proceder, który nasila się i przybiera coraz szerszą skalę. Czy rzeczywiście jest aż tak dramatycznie? Przecież zbieranie poroży jest legalne, poza tym jelenie gubią je w sposób naturalny.

Mamy do czynienia z horrorem w lasach. I nie ma w tym stwierdzeniu cienia przesady. Rzeczywiście, zbieranie poroży nie jest zabronione, jest ono traktowane jak runo leśne, a więc jak grzyby czy jagody. Jeśli ktoś znajdzie takie poroże, może sobie je zabrać. W tym miejscu od razu musimy rozgraniczyć dwie sprawy. Są osoby, dla których zbieranie poroży jest pasją. Te osoby chodzą po lesie z szacunkiem dla zwierząt, każde znalezisko traktują jak świętość i cenny eksponat w kolekcji. Wobec nich nie możemy mieć żadnych zastrzeżeń. Problemem są zbieracze, a przede wszystkim ich całe zorganizowane grupy, które grasują w lasach i pozyskują poroże w sposób nieetyczny. Robią to oczywiście dla pieniędzy, bo poroże jest dziś wartościowym surowcem. O tej porze roku m.in. jelenie zrzucają poroże, a hordy zbieraczy je tropią, nie dając zwierzętom wytchnienia. Czasem idą przez las tyralierą i go przeczesują

Dokończenie na str. 10

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0010387312

Koniec z limitami. T-Mobile zmienia zasady gry i proponuje internet bez ograniczeń w smartfonie

Rewolucja czy naturalna kolej rzeczy? Pandemia zmieniła wiele, nasze nawyki, sposób podejmowania decyzji czy planowania. Wpłynęła też na to, w jaki sposób korzystamy z internetu. Z odpowiedzią na potrzeby klientów przychodzi T-Mobile z internetem bez ograniczeń w smartfonie – również 5G – dla klientów indywidualnych.

Teraz ma znaczenie

Jak daje temu wyraz operator sieci T-Mobile? Wchodzi na rynek z nową, unikalną w skali polskiego rynku telekomunikacyjnego, ofertą abonamentową z internetem bez limitu prędkości i danych, niezależnie od technologii, w tym również w 5G. Tak, aby każdy mógł działać, jak i kiedy chce. Nowa oferta jest naprawdę nie-limitowana. To nie tylko propozycja, jakiej obecnie nie posiada w portfolio żaden inny operator. To także część podejścia, w które T-Mobile naprawdę wierzy.

DLA NASZYCH
KLIENTÓW LICZY SIĘ...

TERAZ!

TERAZ MA ZNACZENIE!



LIFE IS FOR SHARING.

To właśnie dlatego teraz ma znaczenie. Użytkownik nie musi już zastanawiać się, czy zrealizować swoje plany w tym miesiącu, czy pozostał jeszcze transfer danych, czy wziąć pod uwagę naukę zdalną dziecka.

Patrząc na to, jak nieprzewidywalny jest dziś świat i jak trudno zaplanować przyszłość, przynajmniej w zakresie usług telekomunikacyjnych

chcemy dać klientom komfort podjęcia decyzji. Z tym założeniem przygotowaliśmy oferty nielimitowanego dostępu do internetu w domu, jakimi są internet światłowodowy lub ten oparty na infrastrukturze mobilnej, z których korzysta już ponad 400 tysięcy klientów, i tak samo jest w przypadku usług mobilnych w telefonie – opowiada Andreas Maierhofer, prezes zarządu T-Mobile Polska.

Co to dokładnie oznacza?

W ramach nowej oferty wszystkie plany taryfowe pozwalają na korzystanie z nielimitowanych rozmów, SMS-ów i MMS-ów. Dodatkowo dostępne są dwie taryfy – M Nielimitowana i L Nielimitowana – z internetem bez limitu również w 5G. W przypadku pierwszego wariantu użytkownik otrzymuje internet bez limitu z prędkością maksymalną do 30 Mb/s. Za takie rozwiązanie klienci

zapłacą 65 zł miesięcznie lub 45 zł miesięcznie przy każdym kolejnym numerze lub usłudze w programie „Korzyści dla domu”.

Drugi wariant oprócz braku limitu danych nie posiada też żadnych ograniczeń prędkości. Taryfa L Nielimitowana gwarantuje maksimum prędkości w T-Mobile bez limitu transferu w cenie 85 zł miesięcznie lub 65 zł miesięcznie w programie „Korzyści dla domu”. Zasada programu „Korzyści dla Domu” jest prosta – posiadając już numer w T-Mobile, na każdej kolejnej umowie (abonament komórkowy, internet domowy czy rozrywka) klient oszczędza 480 zł przez cały okres jej trwania, ponieważ kolejne abonamenty są o 20 zł/mies. tańsze.

W pełni nielimitowana oferta na smartfon to dla nas naturalny krok i odpowiedź na potrzeby klientów. Zmieniamy ofertę dla klientów abonamentowych, ale na tym nie poprzestajemy. Nadal będziemy pracować

nad kolejnymi rozwiązaniami dla naszych klientów, by zapewnić im jak najlepsze doświadczenia, prostotę, a także docenić ich lojalność – podsumowuje zmiany Goran Markovic, członek zarządu ds. rynku prywatnego w T-Mobile Polska.

Osoby, które zdecydują się na jeden z opisanych nielimitowanych planów taryfowych, otrzymają również dostęp do usługi „Rozrywka uwolniona” na 6 lub 12 miesięcy. Przy zakupie dwóch abonamentów nawet na 24 miesiące. Dzięki temu będą mogli wybrać pomiędzy platformami subskrypcyjnymi znajdującymi się w ofercie, czyli m.in. HBO GO, Tidal, Legimi, a także pakiety sportowe, filmowe, informacyjno-rozrywkowe czy skierowane do dzieci w Polsat Box Go. Co ważne, nowe taryfy nie-limitowane są dostępne dla wszystkich, a więc także obecnych klientów sieci, którzy mają już podpisane umowy abonamentowe dotyczące innych taryf.

Przestępcy grasują w pomorskich lasach

Dokończenie ze str. 9

fragment po fragmencie. W porównaniu do nich zbieracze grzybów są nieszkodliwi i neutralni dla lasów. Nieetyczni zbieracze płoszą jelenie i liczą na to, że zwierzętom podczas szalonego biegu poroże odpadnie albo zostanie stracone przez gałęzie drzew. Zaganiają zwierzęta w taki sposób, aby przebiegały przez młodniki i gęstwiny leśne. Sam widziałem, jak wielokrotnie przeganiano to samo stado jeleni. Zwierzęta biegną na oślep, ranią się. Bardzo często zachowują się nieracjonalnie, np. wbiegają na zamrożone jezioro, czego w normalnej sytuacji by nie zrobiły. Na środku jeziora desperacko szukają spokojnego miejsca. Łód pęka i zwierzęta się topią.

W ubiegłym roku w taki sposób zginęło stado jeleni w województwie zachodniopomorskim. To nie był incydentalny przypadek?

Nie. W Puszczy Bydgoskiej, niedaleko mojego miejsca zamieszkania, zdarzały się przypadki utonięcia jelenia. Zauważyłem, że ten nieetyczny proceder trwa od mniej więcej dwóch lat i ostatnio jeszcze bardziej się nasilił. Zaczyna się zwykle na początku stycznia i trwa do połowy lutego. Niektórzy zbieracze używają nawet dronów, żeby tropić zwierzęta, a potem je gnać. Inni jeżdżą w lesie quadami. W ten sposób płoszą nie tylko jelenie, ale wszystkie inne zwierzęta. Dosłownie kilka dni temu po białoruskiej stronie granicy utonęło w jeziorze 21 żubrów. Te zwierzęta nie były celem zbieraczy, ale prawdopodobnie uciekały przed osobami, które tropiły jelenie. Proceder kwitnie też na Białorusi. Żubry nie boją się innych zwierząt w lesie, nie obawiają się np. wilków, ale ludzi już tak. Z tego względu uważam, że żubry w Polsce, choć przecież są pod ochroną, to mogą nie być bezpieczne, bo zbieracze wywierają presję na wszystkie zwierzęta, również na te w parkach narodowych.

Czy nieetyczni zbieracze robią też pułapki?

Niestety, tak. Zbieracze poroża nie mają żadnych zasad. Budują różnego rodzaju wymyślne pułapki, w tym przypominające wnyki kłusownicze. Wokół nich wysypują atrakcyjną dla jeleni karmę. Zwierzę, chcąc podejść do jedzenia, zakleszcza się w pułapce, wpada w panikę,

energicznie się rusza i w potrzasku może utracić poroże. Czasem ono nie nadaje się jeszcze do zrzucenia, bo pamiętajmy, że utrata poroża dokonuje się w wyniku biologicznego procesu. Polega on na tym, że w tkankach u podstawy poroża zachodzą zmia-

Sproszkowane poroże jest wykorzystywane np. w produkcji kosmetyków i różnego rodzaju specyfików parafarmakologicznych

ny, powstają jamy, które z czasem się powiększają i w końcu poroże w naturalny sposób się odłamuje. Istnieje wielkie niebezpieczeństwo, że jelen, który jeszcze nie może zrzucić poroża, w takim wnyku lub innego rodzaju pułapce, straci życie, bo nie będzie mógł się wyswobodzić. A zbieracz, który znajduje martwego jelenia, z pewnością zainteresuje się nie tylko porożem, ale też resztą ciała zwierzęcia.

Które zwierzęta zrzucają poroże i właściwie czym ono jest?

Jelenie, łosie, daniela, również samy. Z tym, że poroże pochodzące od samców samy jest niewielkie i najmniej cenne dla zbieraczy, choć oczywiście nim nie pogardzą. W zależności od gatunku i kondycji jeleni występują w całej Polsce, a to znaczy, że w całej Polsce mogą być prześladowane. Nie tylko w lasach, ale też na łąkach, na bagnach, polach. Obawiam się, że to tylko kwestia czasu, kiedy znów usłyszymy o śmierci dużej grupy zwierząt... Poroże co roku jest zrzucane przez samców i na nowo im odrasta, to bardzo wyszukany, wręcz niebywały proces. Można by było powiedzieć, że jest marnotrawstwem, bo co roku wyrasta kość, która potem odpada. Wydatek energetyczny, który ponosi samiec w związku z odtworzeniem poroża, jest porównywalny z kosztem energetycznym samicy w czasie ciąży. Nowe poroże wzrasta nieprawdopodobnie szybko, w ciągu zaledwie 3 miesięcy. Jest najszybciej rosnącą tkanką występującą u zwierząt, wyliczono, że w ciągu doby może przyrosnąć o ponad jeden centymetr. Poroże okazało się i z dużą liczbą odrostków świadczy o dobrej kondycji zwierzęcia i właśnie ten jelen



Marcin Kostrzyński, przyrodnik, autor książek i filmów

ma największe szanse na przekazanie swoich genów kolejnym pokoleniom. To paszport do przedłużania gatunku. Wspaniałe poroże jest wskazówką dla samic w czasie rykowiska, że jego właściciel ma najlepsze geny. Jest też wskazówką dla innych samców. Bywa, że samiec z małym porożem nawet nie staje do walki ze zwierzęciem, które ma okazałe poroże, za to stwierdza, że nie ma żadnych szans.

Myślałam, że zbieranie i skup poroży to działalność bardzo niszowa. Tymczasem tylko na Pomorzu punkty skupu działają w niemal każdym powiecie. W internecie znajdziemy setki ogłoszeń z ofertami kupna poroży.

Zbieracze mogą naprawdę dobrze zarobić. Jedna para zrzutów jelenia, bo tak fachowo mówi się o porożu, może ważyć nawet 10 kilogramów. W przypadku łosi poroże może ważyć jeszcze więcej. Jeśli w skupie za kilogram płać 100-150 zł, to tylko za jedną parę można dostać nawet 1500 zł. Nic dziwnego, że niektórzy ludzie czują ogromną determinację, żeby po tym lesie chodzić do upadłego. Ci ludzie robią wiele, żeby poroże zdobyć i je potem sprzedać. Dla osoby, która zarabia na poziomie minimalnej pensji, zbieranie poroży może być całkiem lukratywnym, dodatkowym źródłem dochodu, drugą, a może i trzecią pensją. To działa tak, że jeśli jakiś mieszkaniec wsi pochwali się koledecie, że na porożach zarobił 10 tys. zł, to na drugi dzień do lasu pójdzie już pół wsi.

Co punkty skupów robią z porożem? Domyślam się, że ono nie jest sprzedawane po to, żeby ktoś sobie zrobił z niego dekorację na ścianie.

W internecie prowadzony jest handel również w celach

typowo kolekcjonerskich. Piękne i rozłożyste poroże może kosztować kilka tysięcy złotych. Kiedyś z poroży robiono unikatowe przedmioty, np. elementy noży czy figurki. Z czasem człowiek zrobił się pazerny. Obecnie punkty skupów nabywają poroże od zbieraczy wręcz na masową skalę, kupują je na kilogramy i ich wygląd nie ma już większego znaczenia. Duża część zebranego w Polsce poroża jest sprzedawana do Chin. Istnieją w Polsce firmy, które wręcz już się wyspecjalizowały w sprzedaży tego surowca na zagraniczny rynek. Sproszkowane poroże jest wykorzystywane np. w produkcji kosmetyków i różnego rodzaju specyfików farmakologicznych czy raczej parafarmakologicznych. W internecie znajdziemy mnóstwo ofert sprzedaży tego typu preparatów. Cały ten rynek, na którym handluje się porożem, jest wart setki milionów złotych.

Zbieracz, który znajduje martwego jelenia, z pewnością zainteresuje się nie tylko porożem, ale też resztą ciała zwierzęcia

Znalazłam w internecie takie ogłoszenie: „Naturalny bioaktywny proszek z poroża jelenia wspomaga regenerację organizmu, goi rany, pomaga na osteoporozę i stymuluje libido, preparat od wieków stosowany w medycynie chińskiej”. W opisie innego preparatu na bazie poroża czytamy, że jest on dedykowany sportowcom, bo „poprawia wytrzymałość fizyczną organizmu”. Jest też dopisek, że badania naukowe nie potwierdzają jednoznacznie tych właściwości...

Wygląda na to, że jest teraz moda na takie preparaty. Można się tylko domyślać, że niektórzy skłaniają się ku dawnej medycynie ludowej, szukają naturalnych metod i leków, choć trudno ocenić ich skuteczność. Szkoda, że sięganie po produkty uważane za naturalne odbywa się czasem ze szkodą dla natury.

Przedstawiciel jednego z pomorskich skupów powiedział mi, że kupuje poroże na gryzaki dla psów. Zaznaczył, że nie ma wiedzy o nieetycznym pozyskiwaniu tego surowca, po prostu ludzie mu go przynoszą. Takie poroże jest przecinane i szlifowane, a potem sprzedawane w sklepach zoologicznych. Za kawałek poroża o długości 20 cm trzeba zapłacić 70 zł. Toż to złoty interes!

Tak. I w tym przypadku walorem jest naturalność. Takie gryzaki mają wzięcie wśród właścicieli psów, bo są bogate w składniki mineralne, nie są naszpikowane chemią. Rynek jest bezkresny, a poroże to towar rzadki, zawsze będzie go za mało w stosunku do potrzeb, bo liczba zwierząt jest ograniczona. To samo dotyczy wszystkich innych naturalnych zasobów, np. ryb w morzach i oceanach. Trzeba było przecież wprowadzić regulacje mówiące o tym, ile można złowić dorszy w Bałtyku. Bez nich temu gatunkowi groziłaby zagłada. To samo, według mnie, powinno dotyczyć handlu porożem. Dziś w tym względzie mamy wolną amerykanke. Ale podkreślam, problemem nie jest to, że wykształcił się rynek i że działają przedsiębiorcy, ale to, że brakuje skutecznych reguł, które chroniłyby zwierzęta.

Żadne przepisy nie ograniczają nieetycznego zbieractwa?

Mamy ustawę, której przepisy zabraniają płoszenia zwierząt w lesie. Ale ta regulacja jest martwa, bo bardzo trudno jest udowodnić, że ktoś celowo płoszy jelenie czy łosie. Zbieracze zawsze mogą powiedzieć, że tylko chodzą po lesie albo biegają dla zdrowia. Nikt im tego nie zakazuje. I nikt im nie zakazuje zbierania poroża podczas joggingu.

A leśnicy? Nie mogą pogodzić tych, którzy niepokoją zwierzęta? Na stronach Lasów Państwowych widziałam apele, aby zbierać poroże bez płoszenia zwierząt. Wydaje się, że leśnicy

nie są obojętni wobec nieetycznych zbieraczy.

Generalnie nie są, w tym względzie leśnicy, przyrodnicy i myśliwi mówią jednym głosem. Mówią i na tym koniecznie. Mam kolegę leśnika, który jest bardzo oburzony tym procederem, ale nic nie robi. Powiedział mi wprost, że boi się, że jak zacznie gonić zbieraczy, to oni mu potem podpalą las. Wielu leśników może się obawiać zbieraczy, szczególnie gdy tworzą oni kilkusobowe grupy. Mam wrażenie, że na to, co dzieje się w lasach, wszyscy zamykają oczy. Podchodzą do tego procederu tak, jakby nie był problematyczny. A zwierzęta przecież nie napiszą skargi, nie pojadą protestować do Sejmu. To my musimy się zatroszczyć o ich prawo do życia, bo o to tu chodzi. Powinniśmy zaapelować o uporządkowanie i ucywilizowanie działalności związanej ze zbieraniem poroży.

No to co pan proponuje? Chce pan zakazać zbierania poroży?

Nie, w żadnym wypadku. Nawet trudno byłoby taki zakaz wyegzekwować, bo przecież nie zamknijemy lasów. Według mnie, lepszym pomysłem byłoby prawne uregulowanie skupu poroży. Powinno ono być traktowane jak część zwierzęcia, które jest własnością państwa. Za poroże można by było wypłacać jedynie znaleźne w wysokości np. 10 proc. wartości poroża. To jest jedyna rozsądna metoda, która może ten nieetyczny proceder ograniczyć. Jeśli nie będzie się opłacać sprzedaż poroży, to ludzie nie będą ich zbierać na tak dużą skalę, jak to się dzieje teraz. Automatycznie zmniejszy się też presja na zwierzęta. Jestem za tym, aby handel porożem był koncesjonowany. Być może tylko kilka firm powinno się tym trudnić, tak jak to jest w przypadku skupu zwierzyny leśnej zabitej przez myśliwych. Koncesjonowanie sprzedaży czy skupu dawałoby wpływ do budżetu państwa. Nie wierzę już w to, że politycy są wrażliwi na los zwierząt, ale gdyby pokazać im argument finansowy, to może byliby skłonni uporządkować prawo nie tę dziedzinę. Być może te firmy, które dziś skupują ruchowo leśne, mogłyby zajmować się również kupowaniem poroży. Natomiast osoby, które zbierają poroże bez szkody dla zwierząt, nadal bez problemów mogłyby to robić. ©



Ochrona polskiej granicy wschodniej

MONETA KOLEKCJONERSKA NBP



Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu monetę kolekcjonerską „Ochrona polskiej granicy wschodniej”.

Srebrna moneta o nominale 10 zł została wyemitowana w hołdzie funkcjonariuszom Straży Granicznej oraz policjantom i żołnierzom, którzy strzegąc naszego terytorium – w obliczu działań o charakterze wojny hybrydowej – dają dowody najwyższego profesjonalizmu oraz oddania państwu polskiemu i jego obywatelom.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 27 stycznia 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: kolekcjoner.nbp.pl

Kamil Kusier
kamil.kusier@polskapress.pl

Społeczeństwo

- Telefon zaufania ratuje zdrowie psychiczne, a często nawet i życie i to nie jednego młodego człowieka, ale całego pokolenia młodych ludzi - mówi Aleksandra Kantypowicz, psycholog z Gdańska. Nie sposób się z tymi słowami nie zgodzić. Zwłaszcza, gdy mówimy o pomocy, która w głównej mierze skierowana jest do dzieci i młodzieży. Tym lepiej, że w Polsce funkcjonuje kilka różnych organizacji, które nieodpłatnie oferują pomoc najmłodszym. A którzy, jak wskazują statystyki, z tej pomocy raz, że chętnie korzystają, dwa - tej pomocy potrzebują.

W przestrzeni publicznej przed kilkoma dniami pojawiła się informacja, jakoby polskie dzieci i młodzież pozbawieni mieli być fachowego wsparcia, które do tej pory zapewniała Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, realizując ogólnopolski numer wsparcia 116 111. Numer ten w 2008 roku powołało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji w ramach zobowiązań Polski wynikających z członkostwa w Unii Europejskiej.

Jak wynika z informacji udostępnionych przez Fundację, współfinansowanie działania numeru na przestrzeni 14 lat jego działania oscylowało w granicy 30-60 procent rocznego budżetu, jaki potrzebny był do jego dalszego funkcjonowania. W ostatnich latach wsparcie z resortu zdrowia wynosiło niewiele ponad 100 tysięcy złotych rocznie, co stanowiło niespełna 3 procent budżetu.

Równolegle do telefonu zaufania prowadzonego przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę, również od kilkunastu lat swoje wsparcie dla najmłodszych kierowało biura Rzecznika Praw Dziecka, który jak potwierdza popiera wszelkie inicjatywy, które w zakresie swoich obowiązków oferują profesjonalną pomoc dla dzieci i młodzieży.

Jak informuje „Dziennik Bałtycki” biuro prasowe Rzecznika Praw Dziecka, w opinii Mikołaja Pawlaka każda profesjonalna, rzetelna pomoc dla dzieci i młodzieży jest cenna i powinna być udzielana w jak najszerszym zakresie.

W 2021 roku Rzecznik Praw Dziecka zawarł z Ministerstwem Zdrowia porozumienie o współpracy w zakresie wsparcia działalności Dziecięcego Telefonu Zaufania Rzecznika Praw Dziecka 800 12 12 12, to jednak działania prowadzone.

Eksperti dyżurujący przy telefonie 800 12 12 12 odebrali prawie 40 tysięcy połączeń telefonicznych i przeprowadzili ok. 10 tysięcy rozmów na czacie. Podjęto 220 spraw, które wymagały pilnego sprawdzenia sytuacji dziecka lub dotyczyły interwencji z uwagi na bezpośrednie zagrożenie zdrowia lub życia dziecka.

Telefony zaufania - 800 12 12 12, prowadzony przez Rzecznika Praw Dziecka, oraz 116-111, prowadzony przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę - działają od kilkunastu lat i udzielają profesjonalnej pomocy dzieciom i młodzieży.

Podobne statystyki w 2021 roku odnotowała Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. Jak informuje Anna Grabowska, rzecznik prasowy Fundacji - w 2021 roku, działając w trybie całodobowym, przeprowadzili 57 621 rozmów, odpowiedzieli na 9232 wiadomości online.

Jak zaznacza Fundacja Liczba interwencji w sytuacji zagrożenia zdrowia lub życia dziecka rośnie z roku na rok. W 2018 roku było ich 346, w 2019 - 519, w 2020 - 747, w 2021 - aż 823.

Tym bardziej ważne jest, że w przestrzeni publicznej funkcjonować będzie nadal kilka telefonów zaufania, z których skorzystać będą mogli najmłodsi.

- Jako psycholożka na co dzień pracująca z dziećmi i młodzieżą, mam poczucie, że telefon zaufania ratuje zdrowie psychiczne, a często nawet życie i to nie jednego młodego człowieka, ale całego pokolenia młodych ludzi - mówi w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim” Aleksandra Kantypowicz. - Samo poczucie, że jest bezpieczne miejsce, które pomieści przeżywane dziecięce emocje, trudności, poczucie bezsilności, bezradności, które usłyszysz o „moich myślach samobójczych”, pozostawia nadzieję, że w przeżywanym bólu, cierpieniu, smutku te dzieci zostaną zrozumiane. Telefon zaufania daje poczucie, że jest miejsce lub ktoś na świecie, kto się wstawi za tymi dziećmi, kto powie im „masz prawo tak czuć”, uprawomocni ich potrzeby. Często to jedyny miejsce, które znajduje się na liście ratunkowej, w sytuacji kryzysowej młodej osoby.

Kilka dni temu w sieci założona została zbiórka, której celem miało być nie tyle uratowanie telefonu zaufania, co zapewnienie jego dalszego funkcjonowania w trybie całodobowym. Organizatorem zbiórki w porozumieniu z Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę był Aleksander Twardowski. Na 20 stycznia 2022

Pomoc dla dzieci nie ma twarzy polityki



Aleksandra Kantypowicz: Rodzice muszą uważać na potrzeby swoich dzieci, zamiast je oceniać

roku z oczekiwanych 350 tysięcy złotych zebrano niemal 2 miliony złotych.

- W mediach bardzo często pojawiała się informacja, że milion złotych pokrywa roczny koszt funkcjonowania telefonu 116 111 - mówi Anna Grabowska, rzecznik prasowy Fundacji. - Niestety roczny koszt działania numeru wynosi ok. 3,5 miliona złotych. Jesteśmy bardzo wdzięczni za wszelką okazaną pomoc. Zebrane środki z pewnością zapewnią stabilność finansowania i funkcjonowania numeru 116 111 do końca 2022 roku.

Jak podkreśla Anna Grabowska, od początku istnienia telefonu tj. od 2008 roku Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę przeprowadziła prawie 1,5 miliona rozmów, udzieliła 86 262 odpowiedzi na wiadomości od dzieci, a także podjęła 3201 interwencji ratujących zdrowie i życie.

Dziecięcy Telefon Zaufania Rzecznika Praw Dziecka, swoją działalność rozpoczął 20 listopada 2008 roku. Telekomunikacja Polska, obecnie Orange, jako operator telekomunikacyjny i firma zaangażowana społecznie w pomoc dzieciom zdecydowała się wspomóc Dziecięcy Te-

Numer 800 12 12 12 jest udostępniony na zasadach niekomercyjnych. Czat nie wymaga logowania

lefon Zaufania Rzecznika Praw Dziecka. Dzięki tej współpracy wszyscy dzwoniący pod numer telefonu zaufania nie ponoszą żadnych kosztów. Numer 800 12 12 12 jest udostępniony na zasadach niekomercyjnych. Czat nie wymaga logowania i nie trzeba instalować żadnej aplikacji.

Podobnie funkcjonuje telefon zaufania prowadzony przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę. Telefon jest anonimowy, bezpłatny, całodobowy i dyskretny. Co warto podkreślić w każdym europejskim kraju pod numerem 116 111 osoby poniżej 18 roku życia otrzymają potrzebną pomoc i wsparcie.

O tym, jak ważne jest wsparcie dla dzieci i młodzieży porozmawialiśmy z gdańską psycholog Aleksandrą Kantypowicz, pracującą na co dzień w Dzieciń Oddziale Psychiatrycznym Dzieci i Młodzieży Mazowieckiego Centrum Neuropsychiatrii w Warszawie oraz w poradni Psychodolży24.pl.

Co do słuszności działania dziecięcych telefonów zaufania nie ma najmniejszych wątpliwości, to jednak, dlaczego ich funkcjonowanie jest aż tak ważne?

- Wzrastająca samoświadomość psychiczna młodych ludzi musi zostać zaopiekowana, dlatego, że dotyka ona, także głębszego rozumienia krzywdy, której doświadczyli i z którą zbyt długo pozostawali sami - zaznacza Aleksandra Kantypowicz. - Telefon zaufania, może stać się miejscem, który przerwie milczenie w ognisku domowym lub

rówieśniczym, o tym co czujemy naprawdę.

Jak zauważa psycholog specjalizująca się w pracy z dziećmi i młodzieżą czasy pandemiczne, w których żyjemy, pozwoliły zetknąć się nam z emocjonalną rzeczywistością w taki sposób, że obnażyły lęki i zmusiły do tego, żeby czuć, to co trudne i przerażające lub smutne, w sposób, który nie ukryją żadne maski.

Na co jednak zwracać uwagę, gdy dziecko świadomie lub też nie zaczyna zwracać swoją uwagę sygnalizując problemy, z którymi zaczyna sobie nie radzić?

- Kierując słowa ku rodzicom, mogę wskazać, żeby byli uważni na potrzeby swoich dzieci, zamiast je oceniać - tłumaczy Aleksandra Kantypowicz. - Co oznacza, że aby nie przeoczyć stanów depresyjnych lub rozwijających się zaburzeń lękowych, warto dawać pytania i swoją postawą dawać poczucie, gotowości na przyjęcie to co może być nieprzyjemne i trudne.

Jak tłumaczy psycholog zaburzenia depresyjne, w okresie dorastania mogą mieć przebieg dysforyczny, co oznacza, że możemy zaobserwować u dziecka drażliwość, wybuchy złości, gniewu, prowokowanie odrzucenia, trudno wówczas spostrzec smutek, który kryje się pod tą warstwą, a tym samym okazać zrozumienie i zadbanie, o dziecko, szczególnie, że możemy odnieść wrażenie, że robi nam na złość.

- Podobnie trudniej rozpoznać zaburzenia depresyjne, gdy depresja jest maskowana - dodaje Aleksandra Kantypowicz. - Wówczas nasze dziecko, może zgłaszać objawy bólowe, np. częste skargi na ból głowy lub inne bóle somatyczne, widoczne będą zaburzenia zachowania, może pojawić się bezsenność lub nadmierna senność przy braku wyraźnego widocznego smutku.

Z moich obserwacji wynika, że rodzice często przenoszą odpowiedzialność za zdrowie psychiczne dziecka na telefon lub komputer, mówiąc „to wszystko przez ten telefon”, tutaj chcę zauważyć, że owszem problem uzależnienia od telefonu czy gier typu online czy offline jest na tyle ważny i żywy, że znalazł się w najnowszej klasyfikacji ICD11 (Międzynarodowa Klasyfikacja Chorób ICD-11, wydanej w styczniu 2021 roku) jako nowa pozycja, ale w kontekście stanów depresyjnych, nadużywanie telefonu czy komputera, często stawia sposób na odłączenie się od myśli o braku poczucia sensu, od smutku, złości, frustracji,

wstydu, to sposób radzenia sobie poprzez ucieczkę od tego co trudne do zniesienia. Oznacza, to, że ważne jest abyśmy jako rodzice spróbowali zmierzyć się z własną odpowiedzialnością za dziecko, odsłaniając jaką funkcję może pełnić to co mnie niepokoi w zachowaniu mojego syna czy córki, zamiast w oskarżać urządzenie za stan emocjonalny mojego dziecka.

Jak zaznacza psycholog, inną często pojawiającą się diagnozą w przypadku młodzieży są zaburzenia lękowe, które mogą mieć różny charakter i przebieg, tutaj ważne jest, żeby dać dzieciom tyle poczucia bezpieczeństwa, aby mogły podzielić się tym, czego doświadczą, gdy idzie do szkoły, gdy ma powiedzieć przed klasą prezentację, gdy ma włączyć kamerkę na nauczaniu zdalnym. To poczucie bezpieczeństwa w domu, może zdecydować o tym, czy doświadczenie lęku rozwinię się w całe spektrum zaburzeń lękowych.

Zdaniem Aleksandry Kantypowicz ważne są tu wspierające komunikaty, kierowane do dziecka, zaczynające się od: - masz prawo do... - to jest w okiejęśli... - możesz czuć... - to normalne, że...

- Równie ważne są też słowa wsparcia, takie jak „rozumiem, że to musiało być naprawdę trudne”, „przykro mi, że przez to przechodzisz”, „jeśli mnie potrzebujesz to jestem i mogę cię wysłuchać”, „czego potrzebujesz?”, „jak mogę ci pomóc?” - wylicza Aleksandra Kantypowicz. - Są to komunikaty „uważniające” potrzeby drugiego człowieka, dają poczucie bycia ważnym i kochanym, nawet wtedy, gdy przechodzi się trudniejszy czas lub mierzy z przykrym doświadczeniem Głos wsparcia, zwłaszcza słyszany od najbliższych, to niezwykle doświadczenie, które spotykać powinno każde dziecko, które nie tylko wymaga pomocy, ale słyszany na co dzień, który zbuduje pewność siebie, pomoże w trudnej chwili lub okaże się nieocenionym gestem wsparcia.

- Każdemu młodym człowiekowi życzyć, żeby usłyszał te słowa w swoim życiu od kogoś dorosłego - mówi psycholog. - Czasami telefon zaufania jest pierwszym miejscem, które pozwala doświadczyć takiej formy pomocy, w której ważne są rozwiązania, ale też samo zauważenie potrzeb, które były niezauważone.

Biorąc pod uwagę skalę potrzeb, z jakimi zmagają się dzieci i młodzież, można odnieść wrażenie, że to niezwykle cenne, aby telefonów zaufania, jak ten prowadzony przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę 116 111, czy też 800 12 12 12, prowadzony przez Rzecznika Praw Dziecka było jak najwięcej, gdyż każde dziecko wymaga troski i opieki.

Warto przy tym pamiętać, że pomoc dla dzieci nie ma twarzy polityki.

Grupa PKL i PFR wspierają polskie narciarstwo alpejskie

Choć narciarstwo w Polsce może poszczycić się ponadstuletnią tradycją, a także wieloma talentami sportowymi w zimowych konkurencjach, to od lat czekamy z nadzieją na sukcesy polskich sportowców w narciarstwie alpejskim oraz snowboardzie. Dzięki realizowanemu od trzech sezonów programowi POLSKI MISTRZ i ostatnim sukcesom naszych zawodników wygląda na to, że polskie narciarstwo alpejskie jest na dobrej trasie.

Medale zdobyte przez Justynę Kowalczyk w największych sportowych imprezach były wielokrotnie powodem do dumy oraz wzruszeń polskich kibiców. Ciężko zapomnieć o małym znanym, która ogarnęła nasz kraj po sukcesach Adama Małysza, a także o wybitnych osiągnięciach Kamila Stocha, Dawida Kubackiego, Piotra Żyły oraz pozostałych zawodników reprezentacji w skokach narciarskich. Te wydarzenia wywoływały emocje wśród kibiców sportowych, którzy marzą o sukcesach swoich rodaków. Miłośnicy sportów zimowych od lat czekają także na sukcesy w narciarstwie alpejskim oraz snowboardzie zjazdowym – konkurencjach, które w ostatnim czasie obudziły w nas wszystkich ponownie nadzieje na dobre wyniki sportowe.

Wspieramy na trasie do mistrzostwa

Od trzech sezonów realizowany jest projekt, który narodził się w bardzo naturalnym partnerstwie. W 2019 roku powstał program POLSKI MISTRZ, którego inicjatorami są Polski Fundusz Rozwoju (PFR), Polskie Koleje Linowe (PKL) oraz Polski Związek Narciarski (PZN). Program POLSKI MISTRZ jest systemowym sposobem na wsparcie rozwoju narciarstwa alpejskiego oraz snowboardu. Stąd właśnie naturalne partnerstwo inicjatorów programu. Partnerzy strategiczni programu POLSKI MISTRZ udzielają wsparcia finansowego i organizacyjnego Polskemu Związkowi Narciarskiemu. Ponadto PKL udostępnia trasy narciarskie w swoich ośrodkach na potrzeby indywidualnych treningów dla klubów i zawodników posiadających licencje PZN. Na trasach ośrodków PKL w Szczawnicy (Palenica), Zakopanem (Kasprowy Wierch), Krynicy Zdrój (Jaworzyna Krynicka)

oaz w Zawoi (Mosorny Gróń) organizowane są zawody z kalendarza PZN i FIS.

Przez ostatnie lata bardzo wiele wydarzyło się w polskim narciarstwie alpejskim i snowboardzie. Zarówno w wymiarze organizacyjnym samych dyscyplin, jak i bazy treningowej dedykowanej dla wyczynowego sportu.

W ślad za zmianami oraz atmosferą towarzyszącą zawodowemu narciarstwu i snowboardowi pojawiły się sukcesy polskich sportowców na arenie międzynarodowej, na które wszyscy liczyliśmy.

Sportowcy, o których słyszymy i których podziwiamy, nie biorą się znikąd. Oczywiście na sukces składa się wiele czynników, jak chociażby talent, ciężka praca, wsparcie rodziny, trenerów, nauczycieli, czy, co zawsze bardzo istotne, odpowiednie predyspozycje. Ale także wsparcie finansowe oraz odpowiednia infrastruktura pozwalająca na treningi, rozwój umiejętności i rywalizację. Udowodniliśmy, że w naszym kraju mamy utalentowaną młodzież, dobrych trenerów, a program POLSKI MISTRZ nadał nowy impuls i stosowne ramy, tworząc zaplecze organizacyjne, finansowe oraz treningowe, umożliwiając zawodnikom wsparcie ze strony trenerów oraz rozwój ich sportowych pasji.

W program POLSKI MISTRZ od początku zaangażowany jest Polski Fundusz Rozwoju, który jest inwestorem strategicznym Polskich Kolei Linowych.

- Program łączy wymiar biznesowy - rozwój i promocja tras, których operatorem jest PKL, z wymiarem społecznym - wsparciem rozwoju polskiego narciarstwa zjazdowego i snowboardu. PKL ma jasno sprecyzowany plan rozwoju ośrodków narciarskich, które oprócz ogólnodostępnego charakteru turystycznego i amatorskiego będą rozwijać się w kierunku profesjonalnej, wyczynowej bazy dla polskich narciarzy i snowboardzistów. Chcemy, by program POLSKI MISTRZ był impulsem do modernizacji i dostosowania oferty ośrodków PKL, tak aby narciarze i snowboardziści polskiej kadry mieli najlepsze warunki do rywalizacji sportowej, a amatorzy mogli korzystać z najwyższej klasy, nowoczesnej infrastruktury - powiedział Paweł Borys, prezes zarządu PFR.

- Wiemy, jak ogromne i kluczowe znaczenie dla sportowców mają profesjonalne bazy treningowe. Jako Polskie Koleje Linowe chcemy wspierać polskich narciarzy, dlatego zdecydowaliśmy się wykorzystać potencjał, jaki posiadają trasy narciarskie w naszych ośrodkach, a także zaplecze sportowe ośrodków Grupy PKL. Dzięki zaangażowaniu wszystkich stron: PFR, Grupy PKL i PZN, wypracowaliśmy inicjatywę POLSKI MISTRZ, której zadaniem jest pomoc w osiąganiu celów sportowych naszych zawodników - tłumaczy Patryk Białokozowicz z zarządu PKL.

POLSKI MISTRZ - od juniora do seniora

Celem programu POLSKI MISTRZ jest zbudowanie możliwie największej grupy juniorskiej, gotowej do rywalizacji w konkurencjach technicznych na poziomie światowym. Udostępnienie zawodnikom i zawodniczkom profesjonalnie przygotowanych tras treningowych w Polsce, rozwój rywalizacji sportowej w kraju i organizacja zawodów FIS są szansą, by w przyszłości zawodnicy mogli walczyć o najważniejsze trofea na arenie międzynarodowej.

W tym sezonie w ramach programu POLSKI MISTRZ w ośrodku PKL Palenica w Szczawnicy odbyły się już trzy imprezy FIS, w tym Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w narciarstwie alpejskim. W ich czasie nasi reprezentanci mieli okazję mierzyć się z zawodnikami i zawodniczkami ze Słowacji, Czech, Ukrainy, Litwy, Łotwy, Kazachstanu czy Holandii. Do końca zimy zaplanowanych jest kolejnych 5 zawodów tej rangi. Dla młodych polskich sportowców są one okazją do zdobycia doświadczenia i cennych punktów FIS na dobrze sobie znanych trasach. Przed rozpoczęciem swojej przygody z zawodami FIS, młodzi alpejczycy biorą udział w Młodzieżowym Pucharze Polski. W tym sezonie odbędzie się 6 przystanków cyklu, który jest ważnym etapem w karierze przyszłych mistrzów i mistrzyń. Czołowi narciarze, którzy zakończyli w zeszłym sezonie rywalizację w Młodzieżowym Pucharze Polski, dołączyli w tym roku do Kadry Narodowych Juniorek i Juniorów. W ich skład wchodzi obecnie 16 zawodników i zawodniczek, którzy mają już za sobą pierwsze starty i dobre wyniki w zawodach międzynarodowych. Z pewnością należy tu wspomnieć o dużym sukcesie 16-letniej Hanny

Zięby, która w pierwszym roku startów seniorskich sięgnęła po tytuł Mistrzyni Polski w slalomie gigantów!

Także starsi zawodnicy i zawodniczki z Młodzieżowych Kadry Narodowych mają za sobą pracowity początek sezonu. W grudniu 2021 r. wystartowali w wielu zawodach FIS w Europie, osiągając bardzo dobre wyniki.

Od wielu lat czekaliśmy na sukcesy naszych zawodników w konkurencjach alpejskich. Jak pokazują wyniki Maryny Gąsienicy-Daniel w Pucharze Świata FIS i w czasie Mistrzostw Świata w narciarstwie alpejskim, a także coraz lepsze rezultaty Magdaleny Łuczak w Pucharze Europy i pierwsze punkty zdobyte w Pucharze Świata, potencjał jest bardzo duży.

- Nie ma Seniora bez Juniora. Nie ma Juniora bez Juniora Młodszego i Młodzika. To jest ta droga, którą muszą przejść narciarze, żebyśmy mogli liczyć na sukcesy w dorosłym narciarstwie. Przez wiele lat gubiliśmy gdzieś talenty. Zawodniczki i zawodnicy, którzy byli bardzo obiecujący np. do 15. lub 16. roku życia, nagle znikali. Dlatego program POLSKI MISTRZ objął swoim wsparciem alpejczyków będących w trudnym dla młodego człowieka wieku 12-20 lat. Bazę programu POLSKI MISTRZ stanowi zaplecze treningowe dostępne dla wszystkich klubów narciarskich i rozwój rywalizacji sportowej na trasach w Polsce. To na tej podstawie stworzyliśmy system, w ramach którego opieką trenerską i wsparciem objętych jest w sumie 28 zawodników i zawodniczek z różnych kategorii wiekowych. Kolejne dobre wyniki reprezentantów z różnych kategorii wiekowych na arenie międzynarodowej pokazują, że zmierzamy drogą do wyznaczonego celu. Teraz czeka nas praca, a i jeszcze raz praca, a kolejne efekty na pewno przyjdą - mówi Marcin Blauth, wiceprezes PZN ds. narciarstwa alpejskiego.

W sezonie narciarskim 2022 przed zawodniczkami i zawodnikami sporo wyzwań.

- Cieszymy się, że już kolejny sezon realizujemy wspólnie z PZN program POLSKI MISTRZ, a Grupa PFR i PKL, jako jego inicjatorzy oraz partnerzy strategiczni wspieramy naszych narciarzy i snowboardzistów. Życzymy narciarzom sukcesów na trasie do mistrzostwa i oczywiście trzymamy mocno kciuki za jak najlepsze wyniki w tym wyjątkowym sportowym sezonie roku 2022 - mówi Paweł Borys, prezes zarządu PFR.

Życzymy narciarzom sukcesów na trasie do mistrzostwa!

PFR
Polski Fundusz Rozwoju



**POLSKIE
KOLEJE
LINOWE**

INICJATORZY PROGRAMU

**POLSKI
MISTRZ**



Maryna Gąsienica-Daniel
ambasadorka programu

Daniel Obajtek: Przejęcie Grupy Lotos i PGNiG to nie prywatyzacja

Artur Kielbasiński
artur.kielbasinski@polskapress.pl



Gospodarka

Po połączeniu Gdańsk będzie centrum kompetencyjnym dla dalszego rozwoju olejów bazowych i środków smarnych w oparciu o istniejące i nowe aktywa Grupy - deklaruje Daniel Obajtek, prezes PKN ORLEN.

Czy dzisiaj, w związku z procesem budowy koncernu multienergetycznego, polski sektor paliwowy jest mocniejszy i bezpieczniejszy, niż był jeszcze kilka lat temu?

Dzisiaj ten sektor jest mocniejszy. Jest nowocześniejszy, bardziej otwarty na zmiany. Na to pracujemy już kilka lat. Oferujemy klientom nowoczesne, ekonomiczne paliwa, optymalizujemy logistykę, gwarantujemy wysoką jakość produktów i pewność dostaw. Dużo szybciej reagujemy na zmiany w otoczeniu czy nowe wyzwania. Do tego inwestujemy w rozwój i modernizację aktywów produkcyjnych - rafineryjnych i petrochemicznych, co przekłada się na wzrost potencjału całego sektora paliw. Połączenie Orlenu z Lotosem to szansa na nowe synergie i co za tym idzie, wymierne korzyści finansowe w tym obszarze.

A czy będzie on bardziej odporny na możliwość wrogiego przejęcia?

Zdecydowanie. Realizujemy proces połączenia, który wzmocni wszystkie zaangażowane podmioty. Nie ma żadnego ryzyka wrogiego przejęcia czy osłabienia bezpieczeństwa energetycznego. To wyłącznie hasła na sztandarach przeciwników fuzji i nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Opozycja cały czas mówi, że razem z węgierskim koncernem MOL, który przejmie część stacji Grupy Lotos, wpuszcza na rynek Rosjan. Podziela Pan tę opinię?

To absurdalne oskarżenia i przeciwnicy fuzji, którzy je wygłaszają, doskonale o tym wiedzą. Chodzi o to, żeby być na „nie”. Aby doprowadzić do powstania koncernu multienergetycznego, musimy spełnić warunki ustalone przez Komisję Europejską. Bardzo mocno negocjowaliśmy ich zakres. I już w tym czasie opozycja opowiadała, że my coś chcemy prywatyzować, oddawać obcemu kapitałowi. Mówiłem o tym wielokrotnie, ale powtórzę jeszcze raz: połączenie poprzez przejęcie zarówno Grupy Lotos, jak i PGNiG to nie jest prywatyzacja. Na skutek tego połączenia automatycznie Skarb Państwa zwiększa udziały w Orlenu, więc gdzie tu jest jakkolwiek prywatyzacja? A jeśli chodzi o MOL, to mówimy o inwestorze z kraju członkowskiego Unii Europejskiej, notowanym na giełdach europejskich w Budapeszcie i w Warszawie. W ramach środków zaradczych MOL kupi stacje paliw w Polsce, dające około 5% udział w rynku. Ale równocześnie odsprzeda pakiet stacji na Węgrzech, dający Orlenowi 7% udział w rynku oraz pakiet stacji na Słowacji. Przecież MOL tych stacji nie wywiezie. Będzie sprzedawał paliwa w Polsce i tu płacił podatki. Gdzie tu jest zagrożenie dla bezpieczeństwa energetycznego Polski?

Zatem te środki zaradcze określone przez Komisję Europejską nie podważają istoty zmian i tworzenia koncernu?

Komisja określiła warunki, jakie muszą być spełnione, abyśmy otrzymali zgodę na połączenie obu firm. Oczywiście negocjowaliśmy,



Prezes PKN ORLEN Daniel Obajtek

bo na przykład na samym początku Komisja oczekiwała sprzedaży całej rafinerii, np. w czeskich Kralupach. Na taki scenariusz nie zgodziliśmy się. W wyniku realizacji środków zaradczych ORLEN utrzyma kontrolę nad 70% udziałów w spółce zarządzającej rafinerią w Gdańsku. Będziemy cały czas przerabiać ropę

w Gdańsku, a jednocześnie zyskujemy partnera, który jest liderem w branży. Czy to są złe warunki? Też wolalbym połączyć obie firmy, zanim weszliśmy do Unii i nie realizować środków zaradczych. Opozycja miała taką szansę i jakoś jej nie wykorzystała. Prawda jest taka, że naprawiamy zaniechania z przeszłości. A ponieważ

robimy to skutecznie, to jest to solą w oku dla przeciwników fuzji.

Wróćmy do stacji paliw. 417 z nich kupuje węgierski MOL. Nie żał trochę tych stacji?

Po pierwsze - w tym pakiecie stacji własnych jest niecałe 300. Reszta to stacje franczyzowe należące

do prywatnych przedsiębiorców. Po drugie, Komisja ustaliła taki warunek, ale też powiedzmy szczerze, że trudno byłoby znaleźć ekonomiczne uzasadnienie dla posiadania dwóch stacji paliw w tej samej lokalizacji, konkurujących ze sobą. To byłby fundamentalny błąd. Dlatego proszę obiektywnie spojrzeć na transakcję z MOL. Za pieniądze z tej transakcji kupujemy blisko dwieście stacji na Węgrzech i na Słowacji, a więc w krajach, w których będziemy mogli dostarczyć nasze paliwa i wzmocnić pozycję rynkową. Wchodzimy przecież na rynki, na których już jesteśmy obecni. Na Węgrzech mamy teraz 5% rynku hurtowego benzyny, a na Słowacji - 15%. Poza tym, na Słowacji mamy już teraz 16 stacji, a kolejne 41 dojdzie na podstawie umowy z MOL. Dodatkowo w ramach pozyskanych ze sprzedaży środków planujemy zakup kolejnych 100 stacji w regionie Europy Środkowo-Wschodniej.

A co oznacza dla rafinerii w Gdańsku wejście Saudi Aramco jako inwestora?

Ze względu na politykę klimatyczną UE i światowy trend odchodzenia od paliw ropopochodnych, zainteresowanie zakupem rafinerii spada z roku na rok. Spójrzmy na statystyki, które pokazują bardzo ważny trend - od 2008 r. przestało działać ok. 30 rafinerii, a kolejne już są przeznaczone do wygaszania. Co więcej, w Europie wszystkie rafinerie pracują na poziomie ok. 75% mocy. I tu dochodzimy do ważnego wniosku. Dla dalszego funkcjonowania rafinerii potrzebne jest ramie petrochemiczne - przerabiające ropę na polimery, czyli plastiki. Obecnie w płockim zakładzie konwersja ropy na produkty petrochemiczne jest na poziomie 15%. Ale Saudi Aramco ma już konwersję na poziomie 25%, a w labora-

toriach opracowuje technologie, które umożliwiają przerób ropy w 80% na produkty petrochemiczne. Bo powtórzę - jeśli nie ma części petrochemicznej, taka rafineria, nawet nowoczesna, nie ma szans na długoterminowy rozwój. My chcemy ją włączyć do zintegrowanej grupy, gdzie przy współpracy z partnerem - Saudi Aramco - rafineria w Gdańsku zyska nowe szanse rozwojowe.

Z Saudi Aramco zawarliście nie tylko umowę dotyczącą udziałów w rafinerii, ale też umowy dotyczące analiz projektów inwestycyjnych, dostaw ropy naftowej, oraz badań i rozwoju. Ta współpraca przyczyni się do poprawy działania koncernu multienergetycznego?

Tak, zawarliśmy dodatkowo trzy strategiczne umowy. Jedną z nich dotyczy weryfikacji potencjału i docelowo realizacji wspólnych perspektywicznych inwestycji w petrochemii, nie tylko w Polsce, ale też w Europie Środkowej. Powiedzmy wprost - Saudi Aramco jest firmą innowacyjną i nie ma powodu, żeby tego potencjału nie wykorzystać przy wspólnych projektach. Druga umowa, która jest bardzo ważna, dotyczy badań i rozwoju. Już teraz wspólnie z Saudi Aramco i jej spółką zależną SABIC, światowym liderem w rozwoju petrochemii, powołaliśmy zespoły, które pracują nad analizą wspólnych przedsięwzięć w tym obszarze zarówno w Polsce, jak i poza granicami. Jest to ogromny potencjał, który bezwzględnie musimy wykorzystać.

Kolejna kwestia to dostawy ropy dla PKN Orlen. Renomowana agencja Bloomberg napisała, komentując porozumienie PKN Orlen z Saudi Aramco, że dla nich oznacza to zdobycie ważnego przyczółku na rynku zdominowanym przez Rosjan. I że to bardzo ważna zmiana.

Ja muszę zapewnić stabilne dostawy ropy o właściwej jakości do instalacji w całej Grupie Orlen. I z tego skutecznie od czterech lat się wywiązuję. W tym czasie dbaliśmy o dywersyfikację dostaw, ale też o ich ekonomikę. To się nie zmienia. Nie zrywam żadnego kontraktu. Działamy tak, żeby móc elastycznie podchodzić do zakupów surowca, a to będzie łatwiejsze dzięki umowie z Saudi Aramco.

Zapowiadał Pan, że w Grupie Lotos będzie centrum niektórych kompetencji

w ramach grupy PKN Orlen, co zatem będzie w Lotosie?

Po połączeniu Gdańsk będzie centrum kompetencyjnym dla dalszego rozwoju olejów bazowych i środków smarnych w oparciu o istniejące i nowe aktywa Grupy. Duży potencjał widzimy też w budowie pozycji na rynku logistyki kolejowej w oparciu właśnie o aktywa Lotosu. A realizowane przez PKN ORLEN działania w zakresie rozwoju morskiej i lądowej energetyki wiatrowej to szansa na dynamiczny rozwój usług serwisowych, również spółek z Grupy Lotos. Patrząc w przyszłość, perspektywiczny będzie też rozwój i wdrożenie technologii wodorowych, do czego dzisiejszy Lotos jest dość dobrze przygotowany.

Padła też taka deklaracja, że nie będzie żadnych zwolnień grupowych.

Już podpisaliśmy porozumienie ze związkami zawodowymi dotyczące m.in. osób, które w ramach warunków zaradczych odchodzą z naszej grupy. To porozumienie zostało akceptowane. Tu nie ma żadnych zwolnień grupowych, którymi tak próbuje straszyć opozycja. Ale gdy tego słucham, to aż trudno uwierzyć, kto o tym mówi. Tylu zwolnionych z pracy ludzi, którzy poszli na bruk przez politykę pana Janusza Lewandowskiego, to w całej historii Polski nie było. Zanim ktoś zacznie straszyć zwolnieniami, to niech się zastanowi, ile ludzi straciło pracę poprzez jego działania prywatyzacyjne. Nie bez powodu nazwano to „najdroższą porażką III RP”. Powtarzam zatem: nie ma żadnych planów, by były jakiegokolwiek grupowe zwolnienia.

Wielokrotnie podkreślał Pan, że głównym zadaniem koncernu multienergetycznego będą inwestycje. Jakie macie najbliższe plany w tym zakresie.

Już od czterech lat realizuję rekordowy co do wartości program inwestycyjny. Zgodnie z naszą strategią do 2030 r. przeznaczymy 140 mld zł m.in. na modernizację obecnych aktywów, rozwój nowych, niskoemisyjnych oraz wdrażanie i opracowywanie nowych technologii. Stawiamy na projekty rozwojowe. Prowadzimy największą inwestycję petrochemiczną w Europie w ciągu 20 lat - budowę kompleksu instalacji Olefin III w Płocku, której koszt szacowany jest na ok. 13,5 mld zł. Pozyskaliśmy partnerów do wdrożenia i komercjalizacji w Polsce technologii małych reaktorów jądrowych, którymi zostali

ORLEN Synthos Green Energy i GE Hitachi. Już za półtora roku ruszamy z budową morskiej farmy wiatrowej, prowadząc jeden z najdynamiczniej rozwijanych obecnie tego typu projektów na Bałtyku. Rozwijamy obszar sprzedaży detalicznej, powiększając sieć stacji w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, ale też rozszerzając ofertę dla klientów. W ciągu ostatnich lat powstało ponad 200 nowych stacji, a zgodnie ze strategią do 2030 roku w regionie pod polską marką ORLEN będzie działało co najmniej 3,5 tysiąca stacji. Inwestujemy w spółki z Grupy, rozwijając

ich kompetencje w perspektywicznych obszarach. W Anwilu kontynuujemy rozbudowę mocy nawozowych, zwiększając przy tym ofertę produktową spółki. W Trzebini powstała instalacja do produkcji ekologicznego glikolu, która gwarantuje rozwój ORLEN Południe w kierunku nowoczesnej biorafinerii i zapewnia nowe miejsca pracy. Z kolei uruchomiona w ramach tej inwestycji wytwórnia wodoru pozwoli nam budować silną pozycję na rynku paliw alternatywnych. A wiele ważnych projektów już doprowadziliśmy do końca. Wykupiliśmy

udziały Unipetrolu od akcjonariuszy mniejszościowych i staliśmy się jedynym właścicielem spółki w Czechach. Nabyliśmy również 100 proc. udziałów spółki transportowej OTP, największego przewoźnika drogowego paliw płynnych w Polsce. To daje nam możliwość dynamicznego rozwoju i optymalizacji procesów logistycznych w całej Grupie ORLEN, co pozwoli na osiągnięcie oszczędności na poziomie nawet 25 mln zł rocznie. Za nami także przejęcie Grupy Energa. Już rok po jej włączeniu do Grupy Orlen wypracowała solidne wyniki finansowe, które

w pierwszym półroczu 2021 r. sięgnęły rekordowo wysokich poziomów. EBITDA za pierwsze sześć miesięcy 2021 roku wyniosła 1,4 mld zł, co oznacza wzrost o 34% (r/r). Zysk netto to z kolei 0,7 mld zł w porównaniu do (-) 0,7 mld zł w pierwszym półroczu poprzedniego roku. Przychody w tym samym okresie wzrosły o 9% (r/r) i zamknęły się na poziomie 6,7 mld zł. Budowa silnego koncernu wymaga konsolidacji polskich spółek paliwowo-energetycznych oraz ekspansji geograficznej i te elementy uwzględniliśmy w naszej strategii ORLEN2030. ©

REKLAMA

teleexpress

TVP 1

TELEWIZJA POLSKA
PRZYPOMINA,
NOWY STANDARD
SIĘ ZACZYNA

SPRAWDŹ SWÓJ
TELEWIZOR

WYSZUKAJ W NTC KANAŁ TESTOWY **SPRAWDZAM TV**
LUB WEJDŹ NA **TELEWIZJANAZIEMNA.PL**

Krzysztof M. Załuski
krzysztof.maria.zaluski
@polskajedynosc.pl



Świat

W ostatni piątek w „Rejsach” ukazał się tekst „Niemcy na energetycznym rozdrożu”. Materiał dotyczył energetycznych dylematów naszych sąsiadów. Pisząc go, próbowałem dociec również genezy zupełnie niezrozumiałej miłości eurolewicy do rosyjskiej ropy i gazu. Przy tej okazji wspominałem o Joschce Fischerze, Daniele Cohn-Benditcie i paru innych Zielonych, którzy za młodu otarli się o lewacki terroryzm, a na starość wydawali na szczycie unijnej drabiny władzy... Po publikacji dostałem kilka e-maili, odebrałem parę telefonów i SMS-ów. Czytelnicy poprosili o szczegóły... Oto one.

Joschka Fischer jest synem „wypędnego” spod Budapesztu niemieckiego rzeźnika. Zanim został ministrem spraw zagranicznych i wicekanclerzem Republiki Federalnej, miał się różnych zajęć. Nie ukończył gimnazjum, bez powodzenia terminował w zakładzie fotograficznym, próbował być listonoszem i malarzem. Cel w życiu odnalazł 2 czerwca 1967 roku. Tego dnia w Berlinie Zachodnim doszło do zabójstwa bezbronnego studenta Benno Ohnesorga. Mordercą był policjant, który po latach okazał się prowokatorem Stasi.

Świat, jakiego jeszcze nie było

Ta tragedia wstrząsnęła całymi Niemcami. Odmieniła również życie Fischera. 19-letni Joschka postanowił, że zostanie „zawodowym rewolucjonistą”, obali konstytucyjny porządek państwa, a na jego gruzach zbuduje „świat bez wojen i głodu, świat przyjazny wszystkim ludziom, bez względu na narodowość, rasę, czy światopogląd”.

Za udział w walkach ulicznych Fischer został skazany na sześć dni aresztu... Ten epizod po niemal trzech dekadach o mało nie zwichnął mu kariery. Sprawa wypłynęła w związku z procesem jego przyjaciela Hansa-Joachima Kleina. Były terrorysta Rote Armee Fraktion zeznał, że w mieszkaniu Fischera i Cohn-Bendita nocowali bojownicy RAF. Z kolei Ilich Ramírez Sánchez znany również jako Carlos – wenezuelski terrorysta odpowiedzialny za akcję przeciwko szefom OPEC – twierdził, że Fischer przechowywał odebraną policjantom broń, rzucał cocktaile Mołotowa, kopał leżących funkcjonariuszy i „popierał bohaterską walkę narodu palestyńskiego z izraelskim okupantem aż do ostatecznego

Ludzie znikąd, czyli skąd się wzięła eurolewica



1974 r. Joschka Fischer (twarzą do kamery, z wąsami) uczestniczy w demonstracji we Frankfurcie

zwycięstwa”... Wśród oskarżających Fischera osób znalazła się też dziennikarka Bettina Röhl, córka legendarnej założycielki RAF, Ulrikei Meinhof.

Revolucja z pomocą przyjaciół

Mimo upływu lat ludziom racjonalnie myślącym nadal ciężko zrozumieć, jak to możliwe, że imigrant bez korzeni i wykształcenia, lider organizacji Revolutionärer Kampf (Walka rewolucyjna), aktywista jej zbrojnej komórki PutschGruppe (Oddział Sprzątający) oraz skrajnie lewicowego ruchu Sponti (Spontaniczni) stał się politykiem reprezentującym Niemcy na arenie międzynarodowej? Czy rzeczywiście bez pomocy z zewnątrz ten mark-

sistowski agitator mógł stać się jednym z najbardziej wpływowych i popularnych ludzi w powojennej historii Republiki Federalnej?

Lewackie bojówki, w których wojował młody Joschka, trudniły się nie tylko studiowaniem dzieł Marksa, Engelsa, Lenina, Trockiego i Mao Tse-tunga. Ich aktywiści uczestniczyli też w ulicznych zady-

Były terrorysta Rote Armee Fraktion zeznał, że w mieszkaniu Fischera i Cohn-Bendita nocowali bojownicy RAF

mach, podczas których domagali się od „faszystowskiej” władzy poszanowania demokracji i praworządności. Postulowali konieczność odbierania majątków bogatym i zniszczenia imperialistycznego systemu rządzącego światem.

„Spontaniczni” z czasem zaczęli przekuwać hasła w czyny – przejmowali squaty, mieszkania i domy. Instalowali w nich komuny i ośrodki szkoleniowe. Najbardziej radykalizowane grupy chwyciły za broń – najkrwawszą z nich okazała się RAF, która przez trzy dekady prowadziła z państwem partyzancką wojnę.

Od zadymiarza do luminarza
Bojówkarze z Revolutionärer Kampf byli łagodniejsi od RAF.

Do walk z policją używali kamieni, butelek z benzyną i proc. Mimo to „springerowska prasa” nazywała ich „dziećmi Hitlera”, „czerwonymi faszystami” i „marksistowskimi terrorystami”.

18 października 1977 roku, przebywający w stuttgarckim więzieniu Stammheim przywódca RAF Andreas Baader, Gudrun Ensslin i Jan-Carl Raspe popełnili samobójstwo. Rok wcześniej, w maju, funkcjonariusze służby więziennej znaleźli w celi martwą Ulrike Meinhof. Te wydarzenia ostudziły rewolucyjny zapal Joschki Fischera. W jednym z wywiadów przyznał: „rewolucjonista stałem się reformistą, a z lewaka – Zielonym”.

Wielu towarzyszy Fischera uznało tę metamorfozę za przejaw konformizmu, a nawet za zdradę pacyfistycznych ideałów. Ta krytyka ani trochę nie przeszkodziła Joschce w błyskotliwej karierze. W roku 1981 zapisał się do Bündnis 90/Die Grünen (Sojusz 90/Zieloni). Dwa lata później był już deputowanym do Bundestagu. W 1985 roku dostał tekę ministra ochrony środowiska Hesji, a w 1998 objął stanowisko wicekanclerza Niemiec. 12 maja 2000 r. wygłosił słynne przemówienie, w którym dowodził, że Unia powinna stać się w przyszłości federacją.

Po roku 2006 Fischer zajął się zawodowo lobbingiem. Przystąpił do ufundowanej przez George’a Sorosa Europejskiej Rady Stosunków Zagranicznych. Trzy lata później rozpoczął współpracę z austriackim koncernem OMV, który miał wybudować 3300-kilometrowy gazociąg Nabucco, transportujący rosyjski gaz z Morza Kaspijskiego przez Turcję do Unii Europejskiej.

Czerwony Dany podpala Francję

Życiorysem Daniela Cohn-Bendita, bliskiego przyjaciela i przez pewien czas współlokatora Joschki Fischera, można by obdzielić kilku lewackich zadymiarzy. Jego ojciec był berlińskim prawnikiem, zdeklarowanym ateistą, trockistą i alkoholiczkiem. Matka pochodziła z Poznania.

Daniel urodził się we Francji, dokąd w obawie przed prześladowaniami w 1933 roku uciekła z Niemiec jego niemiecko-żydowska rodzina. W 1958 r. przeniósł się do Hesji, gdzie w Heppenheim skończył eksperymentalną Odenwaldschule – szkoła ta zasłynęła później aferą, która wybuchła w związku z masowym molestowaniem uczniów przez nauczycieli.

Cohn-Bendit od urodzenia był bezpaństwowcem. Dopiero po doświadczeniu niemieckiego obywatelstwa niemieckiego – francuskiego zrzekł się, aby uniknąć poboru do wojska.

Był więc tak jak Fischer „człowiekiem znikąd”... Podczas studenckiej rewolty mówiono o nim „Dany le Rouge” (Czerwony Dany). On sam siebie charakteryzował jako „anarchistę i marksistę”, którego „celem jest obalenie rządu prezydenta Charlesa de Gaulle’a”.

W roku 1968 Cohn-Bendit założył skrajnie lewicowy ruch o nazwie 22 Marca. W 1978 roku wstąpił do powstającej partii Zielonych. Po raz pierwszy posłem do Parlamentu Europejskiego został w roku 1994. Później zasiadał w nim jeszcze kilkakrotnie – na przemian z niemieckimi i francuskimi listami.

W 2001 roku wspomniana już Bettina Röhl oskarżyła go o pedofilię – jako dowód przytoczyła fragment z jego książki „Le grand bazar”: „W 1972 roku złożyłem podanie o pracę w alternatywnym przedszkolu we Frankfurcie nad Menem. Pracowałem tam ponad 2 lata. Mój ciągły flirt z dziećmi szybko przyjął charakter erotyczny. Te małe pięcioletnie dziewczynki już wiedziały jak mnie podrywać. Kilka razy zdarzyło się, że dzieci rozpięły mi rozporek i zaczęły mnie głaskać. Ich żądania były dla mnie kłopotliwe. Jednak często mimo wszystko i ja je głaskałem”. W odpowiedzi na zarzuty Röhl, Cohn-Bendit stwierdził, że przytoczone opisy były jedynie „obrzydliwą prowokacją”, nie mającą nic wspólnego z rzeczywistością.

Obecnie „zielony Dany” angażuje się w obronę planów Komisji Europejskiej dotyczących uznania energii jądrowej i gazu za przyjazne dla klimatu. Od 2010 r. wspiera inicjatywę Spinelli Group, mającą na celu doprowadzenie do federalizacji Unii Europejskiej – wśród członków tej grupy są także Guy Verhofstadt, Jacques Delors i... Joschka Fischer.

Cudów nie ma

Po zjednoczeniu Niemiec lewacki terroryzm stracił impet. RAF i inne bojówki pozbawione wsparcia sowieckich służb nie były już w stanie walczyć – jak wynika z dokumentów przejętych przez Bundesnachrichtendienst, Stasi dostarczała terrorystom dokumenty i broń, udzielała im schronienia, szkoliła i koordynowała wszystkie zamachy.

Obecną sytuację w Europie trudno oczywiście porównywać ze stanem sprzed kilku dekad. Niemniej „cudowne” kariery „ludzi znikąd”, powinni budzić refleksję. Bo przecież każdy, kto choć trochę interesuje się historią, wie, że w polityce nic nie dzieje się przypadkiem. A tym bardziej nikt przypadkiem nie zostaje dyrektorem Gazpromu lub OMV, ministrem spraw zagranicznych, kanclerzem, wicekanclerzem, europosem, czy Przewodniczącym Rady Europejskiej.

Rosół z maszkaronem gotował tylko On

Wspomnienie

Kto nie szukał w nigdy w piątkowym „Dzienniku Bałtyckim” Subiektywnego Rankingu Tomasza Rozwadowskiego, albo nie śmiał się (czasem gorzko) czytając jego Rosół z maszkaronem niech pierwszy rzuci kamieniem. Dziś pożegnamy nieodżałowanego Rozwada na Cmentarzu Łostowickim.

Kiedy napisał relację z Open'era, albo Jazz Jantar to wiadomo było nawet, który gitarzysta miał struny pokryte rdzą. W ogóle tekstów Tomek „Rozwad” Rozwadowski zostawił sporo. Mistrzowski był jego Subiektywny Ranking, w którym momentami uprawiał felietonistyczny, wyrafinowany „ground and pound” (taki jak z MMA) na różnej maści postaciach. 2 października 2016 r. Tomasz Rozwadowski w Subiektywnym rankingu wyróżnił cytatem tygodnia: „Każdy chce mieć na herbatkę czy prosecco”. - Dyrektor artystyczny Teatru Polskiego w Poznaniu Maciej Nowak tak oto mówi o komercyjnych fuchach, jakie biorą artyści i ludzie kultury. Herbatka jest

ważna w życiu każdego człowieka, a kto twierdzi inaczej, jest hipokrytą - pisał Rozwad. Tamtemu rankingowi nadał dodatkowy tytuł: „Potencja ponad prawem”. Dlaczego? „43-letni mężczyzna został ujęty podczas próby nadania kilkudziesięciu przesyłek zawierających preparaty na potencję” - tak brzmiał rankingowy wpis pod hasłem „Ujęty tygodnia: dziłki aptekarz”. Inny przykład poczucia humoru Tomasza Rozwadowskiego? Oto ranking z grudnia 2016 r., hasło: Potracony tygodnia: dzik. „Prowadzony przez samotnego kierowcę zderzył się z biegnącym zwierzęciem. Kierowca okazał się trzeźwy. O stopniu poczytalności nieszczęsnego zwierzęcia nie wiadomo nic”.

Rozwad „umiał w sport”. W jednym z rankingów sędziemu Szymonowi Marciniakowi, po meczu Arki z Jagiellonią przyznał tytuł „Filuta tygodnia”. „Talent reżyserski, jaki Marciniak ma niewątpliwie, lepiej sprawdziłby się w teatrze czy filmie niż w sporcie” - doceniał Marciniaka Rozwad.

Polityków nie oszczędzał. Żadnych. W sierpniu 2019 r. w „Subiektywnym...” jedną z rankingowych not zatytułował



Tomasz Rozwadowski, nasz redakcyjny kolega. Mistrz Subiektywnego rankingu. Tylko on gotował Rosół z maszkaronem

„Wosie tygodnia” i nabijał się Bartłomieja Sienkiewicza z PO, który pomylił publicystę Rafała Wosia z Michałem Wosiem, mi-

nistrem w rządzie PiS. Wcześniej nie miał litości dla Kacpra Płazyńskiego. Nazwał go „bezwzględny tropiciel afer

w obozie przeciwnym, tolerancyjnym wobec siebie”. Nie było czego zbierać z redakcji „Dziennika” gdy Rozwad obwieścił pewnego dnia, że w Kenii utworzona została partia o nazwie „Ch..a” i masz swój hymn. Rozwad także gotował... Rosół z maszkaronem. Tytuł felietonu - majstersztyk, podobnie jak samo danie. We wrześniu 2019 r. Rozwad w swoim Rosole poświęconemu filmowi „Pan T. ugotował taką oto puentę: „Komiksowe są także niektóre epizody, na przykład z Panem T., który został poczęstowany w toalecie marihuaną przez... Bolesława Bierut, ówczesnego satrapę PRL. Coś takiego nie mogło się zdarzyć, ale jakżeś jest fajne...”. Tytuł tego Rosolu? Blant z Bierutem... - „Wydał mi się, że tak skrupulatnie i pełne uszanowania czczenie tych artystek i artystów, którzy już odeszli, bardzo dobrze polskiemu jazzowi robi - pisał z kolei w 31 października 2019 r., bo nie zawsze się w swoich tekstach śmiał.

W wydaniu „Dziennika Bałtyckiego” z 22 listopada 2019 r. Tomasz Rozwadowski żegnał w tekście zmarłego rysownika Zbigniewa Jujkę. Przytoczył m.in. taki cytat z Antoniego Paw-

laka: - Trudno sobie wyobrazić nasze miasto bez tego wesołego faceta. A jeszcze trudniej wyobrazić sobie bez niego „Dziennik Bałtycki”. Zmieniali się redaktorzy (także naczelni), zmieniali się dziennikarze, zmieniała się też szata graficzna. A Jujka trwał jak skała - brzmiał ów cytat. Słowa te pasują też do samego Rozwada. Bo rzeczywistość, trudno było sobie wyobrazić „Dziennik Bałtycki” bez Tomka, który z firmy został zwolniony z końcem 2019 r. Swoją ostatnią na naszych łamach Rosół z maszkaronem podał 31 października 2019 r. o jazzowych zaduszkach. Jego ostatnim artykułem było wspomnienie o Zbigniewie Jujce.

Na koniec fragment z Subiektywnego rankingu z maja 2016 r. Tomasz Rozwadowski cytował wówczas fragment rozmowy z demografem, prof. Piotrem Szukalskim. Cytat naukowca jest kompletnie nieistotny, ale komentarz Rozwada nokautuje, zwłaszcza dziś: „Osobiście należą raczej do osób, którym skóra cierpnie na myśl o przeżyciu dwudziestu lat na homeopatycznej emeryturze. Długowieczność ma swoje słabe strony”

REDAKCJA

REKLAMA

0010393602

Droższa energia elektryczna. Nie daj się podwyżkom!

Od nowego roku ceny prądu wzrosły. Dzięki rządowej tarczy antyinflacyjnej w pierwszym kwartale skutki podwyżek nie będą bardzo odczuwalne dla gospodarstw domowych. Już teraz warto jednak pomyśleć, jak oszczędzać prąd i pieniądze. Sprawdź, dlaczego za energię elektryczną będziemy płacić więcej i co zrobić, żeby zminimalizować rachunki za prąd.

Dlaczego ceny energii elektrycznej rosną?

Nie tylko elektrownie węglowe, ale również gazowe w krajach UE, żeby móc emitować dwutlenek węgla nieodłącznie towarzyszący wytworzeniu prądu z tych źródeł, zobowiązane są do zakupu uprawnień do emisji CO₂ (EU ETS). Ogólna sytuacja gospodarcza na świecie, a także spekulacje finansowe związane z uprawnieniami do emisji CO₂, które są obecnie przedmiotem europejskiej dyskusji, spowodowały, że w 2021 r. ceny EU ETS wzrosły ponad trzykrotnie. W konsekwencji ceny prądu rosną w całej Europie.

Złagodzenie podwyżek dzięki działaniom rządu

Wobec rosnących cen energii w grudniu 2021 r. prezes Urzędu Regulacji Energetyki (organu kontrolującego ceny prądu dla gospodarstw domowych) zdecydował o podwyżkach taryf dla gospodarstw domowych średnio o 24%. Przeciętne gospodarstwo zapłaci

za prąd o 21 zł miesięcznie więcej. W I kwartale 2022 r. obniżona została jednak akcyza oraz stawka podatku VAT na energię elektryczną, co spowoduje wzrost przeciętnego rachunku zaledwie o 6 zł miesięcznie.

Dodatek osłonowy

Rządowa tarcza antyinflacyjna to nie tylko obniżka akcyzy i VAT-u, ale także rekompensaty podwyżek dla najbardziej potrzebujących. W zależności od dochodu na osobę, wielkości gospodarstwa domowego oraz sposobu ogrzewania w 2022 r. można otrzymać dodatek osłonowy w wysokości nawet 1 437,50 zł. Stosowny wniosek należy złożyć do końca października w urzędzie gminy lub przez internet. Więcej informacji o dodatku osłonowym znajdziesz na stronach Ministerstwa Klimatu i Środowiska. Prąd będzie drożał. Ekspert nie pozostawia złudzeń - prąd w kolejnych latach będzie drożał. Przyczyną tendencji wzrostowej cen energii elektrycznej jest wiele.

Droższą surowce energetyczne, wciąż będą się utrzymywały wysokie ceny uprawnień do emisji CO₂, których na rynku jest w dodatku coraz mniej. Jako państwo ponosimy też bardzo wysokie koszty transformacji energetycznej, inwestując środki w wytwarzanie prądu z odnawialnych źródeł energii.

Jak oszczędzać energię elektryczną?

„Prąd się sam nie zużywa” - mówi pani Iza, gospodyni domowa z Lublina. „Pilnuję, by dzieci uczyły się wyłączać światło po wyjściu z pokoju i nie wietrzyły lodówki. To daje realne oszczędności na rachunkach” - dodaje. Co jeszcze możemy zrobić, żeby zmniejszyć opłaty za energię? Wystarczy klika czynności, żeby ograniczyć zużycie prądu i wysokość rachunków:

- sprawdź na rachunku swoją taryfę - być może znacznie mniej płacisz za prąd zużywany w nocy i w weekendy. Warto zaplanować na ten czas energochłonne prace, np. pranie;

- zmień taryfę, dopasowując ją do twojego trybu życia - zapewnij sobie w miarę możliwości tańszy prąd wówczas, kiedy najbardziej go potrzebujesz;
- zastanów się, z których urządzeń naprawdę korzystasz. Rzadko włączany telewizor w drugim pokoju w trybie standby czy ładowarka smartfona podłączona

- stale do gniazdka bez przerwy zużywają energię, za którą płacisz;
- jeśli masz pralkę bez funkcji dopasowania zużycia wody do ilości prania, włączaj ją dopiero, gdy się zapelni; kiedy tylko jest to możliwe, korzystaj z krótkich programów o niskiej temperaturze prania;
- kupując nowy sprzęt AGD zwracaj

uwagę na klasę energetyczną urządzeń - inwestycja w droższą lodówkę, ale o klasie A (a najlepiej A+++), naprawdę się opłaca!

Jeśli chcesz poznać inne sposoby na zmniejszenie zużycia energii elektrycznej, wejdź na stronę www.LiczSieEnergia.pl i sprawdź, jak jeszcze możesz zaoszczędzić.



Gdy wiatr mocniej wieje, sołtys pilnuje wiatraka

Grażyna Antoniewicz
grazyna.antoniewicz
@polskapress.pl



Żuławy Gdańskie

Przy polu tulipanowym, we wsi Mokry Dwór, na polu sołtysa Wiesława Zbroińskiego stoi wiatrak typu paltrak. Trafił tu przed trzema laty z Wyszogrodu.

Na Pomorzu od kilku dni szaleją wichury - sołtys Mokrego Dworu już drugą noc nie śpi, czuwa.

- Podczas huraganu młynarz musi pilnować wiatraka, aby go ustawić do wiatru - opowiada. - W nocy kilka razy wstaję, wychodzę na dwór sprawdzić, skąd wiatr wieje i jeśli trzeba, przekręcam go. Kiedyś miałem taki głupi sen, że rano wstaję, a tu wiatraka nie ma. Nawet jak gdzieś wyjeżdżam, to zawsze jeden z synów ma przykazane: „Pamiętaj, pilnujesz wiatraka”. Trzeba pilnować, i faktycznie kilka wiatraków w Polsce przewróciło się przez zaniedbanie młynarza.

Wspomina, że kiedy konstrukcja była już zrobiona, podczas silnej wichury wiatrak sam się obrócił o osiem metrów. Na szczęście, nic się nie stało, bo śmigła nie były jeszcze założone.

Modlitwa wiatraczna

Wiatrak z Mokrego Dworu został powołany w Wyszogrodzie (koło Płońska) w 1903 roku. Drewno na niego młynarz zamówił w 1901 roku. Dwa lata było sezonowane.

- Dopiero w 1903 roku go powołali. Pani się dziwi, że mówię „powołali”, a tak, bo wiatraka się nie buduje. Można zbudować dom, kościół, stodołę, ale wiatraka nie, bo on jest członkiem rodziny. Na miejscu jego zawalenia się czy spalania nie można postawić nowego, bo tam jest jego mogiła. Takie są starodawne zapisy - zapewnia nasz rozmówca.

Wchodzimy do środka, na belce wita nas napis: „Ten wiatrak broń Boże, bo się na nim miele zboże, bo się miele w dzień i w nocy, bądź nam Boże przy pomocy”.

- To jest modlitwa. Prawie każdy wiatrak miał swoją modlitwę albo na belce wejściowej, albo na przesiewaczu cylindrycznym. Ta jest z wiatraka, który stał niedaleko Poznania,



Sołtys Wiesław Zbroiński na tle wiatraka, który zrekonstruował



Paltrak obracany jest przez młynarza, nie potrzeba do tego żadnych maszyn, choć waży tonę



Zabytkowy mlewnik walcowy służący do rozdrabniania ziarna

ale zniknął z powierzchni ziemi w latach 70. - mówi sołtys.

Kamienne żarna

Oglądamy ręczne żarna, na których samemu można zrobić mąkę. U góry są identyczne, tyle że potężne. Idziemy na kolejną kondygnację. Wiesław Zbroiński pokazuje piękny skórzany pas do napędu mlewnika, który ostatnio udało mu się zdobyć.

- To majstersztyk, łączony jest rzemieniami, bez żadnych klamer - mówi z dumą.

Podziwiamy maszynę z 1864 roku. Jest już podłączona, będzie robić białą grykę. Wspinamy się jeszcze wyżej. Tam, gdzie jest serce wiatraka, stoją kamienie żarna, które robią mąkę. Wiesław Zbroiński prezentuje urządzenie, które przesiewa mąkę, wyjaśnia: plewo, które zostało zmielone przez kamienie, spada w dół, podajnik kubelkowy transportuje je do góry. Przesypuje, a mąka spada w dół. Idealna, tak drobniutka, że nie ma żadnej grudki. Starsi ludzie zapewniają, że mąka z młyna elektrycznego nie dorówna tej z wiatraka.

Oglądamy żubrownik do obłuskiwania pszenicy. Tu wszystko zostało wiernie odtworzone, tak jak było. Wiesław Zbroiński przy pomocy specjal-

Dwa lata uparty Żuławiak zrekonstruował wszystko. Robił to sam od podłóg po urządzenia

nego urządzenia podnosi kamień młyński, ważący pół tony.

- Także worków ze zbożem młynarz nie nosił po schodach - one wjeżdżały windą na górę - opowiada.

Podziwiamy drewniane sprężyny, cóż, młynarz musiał sobie radzić, bo kowal był drogi.

- Wiatrak jest obracany przez młynarza, nie potrzeba do tego żadnych traktorów, maszyn. Cały budynek waży sto ton i młynarz go sam obraca, najmłodsze dziecko, które go obróciło, to był mój wnuk, jak miał osiem lat - opowiada Wiesław Zbroiński.

Kraina tysięcy wiatraków

Dawniej Żuławy nazywane były „krajną tysiąca wiatraków”. Przez setki lat stanowiły one nieodłączny element kra-

jobrazu, o czym świadczą XVIII- czy XIX-wieczne mapy wskazujące ich liczne lokalizacje. Pełniące niezwykle ważną funkcję drewniane wiatraki odwadniająco-nawadniające stały niemal nad każdą rzeką czy większym kanałem. Z około stu zachowanych do czasów II wojny światowej - regulujących nawodnienie pól, przetrwał jedynie zabytkowy drewniany „koźlak” w Drewnicy, zbudowany w 1718 r.

Jest miejsce na koźlak

Wiesław Zbroiński po cichu marzy, żeby obok paltraka postawić na swoim polu drugi wiatrak, tak zwany koźlak.

- Chciałbym pokazać, jak w dawnych czasach pompowały one wodę. Jest to do zrobienia, mam rzekę, bo przez moje pole biegnie koryto Starej Motławy, zasypane, zarosnięte. Odkopałem je. Co prawda, to tylko 300 metrów, ale jest w nim woda, są ryby. Mogę wykopać kanał, usypać groblę. Wiem, gdzie jest wiatrak do odzysku. Tylko nie mam kasy - wzdycha. - To ogromne koszty.

Skąd wziął się pomysł na wiatrak? - pytamy.

- On był zawsze, tylko wiatraka nie było - wyznaje sołtys. - Szukałem go po całej Polsce przez kilkanaście lat. Kiedy go wreszcie zobaczyłem, następnego dnia rano już byłem u tej pani, na której polu stał. Był w kiepskim stanie. W ostatnim momencie udało się go uratować. Wszystkie pozwolenia od konserwatora zabytków uzyskałem w ciągu dwóch tygodni. Potem rozbiórka i transport, siedem pełnych tirów starego drewna i żelastwa przyjechało z Warszawy na Żuławy Gdańskie. Robotnicy postavili konstrukcję i obili wiatrak deskami. Na nic więcej nie było pieniędzy. Dwa lata uparty Żuławiak zrekonstruował wszystko w środku. Robił to sam, od podłóg po urządzenia.

- To nie jest żadna replika - zapewnia. - Mówi się, że wiatrak żyje, gdy w słońcu z desek wycieka żywica, gdy nasz paltrak wznosił się, żywica wyciekała.

Oryginalny jest tu nawet zamek do drzwi wejściowych. Nowe są tylko zewnętrzne deski. Nie wszystko dało się bowiem uratować. I tylko na poszyciu są gwoździe, bo resztę wzniesiono bez ich użycia, za pomocą drewnianych dybli. 11 maja 2019 r. wójt zaprosił gości na parapetówkę - pierwsze mielenie pszenicy.

PETROBALTIC

Życie na platformie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TU NIGDY NIE GASNĄ ŚWIATŁA

Na otwartym Bałtyku, 75 km od lądu, gdzie głębokość morza to około 80 metrów, na platformach LOTOS Petrobaltic pracują jedyni w Polsce morscy górnicy.

- Pełna obsada naszej platformy Petrobaltic liczy 39 osób. Na sąsiedniej - LOTOS Petrobaltic - pracuje około 50 osób. Gdy doliczymy także zewnętrznych serwisantów, maksymalny stan osobowy na obu naszych platformach na złożu B8 zbliża się nawet do 150 osób - wyjaśnia kierownik morskiej kopalni ropy Petrobaltic Janusz Przyborowski.

- Pracujemy na dwie zmiany - jedna od północy do południa, druga od południa do północy. Dzięki temu ruch jest utrzymywany 24 godziny na dobę - wyjaśnia.

- Najtrudniejsze chwile to czas poważnych awarii, kiedy istnieje ryzyko, że coś może się stać. Potrzeba wówczas szybkiej reakcji, aby przywrócić wydobywanie i wznowić funkcjonowanie platformy - dodaje.

A jak działa ta potężna „wiertarka”, wgryzająca się nawet na kilka kilometrów w głąb morskiego dna w poszukiwaniu ropy naftowej?

- Wiertnia na platformie LOTOS Petrobaltic to niezwykle masywne urządzenie. Zamontowany na niej dźwиг jest w stanie podnosić ciężar około 500 ton. Wyposażono ją w typowo mechaniczny panel sterowania, za pomocą którego uruchamiamy wszystkie urządzenia na wieży wiertniczej - dlatego w pomieszczeniu sterowniczym jest tak wiele zegarów i dźwigni - wyjaśnia wiertacz na platformie LOTOS Petrobaltic Jerzy Sobczak.

Co się dzieje z ropą wydobytą ze złoża? Jest przesyłana podwodnym rurociągiem do specjalnej boi przelewowej, pełniącej funkcję morskiej

„stacji paliw” dla tankowców. Na stałe cumuje tu jeden z nich, to swego rodzaju magazyn. Po wypełnieniu go, ropa zostaje przepompowana na inny tankowiec, którym płynie do Naftoportu na rozładunek w zbiornikach Grupy LOTOS. Operacje „ship to ship” (tzw. STS) w LOTOS Petrobaltic są wykonywane od 2014 roku. Wcześniej każde odpięcie tankowca po jego napełnieniu, a następnie transport ropy do portu wiązało się ze wstrzymaniem produkcji na złożu na prawie dwie doby. Dziś przeładunek nie tylko nie wstrzymuje wydobywania, ale też pozwala

uniknąć spadku wydajności oraz trudnego procesu ponownego rozruchu złoża.

Pracy na platformie wiertniczej jest mnóstwo, ale jest też oczywiście czas na relaks i kontakt z bliskimi.

- Przede wszystkim ludzi z platformy są ok. To ważne, by atmosfera wśród kolegów, z którymi się pracuje i spędza pół życia, była bardzo dobra. Co jeszcze? Wschody i zachody słońca są piękne. Takich nigdzie indziej się nie zobaczy - dodaje Tomasz Selezniński, starszy marynarz i operator dźwigów na platformie LOTOS Petrobaltic.

MORSKA PLATFORMA, CZYLI



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Około 75 km od polskiego wybrzeża Bałtyku, na pełnym morzu, tuż obok siebie stoją dwie platformy spółki LOTOS Petrobaltic. Jak się żyje na tej „stalowej wyspie”? O codzienności swojej i pracowników opowiada kierownik morskiej kopalni ropy Petrobaltic Janusz Przyborowski.

Na platformie nie gasną światła

- Pracujemy na dwie zmiany, całą dobę. Służba eksploatacyjna zajmuje się głównie wydobyciem ropy naftowej i gazu ziemnego - w tej grupie są osoby z wykształceniem górniczym. Mamy także liczną grupę inżynierów i specjalistów od automatyki, bez których dziś z pewnością byśmy sobie nie poradzili - wyjaśnia kierownik. - Jest też zespół energomechaniczny, do którego należy obsługa wszystkich urządzeń wytwarzających prąd i energię. Do ich zadań należy dystrybucja prądu i utrzymanie w sprawności urządzeń mechanicznych. Służba pokładowa zajmuje się przeładunkami, odpowiada za dźwigi, prowadzi też prace konserwacyjno-malarskie

i utrzymuje porządek na platformie - dodaje.

Jest jeszcze służba hotelowa, która pracuje od godz. 7 do 19, dbająca o wyżywienie i czystość w budynku nadbudówki.

Silny zespół to podstawa

Najwięcej pracowników na platformie pochodzi z Podkarpacia.

- Osoby z tego regionu stanowią ok. 15 proc. naszej załogi, jest też kilka osób z Krakowa, gdzie mieści się Akademia Górniczo-Hutnicza. Jeżeli chodzi o służbę pomocniczą, w tym automatyków, większość wywodzi się z rejonu gdańskiego, z Pomorza. Mamy także pracowników z Piły, która jest znanym ośrodkiem naftowym na mapie Polski. Zdarza się, że na obu platformach na złożu B8 pracuje nawet 150 osób - opowiada Janusz Przyborowski.

Nie tylko trudny codziennosci

Platforma to taka wyspa na morzu. Nie można pójść na spacer, odwiedzić dowolnego miejsca.

- Jesteśmy tutaj na niewielkiej, zamkniętej przestrzeni, w dużej grupie, a głównym naszym zadaniem jest praca. Niemniej, po pracy też

istnieje życie. Mamy czas na kontakt z rodzinami, oglądanie filmów. Jest niewielka siłownia, a od niedawna piłkarszki, które cieszą się ogromnym powodzeniem. Na helidecku - lądowisku dla helikopterów - można się trochę poruszać i spacerować. Niektórzy tak robią, ale gdy jest ładna pogoda i nie wieje - opowiada kierownik kopalni.

Najtrudniejsze chwile są wówczas, gdy dochodzi do poważnych awarii, kiedy istnieje ryzyko, że coś może się wydarzyć. Potrzeba wówczas szybkiej reakcji, aby przywrócić wydobycie i wznowić funkcjonowanie platformy. W okresie jesienno-zimowym wiatr bywa bardzo silny, częste są sztormy i opady deszczu, a praca na pokładzie staje się bardzo trudna. Kiedy nadchodzi ujemne temperatury, trzeba też przeciwdziałać zamarzaniu instalacji.

- Najprzyjemniejsze chwile to te, kiedy wraca się do domu (śmiech). Ale bywają też na platformie chwile radosne, zwłaszcza wtedy, gdy coś ważnego nam się uda. Cieszyliśmy się, gdy pozytywnie przebiegły próby rozruchowe i zaczęliśmy tłoczyć podziemnym rurociągiem gaz do Władysława. Takie dni przynoszą sa-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Posiłki i spotkania - ważny punkt codzienności

Pod czujnym okiem szefa kuchni

- Tradycją tzw. dni zjazdowych, czyli takich, gdy kończy się zmiana, są u nas flagowe dania: schabowy i pomidorowa - mówi Łukasz Kopiński, starszy kucharz na platformie Petrobaltic. - Na co dzień staramy się urozmaicać jadło-

spis, kuchnie świata są dla nas inspiracją. Przygotowujemy też posiłki dla wegetarian - trzeba dbać o załogę i każdy musi znaleźć danie dla siebie. W święta i niedziele przygotowujemy specjalne potrawy - dodaje.

Praca na platformie jest specyficzna. Rozstania z rodziną, dwutygodniowa nieobecność

w domu - to może być problematyczne.

- Z pewnością tak jest, chociaż obecnie mamy tu zasięg telefonów komórkowych i zapewniony stały kontakt z bliskimi - nie tak, jak to było 20 czy 30 lat temu. Kiedyś praca na morzu była o wiele gorsza. Ale zawsze, gdy się wyjedzie, coś w domu się dzieje, a nas

ŻYCIE NA STALOWEJ WYSPIE



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wtedy nie ma - trzeba sobie jakoś radzić na odległość. Oczywiście, nasze rodziny są podporządkowane temu systemowi pracy. Ale zawsze na nas czekają, jest radość, gdy przyjeżdżamy - opowiada.

Część załóg platform wiertniczych spędza w pracy także święta, to nieuniknione.

Wówczas kucharze starają się najlepiej jak potrafią, by w tym czasie stworzyć kolegom wyjątkową atmosferę. - Co roku wymyślamy dla załogi jakieś dodatkowe niespodzianki. Podstawą grudniowych świąt są u nas oczywiście ryby, pod różną postacią. Poza tym przyrządzamy słodkości, ciasta. Dla załogi sama

praca na platformie nie różni się niczym od tej codziennej. Dlatego to właśnie staramy się zaakcentować ten wyjątkowy czas. Wspólna kolacja nie jest do końca możliwa, ponieważ zawsze na służbie na pokładzie muszą pozostać przynajmniej 2 lub 3 osoby. Ale posiłki zawsze są wyjątkowe!

tysfakcję, praca została dobrze wykonana - wspomina.

Niezastąpieni dźwigowicy

Podnoszą ciężary, manewrują podwieszonymi na linach wielkogabarytowymi elementami. Pracują na bardzo ograniczonej przestrzeni, a wszystko to na stojących na pełnym morzu platformach, nieustannie poddawanych zmiennym warunkom atmosferycznym. Kiedy dodamy do tego konieczność rozładunku i załadunku na statek - manewrujący i walczący z falami oraz wiatrem w bliskiej odległości od nóg platformy - otrzymujemy skomplikowany, wciąż zmieniający się układ współrzędnych. Tuż obok pracują ludzie, a czasem to właśnie oni stają się „ładunkiem” w podwieszonym na linie, specjalnym koszu transportowym.

- Bywa, że załogi platform lub serwy muszą być transportowane do pracy drogą morską, np. ze względu na niski pułap chmur, który uniemożliwia lot śmigłowcem - mówi Tomasz Selezniński, starszy marynarz i operator dźwigów na platformie Petrobaltic. - Wtedy ludzi podnosi się z pokładu statku za pomocą specjalnego kosza na wysokość pokładu platformy - ok. 30 m, a pracownicy mają na sobie

kombeizony ratunkowe - opowiada.

W takich warunkach praca dźwigowców jest szczególnie trudna. Wymaga niezwyklej precyzji i koncentracji, bo to najcenniejszy „ładunek”. A co w pracy dźwigowej jest najtrudniejsze?

- Tak naprawdę nie ma tu rzeczy łatwych i dosłownie wszystko jest trudne. Każdy moment jest inny, podobnie jak inna jest każda operacja. Obojętnie, czy jedziemy z towarem, z ludźmi, czy jest to zwykły „przejazd z burty na burtę”. Na platformie są różne urządzenia, rurociągi. Jeżeli operator dźwigu się zagapi, może być katastrofa. Po prostu, potrzebna jest czujność i maksymalna koncentracja - mówi marynarz.

Codziennosc nie jest łatwa, również ze względu na duże obciążenie psychiczne.

- Wcześniej pracowałem na statkach, tam praca wyglądała nieco inaczej. Wprawdzie platforma pozostaje w stałej pozycji, ale często towarzyszy nam silny wiatr. Trzeba wówczas uważać na obciążnik liny i hak, „uspokoić go”. Zadziałać tak, by wszystko odbyło się bezpiecznie. To zawsze jest najwyższy priorytet. Ważna

jest także dobra komunikacja i współpraca z załogami statków - dodaje.

W pracy na platformach wiertniczych niezwykle istotna jest pogoda.

- O tej porze roku trudne warunki mamy praktycznie przez cały czas. Okres jesienno-zimowy to przede wszystkim duże falowanie i silne porywy wiatru. Kiedy przytłacza statek z pracownikami i trzeba ich podjąć na pokład platformy za pomocą kośca, a mamy silny wiatr i rozbijany na falach statek - trzeba bardzo uważać. Tu liczy się każdy centymetr, każda sekunda, każdy ruch. Dźwigowcy pracują zwykle od godz. 7 do 19, ale gdy jest nocna operacja i przychodzi statek z ludźmi lub zaopatrzeniem - wiadomo, trzeba ich przyjąć i ruszamy do pracy - wyjaśnia Tomasz Selezniński.

A jakie są pozytywne strony bycia dźwigowcem na platformie?

- Warunki pracy w samej kabinie są dobre - jest dosyć przestronna, mam klimatyzator, który zimową porą ogrzewa, a latem chłodzi jej wnętrze. Ale przede wszystkim ważni są ludzie z platformy, atmosfera. Nasza praca daje sporo satysfakcji.

PLATFORMY I STATKI TO NACZYNIA POŁĄCZONE



Holownik AHTS „Bazalt”

Dwa złoża B3 i B8 na Bałtyku należące do spółki LOTOS Petrobaltic, z których wydobywana jest ropa naftowa i gaz ziemny, obsługuje na Bałtyku pięć platform: dwie wiertnicze i trzy eksploatacyjne (w tym jedna bezzałogowa platforma PG-1). By mogły pracować bez zakłóceń, konieczne są stałe dostawy zaopatrzenia, sprzętu i ludzi do ich obsługi. W tym celu niezbędne są wielozadaniowe holowniki, statki dozorowe i ratownicze zbiornikowce. Jedną z takich jednostek jest holownik AHTS „Bazalt”, statek spółki z Grupy Miliana, prowadzących działalność w zakresie logistyki morskiej na rzecz LOTOSU.

- „Bazalt” przede wszystkim zajmuje się zaopatrzeniem platform, ale zadań, które wykonujemy jest znacznie więcej. To m.in. holowanie platform, asystowanie przy tzw. operacjach STS, czyli transferach paliwa między tankowcami, a nawet przy pracach nurkowych - po wcześniejszym zaopatrzeniu statku w odpowiedni kompleks nurkowy - mówi kapitan jednostki Andrzej Janicki. - Nasze zadania to również prace związane z zabezpieczeniem przeciwozłotowym w trakcie prac na platformach, prace na instalacjach podwodnych oraz wszystkie działania serwisowe na instalacjach nawodnych i podwodnych. Pełnimy ponadto ochronę przeciwpożarową,

dlatego mamy na pokładzie duże i mocne pompy oraz działka wodne o zasięgu 20 m, sterowane z górnego pokładu - dodaje.

Holowanie platform to poważne przedsięwzięcie. Służy do tego winda holownicza o uciagu 70 ton, która jest też wykorzystywana do pozycjonowania platform, które odbywa się na kotwicach.

- Ten statek pozwala nam je układać, zaciągać oraz wyławiać po operacjach. Nasz statek dostarcza też do platform wszelkiego rodzaju media, np. wodę techniczną, wodę pitną, paliwo, oraz materiały sypkie. Mamy pod pokładem trzy zbiorniki służące do przewozu cementu, barytu (sproszko-

wany służy do sporządzania płuczki wiertniczej) i bento-nitu - opowiada kapitan.

Po wyjściu w morze jednostka pracuje praktycznie bez przerwy. Dla kapitana i jego załogi to bardzo intensywny czas.

- Działamy w serwisie 24-godzinny, podobnie jak

„BAZALT” MOŻE PROWADZIĆ AKCJE GAŚNI-CZE NA MORZU, A DZIĘ-KI ZASTOSOWANIU SPECJALNEGO, PŁYWA-JĄCEGO TRĄŁU - NEU-TRALIZOWAĆ WYCIEKI ROPY NA POWIERZCH-NI MORZA

platformy, a kapitan przebywa na mostku w zależności od tego, jakie są potrzeby i zadania. Jesteśmy tu zawsze podczas manewrów - zarówno przy wyjściu z portu, jak i przy obsłudze prac wiertniczych lub innych statków. Wtedy nie ma limitów czasowych - jeśli trzeba, pracujemy nocą, zawsze gdy zachodzi taka potrzeba - mówi Andrzej Janicki.

Na jednostce na stałe zatrudnionych jest 12 osób. Przy większych pracach i dużych operacjach morskich dołączają do załogi jeszcze osoby z biura Działu Operacji Morskich LOTOS Petrobaltic oraz pracownicy LOTOS Serwis. W takich sytuacjach łączna liczba pracujących

na statku może się zwiększyć o dodatkowe 6-8 osób.

Co w pracy jest największym wyzwaniem?

- Najtrudniejsze są dni, gdy pogoda jest w swoim górnym limicie. Praca w bliskiej odległości od platformy, kilka metrów od jej nóg - przy fali, która potrafi „rzucić” statkiem o parę metrów - to właśnie momenty, kiedy praca jest bardzo stresująca, wymagająca ogromnego skupienia. Na co dzień natomiast jest wielozadaniowa - podsumowuje. Największą satysfakcję mamy wówczas, gdy nasze zadania kończą się pełnym sukcesem. Platformy i statki są jak naczynia połączone. Muszą ze sobą współdziałać - podsumowuje.

Wyjątkowa wieś

Mokry Dwór to wyjątkowe miejsce. To tu urodził się Georg Forster (uczestnik drugiej wyprawy Jamesa Cooka) i stąd wyruszył w podróż dookoła świata. To tu rodzą się tacy szaleni zapaleńcy jak Wiesław Zbroński. Gdy szukał on w Polsce wiatraków podobnych do tego, jaki stoi na jego polu, pojechał do Pomian (woj. kujawsko-pomorskie), by spotkać się z rodziną, w której tradycje młynarskie sięgają XVI w., 86-letni senior rodu na początek wizyty zapytał: „który to ten wariat?”. Ale kiedy zobaczył, że ten „wariat” ma wizję i wie, czego chce, osobiście, podpierając się laską, oprowadził gościa po każdej kondygnacji swojego wiatraka.

Rupert i Gryzelda

Kiedy wiatrak w Mokrym Dworze już stał, pojawił się pomysł zrobienia zagrody edukacyjnej ze zwierzętami, żeby dzieci z miasta i ze wsi mogły zobaczyć kozę, ośła, kaczkę itd.

- Cieszy mnie, jak dzieci przyjeżdżają i potem nie chcą stąd odjeżdżać, choć trafiają się i takie, które boją się zwierząt. W niedzielę był u mnie sześciolatek, bał się wszystkiego, ale kiedy odjeżdżał, był już odważny - opowiada sołtys.

W rozmowie przeszkadza nam ciemnoruda ciekawska koza.

- Mam też ośliczkę Gryzeldę i ośła Ruperta, który jest jej partnerem. Liczę, że na drugi rok może będzie jakieś potomstwo. W Mokrym Dworze są trzy ośły: Gryzelda, ja i ten nowy - żartuje nasz rozmówca.

Babcina chatka

Obok zagrody edukacyjnej stoi „babcina chatka”.

- Postawiłem ją od zera - opowiada. - Tu wszystko jest stare, poza sufitem, zostało zrobione ze starych desek. Jak gdzieś komuś coś się zawali, stodoła czy chata, jadę, negocjuję i odkupuję. Potem rozbieram i na pewno wykorzystam. Deski w „babcinej chatce” mają ponad sto lat, a belki 500. Do Mokrego Dworu trafiły z Wyspy Spichrzów.

- Zdobyłem dwa samochody tego drewna. Żebyśmy szybciej o nich wiedzieli, miałbym materiał na drugi wiatrak - mówi.

W „babcinej chatce” Wiesław Zbroński co tydzień piecze chleb z własnej mąki. Przyjeżdżają po niego ludzie z okolicy, bo wiatrak ma nie tylko pięknie wpisywać się w krajobraz, ale i działać. Sołtys chce zdać egzamin na młynarza, czyta więc fachową literaturę, odwiedza młynarzy.

Właściciel wiatraka razem z synami prowadzi gospodarstwo rolne. W przyszłości ma tu powstać cała zagroda żuławska z chatą i stodołą, a że jak sam żartobliwie mawia, jest uparty jak stado ośłów - na pewno zrealizuje swój plan.



Ręczne żarna, na których samemu można zrobić mąkę. Sołtys demonstruje technikę jej wytwarzania



Wiatrak stojący dziś w Mokrym Dworze powstał w Wyszogrodzie w 1903 roku

ARTYKUŁ REKLAMOWY

RAPORT SPECJALNY:

REFUNDACJA PRODUCENTA - PUŁA PRODUKTÓW ZA 0 ZŁ!

Przełomowa metoda pomaga poprawić sprawność słuchową szybko i bez dodatkowych środków

Według naukowców już po około 4 tygodniach możliwa jest poprawa słuchu, a ostrość słyszenia może wzrosnąć nawet 15-krotnie. Wystarczy zakwalifikować się do nowego programu walki z problemami ze słuchem.



Olejek polecany jest dla osób z każdym rodzajem problemów ze słuchem:

- lekko niedosłyszających
- mocno niedosłyszających
- odczuwających szumienie
- noszących aparat słuchowy

W przeciwieństwie do innych metod, które wzmacniają słuch tylko w trakcie ich używania, nowa metoda wzmacniania komórek słuchowych może stanowić prawdziwy przełom:

- Po pierwsze, może działać aż kilkanaście godzin po aplikacji (także w nocy).
- Po drugie, pomaga wspierać zwalczanie nawet wieloletnich i bardzo poważnych problemów ze słuchem.
- Po trzecie, wspiera regenerację układu słuchowego, wspomagając organizm do rozpoczęcia procesu automatycznej odbudowy komórek. Dzięki temu poprawa słuchu może nastąpić już po pierwszych kilku dniach stosowania wygodnie, w domowym zaciszu. Po upływie niespełna kilku tygodni możliwa jest odczuwalna poprawa sprawności słuchowej w naturalny i bezpieczny sposób.

Udowodnione działanie

Specjaliści z renomowanego ośrodka badawczego w Berlinie dowiedli, że nowo odkryta bioaktywna formuła ma aż 98% skuteczności. Po kilku tygodniach stosowania osoby w wieku 45-93 lat zadeklarowały redukcję szumienia aż o 79% i zauważalną poprawę słyszenia radia, telewizji i mowy ludzkiej. Pytane, kiedy ostatnio słyszały tak dobrze, odpowiadały, że wiele lat temu!

Superskuteczna metoda polecana przez emerytowanych nauczycieli i muzyków operowych

Fenomen skuteczności nowej makro-molekularnej formuły opisuje szef grupy badawczej Hans Kirchollm spec. ds. laryngologii i audiologii: „Odkryliśmy, że połączenie kilku rzadkich substancji aktywnych może stworzyć makromolekularną formułę o silnie regenerujących właściwościach. Ma ona za zadanie wpływać na organizm, pobudzając procesy naprawcze tkanek na pozi-

mie nanokomórkowym. Regularne wprowadzanie tego składnika do uszu w krótkim czasie może poprawić sprawność słuchową nawet u osób ze znacznymi problemami ze słuchem. Formuła ma postać oleistej substancji o silnych właściwościach bioregulujących organ słuchu, co przekłada się na jej niebywałą skuteczność”.

Cienieni europejscy eksperci w dziedzinie walki z problemami ze słuchem wydali szereg pozytywnych opinii na temat tej makromolekularnej formuły, którą ocenili jako wybitnie skuteczną. W dodatku dotąd nie odnotowano skutków ubocznych.

Lepiej słyszę dzwoniący telefon i ludzi w pracy

Urządzenie wspomagające słuch bardzo mnie uwierało, ale nie mogłam z niego zrezygnować – pracuję w urzędzie. Gdy brat mieszkający w Niemczech powiedział mi o tym olejku, wróciła mi nadzieja. Przysłał mi go. Efekt był już po pierwszych 3 dniach zakraplania! Teraz mogę rozmawiać z ludźmi w pracy, a dzwoniący telefon odbieram za pierwszym razem! Po co się męczyć, skoro jest takie чудо?

Maria, 71 lat, Wrocław

Każdy może poprawić słuch

Metoda okazała się prawdziwym wybawieniem dla osób zarówno mocno, jak i słabo niedosłyszających, a także tych, którym w codziennym życiu przeszkadza szumienie w uszach. Innowacyjna metoda dostępna jest w Polsce w sprzedaży telefonicznej. Choć technologia produkcji preparatu nie jest tania, to dzięki specjalnemu dofinansowaniu ograniczona liczba osób może kupić go ze specjalnym rabatem. Ilość opakowań jest limitowana – decyduje kolejność zgłoszeń.

SPECJALNA PROMOCJA!

Pierwsze 100 osób, które zadzwonią do 24.01.2022r., otrzyma 100% REFUNDACJI OD PRODUCENTA!

Zadzwoń: 91 300 36 38

UWAGA!

AKCJA REFUNDACJA! W ramach wyjątkowej akcji refundacyjnej producent środka regenerującego słuch przygotował pułę DARMOWYCH OPAKOWAŃ olejku. Są one dostępne do wyczerpania zapasów!

WAŻNE: Nie musisz dostarczać żadnych zaświadczeń.

Zadzwoń teraz
PRODUKTY
GRATIS
czekają!

*Szczegóły oraz informacje dotyczące procedury zwrotów i reklamacji dostępne są pod adresem: www.grouptcm.com

Witold Waszczykowski: Rosjanie w dalszym ciągu będą testować stronę amerykańską



Waszczykowski: Amerykanie mają kłopot, ponieważ zaangażowali się w rywalizację z Chinami. Wystąpili do Rosji o wsparcie ich w tej rywalizacji

– Rozmowy, które odbyły się w Genewie między panią Wendy Sherman i Siergiejem Riabkowem, trwały osiem godzin. Nie wyobrażam sobie, żeby w ciągu tych ośmiu godzin rozmawiano wyłącznie o flance wschodniej NATO i Ukrainie. Jestem przekonany, że rozmawiano też o kwestii chińskiej i innych. Ale na ten temat jest cisza – mówi Witold Waszczykowski były minister spraw zagranicznych

Anita Czapryn

anita.czapryn@polskapress.pl



Rozmowa

Rosja nie zaprzestała gromadzenia sił wokół Ukrainy; co mogą przynieść rozmowy z OBWE, jeśli chodzi o kryzys?

Odpowiedzią na rosyjskie zachowanie jest stanowisko NATO, które zostało przyjęte w lipcu 2016 roku w czasie szczytu w Polsce, które jest określane jako 3xD: defense, deterrence, dialogue czyli obrona, odstraszanie, dialog.

Oczywiście można podjąć rozmowy z Rosją, informując Rosję o stanowisku NATO. Ale nie można podjąć rozmów po to, aby negocjować te warunki szantażu, które Rosja ujawniła kilka tygodni temu w czasie rozmowy Putin-Biden i potem, w czasie różnych spotkań z Amerykanami. To jest szantaż. Odpowiedzią na szantaż jest zdecydowana reakcja obronna. Czyli pokazanie groźby drastycznych sankcji, jakie mogą być nałożone na kraj, który dalej łamie prawo międzynarodowe i posługuje się agresywnymi działaniami. Drugą odpowiedzią jest dalsze wzmacnianie państw NATO-wskich sąsiadujących z Rosją

poprzez wzrost liczby stacjonujących wojsk NATO, w tym amerykańskich. Natomiast błędem jest podejmowanie rozmów na temat dostosowania się NATO do szantażu rosyjskiego. Taką politykę dostosowania zapowiedział w listopadzie czy grudniu prezydent Biden. To jest błąd. Rosji nie można nagradzać za to, że ktoś nie zaatakował. Rosję można nagradzać, jeśli przyczyni się do polepszenia sytuacji międzynarodowej przez wycofanie wojsk z Donbasu, z Gruzji, z Mołdawii, a najlepiej jeszcze za oddanie Krymu Ukrainie.

No i widzieliśmy, co się stało – rozmowy Putina z prezy-

dentem Bidenem nie przyniosły owoców, rozmowy w Brukseli też nie. W styczniu Polska przejęła prezydencję w OBWE – czy to może być jakiś szczególny moment, nadzieja na przełom?

Zacznę po kolei: rozmowy do tej pory nie przyniosły rezultatów, ponieważ, jak wspominałem, ze strony Amerykanów została przyjęta zła strategia i taktyka. Na początku kadencji prezydent Biden zaproponował te rozmowy, jeszcze zanim Putin ich zażądał; prezydent Biden zaproponował szereg koncesji na rzecz Putina, na rzecz Rosji: ograniczenie zbrojeń, kontrolę zbrojeń, zaakceptował wtedy niemiecko-

rosyjski Nord Stream. Rosjanie to wykorzystali. Wykorzystali jeszcze fakt, że Amerykanie wycofali się w sposób chaotyczny, nieporadny z Afganistanu, dając sygnał, że są w niektórych sytuacjach gotowi porzucić sojuszników. Rosjanie skorzystali z tego; będą w dalszym ciągu testować stronę amerykańską.

Dlaczego Biden tak się pieści z Putinem?

Dlatego, że na zachodzie istnieje różnego rodzaju mity na temat możliwości demokratyzowania, ucywilizowania Rosji poprzez zaangażowanie jej w rozmowy i współpracę. Są to mity, że poprzez zaangażowanie Rosja będzie nabywała zachodnie standardy i iluzje

wielkich korzyści ekonomicznych ze współpracy z rynkiem rosyjskim. Ale pytała pani o OBWE – uważam, że jest to instytucja, która będzie miała najmniej możliwości wpływania na Rosję.

Dlaczego?

Dlatego, że Rosja ma tam prawo głosu; to jest głos decydujący. OBWE jest instytucją, która w zasadzie nie podejmuje prawnie wiążących decyzji; jest forum dialogu dla państw położonych, jak to się kiedyś mówiło od Vancouver po Władystok i będzie tam bardzo trudno uzyskać jakiś rezultat

i wpłynąć na Rosję. Tym bardziej, że, jak myślę, Rosja będzie także testować polską dyplomację. Jako że przejeżdżaliśmy przewodnictwo w OBWE, Rosja będzie próbowała nas skompromitować, pokazać, że jesteśmy rusofobami, że jesteśmy niepragmatyczni, niekonkretni. W formule tej instytucji nie oczekiwałbym więc żadnych pozytywnych rozwiązań.

To ciekawe, co Pan mówi, bo zdaniem ekspertów dziś sytuacja się zmieniła, OBWE zyskuje na znaczeniu, a to, że Polska objęła prezydencję, oznacza, że będziemy blisko informacji i możemy sprawić, aby kluczowe rozmowy na linii zachód-Rosja nie toczyły się ponad naszymi głowami, czy też z naszym pominięciem.

To jest słuszne, bo to jest myślenie z polskiej perspektywy. Mamy stanowisko formalne przewodniczącego OBWE, w związku z tym mamy większy dostęp do informacji, mamy większe prawo do uczestniczenia w różnych dyskusjach międzynarodowych. Mamy prawo inicjowania takich dyskusji, prowadzenia ich na forum OBWE; oczywiście jest to pewien atut. Jednak, jak powiedziałem, OBWE nie jest instytucją decyzyjną. Tam jest bardzo trudno zdobyć konkret, tym bardziej, jeśli sprawa dotyczy żywotnych interesów rosyjskich. Rosjanie są w tej chwili zaangażowani na Białorusi, na Ukrainie, w Kazachstanie i rozmowy dotyczą ich obecności wojskowej i żądań o wycofanie obecności wojskowych z terenów nowych członków, którzy weszli do NATO po 1999 roku. To są zainteresowane interesy rosyjskie i wiadomo, że Rosjanie nie będą tutaj kooperatywni, tylko będą żądali rozwiązań realizujących ich interesy. Będzie to bardzo trudno zrealizować.

Wiemy, że te żądania nie zostaną spełnione, bo jeśli chodzi o NATO, to Pakt Północnoatlantycki przyjął asertywną postawę.

One nie mogą być spełnione. Żądania rosyjskie dotyczą tego, aby architekturę bezpieczeństwa Europy cofnąć do roku 1997, na dwa lata przed przystąpieniem Polski do NATO. To jest żądanie absurda i niemożliwe. Po to budowaliśmy bezpieczeństwo w Europie, żeby nie oddawać teraz połowy Europy na pastwę Rosji. NATO nie może się zgodzić, by, po pierwsze nie obowiązywała zasada otwartych drzwi. To pierwsza zasada, której NATO hołduje; jeśli państwa spełniają kryteria członkostwa NATO to mogą ubiegać się o członkostwo. Po drugie, w Europie nie akceptujemy, iż jakieś mocarstwo ma swoją strefę wpływów. Interesy każdego pań-

stwa kończą się na jego granicach. I po trzecie, nie akceptujemy sytuacji, iż niektóre państwa nie mają prawa wyboru sojuszy czy własnej drogi rozwoju. Każde państwo europejskie ma prawo do suwerenności, niepodległości, do wolnego wyboru swoich sojuszy i do rozwoju wewnętrznego. Pomijam państwa totalitarne jak Białoruś, którego obywatele nie mają możliwości wyboru drogi rozwoju. Te wszystkie trzy zasady Rosja chce pogwałcić. Chce zmusić NATO, aby zamknęło się i nie przyjmowało nowych członków. Żąda od Europy, aby przyznała Rosji prawo do swojej strefy wpływów, tak zwanej bliskiej zagranicy. I po trzecie żąda, żeby w części państw europejskich, które dzisiaj są państwami NATO, jak Polska, nie stacjonowały żadne oddziały NATO-wskie. Tych trzech zasad nie możemy złamać, w związku z tym nie możemy ustąpić Rosji.

To wydaje się jasne. Ale kryzysu nie zmniejsza.

Co więcej, pojawiają się informacje, że Amerykanie, podjąwszy rozmowy, są skłonni na inne ustępstwa. Na przykład ograniczyć skalę ćwiczeń wojskowych. Na przykład podjąć dalsze rozmowy na temat rozbrojenia między zachodem i Rosją. Podjąć rozmowy na temat stacjonowania rakiet. I tak dalej.

Nie ma mężów stanu. Mamy do czynienia z politykami geszefciarzami - tanio kupić, drogo sprzedać i wygrać jutro wybory

Jak Pan ocenia te pomysły?

Są niebezpieczne. Jeżeli na przykład zgodzimy się na powrót do traktatu INF - traktatu o raketach średniego zasięgu - to nawet gdyby Rosja wycofała te rakiety za Ural, czyli formalnie za granicę Europy, no, to żądałaby, żeby również rakiety amerykańskie wyszły z Europy do Stanów Zjednoczonych. Wtedy byłaby olbrzymia nierównowaga, bo z Urалу do części europejskiej Rosja może te rakiety ściągnąć z powrotem w praktycznie kilka godzin. Ale żeby ze Stanów przyspłynęły amerykańskie rakiety do Europy, to potrzeba wielu dni. Czyli są to żądania nierównoprawne dla jednej ze stron. Również w przypadku ograniczenia ćwiczeń Rosja oszukuje - ćwiczenia, które organizuje na skalę 100 tysięcy żołnierzy pokazuje we fragmentach na olbrzymim swoim terytorium z Białorusi; zgłasza je jako odrębne, po kilka, kilkanaście tysięcy żołnierzy, a wte-

dy nie podlegają one kontroli, nie podlegają monitoringowi. Natomiast w całym pakiecie, na tym olbrzymim terytorium równolegle przebywa ponad 100 tysięcy żołnierzy. Mamy więc przykłady oszukiwania, w związku z tym też nie powinniśmy się na to godzić. Jeśli chodzi o stacjonowanie rakiet, co proponują Amerykanie, nie mamy nic przeciwko monitoringowi; aby od czasu do czasu mieć możliwość zweryfikowania, czy na przykład rakiety w Redzikowie - polskiej bazie antyrakietowej rzeczywiście mają charakter taki, jak deklarowano, czyli są to antyrakiety, które nie służą do ataku na inne terytorium, tylko do strącania innych rakiet. Oczywiście, możemy zatem wprowadzić tam pewien reżim weryfikacji, żeby od czasu do czasu inspekcja rosyjska zobaczyła, czy stan jest faktyczny. Natomiast Rosjanie chcieliby, aby tam był stały nadzór rosyjskiego oficera, który de facto miałby prawo decydować, kiedy ta raketa może być użyta. Wówczas ta baza przestałaby być suwerenną bazą polsko-amerykańską. Widać więc, że tego typu żądania rosyjskie idą w kierunku zbudowania jakiegoś niedemokratycznego systemu architektury bezpieczeństwa w Europie, czyli, jak powiedziałem - w kierunku cofnięcia zegara o 25 lat.

Gdyby to Pan, jako minister spraw zagranicznych, przewodniczył teraz, w związku z prezydenturą Polski w OBWE, to jakby to wyglądało?

Prezydentura OBWE ma niewiele możliwości; inicjuje tylko rozpoczęcie jakiegoś dialogu, sposób, natomiast samodzielnie nie może przedstawiać programów, ponieważ jesteśmy w sojuszu w ramach NATO i swoje propozycje musimy przedstawiać w uzgodnieniu i współpracy z sojusznikami NATO-wskimi.

Mówi się o tym, że minister Zbigniew Rau pojedzie do Moskwy, spotka się z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych.

No, dobrze. Po owocach poznamy, co będzie. Ale podejrzewam, że będzie to kurtuzyjna rozmowa, podczas której wysłucha kolejny raz żądań rosyjskich. Oczywiście nie będzie się mógł na nie zgodzić, natomiast zaproponuje na pewno, żeby te żądania zostały przedstawione na forum OBWE w Wiedniu i żeby tam została podjęta dyskusja. Rosjanie mają świadomość, że to się rozplynie w czasie, na tygodnie czy miesiące i dlatego nie chcą rozmawiać o swoich żądaniach w ramach ani Unii, ani NATO, ani OBWE. Chcą doprowadzić do odtworzenia dwiennastowiecznego koncertu mocarstw w Europie, z kilkoma państwami, który by decy-

dował o kwestiach międzynarodowych. Tak jak to było w XIX wieku, po Kongresie Wiedeńskim, po upadku Napoleona, rządziło Święte Przymierze, potem różne trójprzymierza czy porozumienia. Nie przypuszczam więc, żeby Rosjanie mogli wywalczyć coś dla siebie w OBWE, raczej będą używali tego forum jako sceny, w której będą eskalować żądania, oskarżać innych.

To co Polska w ramach tej prezydencji może zdziałać?

W ramach OBWE nie liczę, że możemy coś zdziałać. Tu odpowiedzią raczej jest NATO. My możemy działać tylko jako sojusz NATO-wski, aby przeciwstawić się Rosjanom; przedstawić program kolejnych sankcji za ewentualną eskalację konfliktu z Ukrainą, czy eskalację konfliktu wobec Kazachstanu i dalsze wchodzenie na Białoruś czy do Mołdawii, czy na Kaukaz. Pisałem o tym wielokrotnie; powinny to być dotkliwe sankcje, które powinny obejmować rosyjskich celebrytów, biznes rosyjski. To społeczeństwo rosyjskie, które akceptuje politykę Putina, powinno znać jego cenę - że są wykluczeni z zawodów sportowych, wydarzeń kulturalnych, programów współpracy naukowo-technicznej i tym podobnych. Nie do przyjęcia jest, żeby, kiedy żołnierze rosyjscy walczą przeciwko Ukrainie, sportowcy Spartaka Moskwa uczestniczyli w tym samym czasie w jakis zawodach w Europie zachodniej. Dalsze sankcje dotyczą wykluczeni z międzynarodowych rozliczeń finansowych. Można ograniczyć funkcjonowanie wielkich firm, które dysponują karty kredytowe. Dlaczego karty kredytowe niektórych firm działają na przykład na Krymie, którego okupacji przez Rosję nie uznaliśmy? A weszły tam zachodnie sieci handlowe ze sklepami i obsługują karty. Nie ma deficytu kar, które można by zastosować wobec Rosji. Jest deficyt woli, żeby te kary zastosować.

Czyli Rosję można zastopować?

Rosję można zastopować, natomiast, powtórzę, istnieją mity, iluzje, że to przez rozmowy, dialog, negocjacje Rosję się zaspokoi i zastopuje jej żądania. Te rosyjskie żądania są beczelnie nieuzasadnione. Przypomnę, że Rosja jest w dalszym ciągu stałym członkiem Rady bezpieczeństwa ONZ, ma prawo weta; wszystko może zablokować na forum ONZ. Jest mocarstwem nuklearnym, jednym z pięciu...

...i straszy wojną nuklearną.

Rosja ma olbrzymie wpływy w instytucjach regionalnych, każda z tych instytucji proponuje Rosji uprzywilejowane kontakty - czy jest to

Unia Europejska, czy NATO. W każdym konflikcie regionalnym, który jest nierozwiązany, Rosja jest dopuszczona, aby współdecydować: czy rozmawiamy o konflikcie izraelsko-palestyńskim, czy o irańskim programie nuklearnym, czy o Korei Północnej, czy Afganistanie, to wszędzie tam Rosja została dopuszczona. I ciągle narzeka, że cały świat czyha na bogactwa syberyjskie, a ta biedna Rosja jest duszona, otoczona i nie może się rozwijać. Nie możemy się godzić na taką narrację i na dalsze bezzasadne uprzywilejowanie Rosji w świecie.

Jakie więc rozwiązanie dla tego kryzysu Pan widzi? Polska zna Rosję lepiej niż kraje zachodu, ale polski głos nie jest na forum międzynarodowym słuchany.

Nasze ostrzeżenia nie są słuchane, dlatego, że na świecie większość jest polityków, polityków, którzy chcą wygrać jutrzejsze wybory, a nie myślą w kategorii pokoju na skalę generacji. Nie ma mężów i żon stanu, którzy myślą przyszłościowo. Mamy do czynienia z politykami, którzy są geszefciarzami - tanio kupić, drogo sprzedać i wygrać jutrzejsze wybory. To jest problem dzisiejszego świata i wielu kryzysów, których nie można rozwiązać. Bieżące interesy przeważają nad długofalowymi interesami stabilności, bezpieczeństwa i pokoju w świecie.

Bardzo pesymistycznie kończy Pan te rozmowy.

Sytuacja jest bardzo trudna. Nie straszę bez powodu. Jak pani widzi, mimo olbrzymiego zaangażowania świata - NATO, Amerykanie, Unia Europejska - nie ma ani kroku do tyłu po stronie rosyjskiej. Ponad sto tysięcy wojsk rosyjskich stoi na granicy ukraińskiej, gotowych do użycia broni w każdej chwili. Przez ostatnich kilka miesięcy Rosja opowiadała czy też podporządkowała sobie całkowicie Białoruś, a na naszych oczach teraz, w ostatnich dniach dochodzi do podporządkowania sobie Kazachstanu. Zatem sytuacja naprawdę jest bardzo trudna. Amerykanie mają jeszcze jeden kłopot - ponieważ zaangażowali się, jeszcze od czasu Trumpa w rywalizację z Chinami. Wystąpili więc do Rosji, a również i do Niemiec z propozycją wsparcia ich w tej rywalizacji. Z tego tytułu między innymi zaakceptowali ten gazociąg Nord Stream, mając nadzieję, że i Rosja, i Niemcy poprą USA w rywalizacji z Chinami. Rosja nie ma żadnego interesu, aby Amerykanów w tym popierać, bo Rosji bardziej zależy na utrzymaniu konfliktu amerykańsko-chińskiego. A jeśli by chciała poprzeć, to za olbrzymią cenę. Proszę pamiętać, że ubiegłe poniedział-

kowe rozmowy, które odbyły się w Genewie między panią Wendy Sherman i Siergiejem Riabkowem trwały osiem godzin. Pani Wendy Sherman jest między innymi specjalistką od polityki na Dalekim Wschodzie. Nie wyobrażam sobie, żeby w ciągu tych ośmiu godzin rozmawiano wyłącznie o flance wschodniej NATO i Ukrainie. Jestem przekonany, że również rozmawiano o kwestii chińskiej i innych. Ale na ten temat jest cisza. Ani Amerykanie, ani Rosjanie nie wydali w komunikacie żadnego słowa na ten temat. Zastanawiam się, czego żądali Rosjanie od Amerykanów za poparcie ich w rywalizacji z Chinami? Przecież Amerykanie od tej koncepcji rywalizacji nie odeszli. Chętnie bym się na ten temat dowiedział, niestety, nie ma informacji, jak te rozmowy przekonały. Ale jestem przekonany, że w ciągu tych ośmiu godzin ten temat na pewno został podjęty. W jaki sposób został on połączony z bezpieczeństwem Ukrainy i naszej wschodniej flanki NATO? W związku z tym nie mogę przekazać żadnej optymistycznej informacji, ani komentarzy, bo uważam, że sytuacja jest bardzo ciężka i grozi eskalacją konfliktu w każdym momencie. Zresztą potwierdził to wczoraj w śróde Jens Stoltenberg po spotkaniu Rady Atlantyckiej z Rosjanami. Mówił, że konflikt może wybuchnąć w każdej chwili, jest tylko kwestia, w jakiej skali to będzie. Czy będą to incydenty graniczne, aby uszczknąć dalszy kawałek terytorium ukraińskiego, przebić się na przykład z Donbasu na Krym i odebrać Ukrainę od Morza Azowskiego? Czy będzie to większy konflikt, aby w ogóle odsunąć Ukrainę od Morza Czarnego, zdobyć Odesę, przebić się do Nadmniestrza? Chodzi więc o skalę, bo ten konflikt wisi nad nami.

CV



FOT. ADAM GUZ

WITOLD WASZCZYKOWSKI

Historyk, dyplomata, polityk. Urodził się 5 maja w 1957 roku w Piotrkowie Trybunalskim. W latach 2015-2018 był ministrem spraw zagranicznych w rządach Beaty Szydło oraz rządu Mateusza Morawieckiego. Był m.in. ambasadorem RP w Iranie. Jest posłem do Parlamentu Europejskiego.

„Opcja atomowa”? Co się stanie, gdy wyłączą Rosji SWIFT



FOT. MANDEL NGAN/AP/EAST NEWS

Joe Biden straszy Władimira Putina sankcjami, jeśli Rosja zaatakuje Ukrainę

Grzegorz Kuczyński
grzegorz.kuczynski
@polskapress.pl



USA - Rosja

Joe Biden ostrzegł Władimira Putina, że jeśli Rosja zaatakuje Ukrainę, USA i sojusznicy uderzą w nią sankcjami. „Jednym z takich środków może być odłączenie Rosji od systemu SWIFT. Jeszcze kilka lat temu oznaczałoby to katastrofę dla rosyjskiej gospodarki. Dziś nie jest to tak oczywiste, jak twierdzą zwolennicy tego rozwiązania.

Rzeczniczka Białego Domu Jen Psaki zapewniła, że żadna opcja nie jest wykluczona, jeśli chodzi o ewentualne sankcje przeciwko Rosji. Zdementowała poniedziałkowe doniesienia niemieckiego „Handelsblatt” o tym, że USA i Niemcy wykluczają odłączenie Rosji od międzynarodowego systemu bankowego SWIFT (Society for Worldwide Interbank Finan-

cial Telecommunication) w przypadku rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Odłączenie Rosji od SWIFT jest m.in. wpisane do projektu ustawy nakładającej sankcje autorstwa szefa komisji spraw zagranicznych Senatu, demokracji Boba Menendez. Projekt ma poparcie Białego Domu. Odcięcie Rosji od tego globalnego systemu byłoby bezprecedensowym posunięciem wobec jednej z największych gospodarek świata. Pytanie, na ile skutecznym?

Jak działa SWIFT

SWIFT to bezpieczna platforma komunikacyjna wykorzystywana przez banki, domy maklerskie i inne instytucje finansowe do wysyłania i odbierania informacji, takich jak instrukcje dotyczące przekazywania pieniędzy za granicę lub rozliczania transakcji w papierach wartościowych. Z systemu korzysta około 11 tys. instytucji finansowych w ponad 200 krajach. Dzięki systemowi banki mogą zrealizować płatności transgraniczne w czasie krótszym niż pięć minut. Przed wprowadzeniem SWIFT, gdy banki chciały przekazywać informacje finansowe z jednego

miejsca do drugiego, korzystały z systemu opartego na starych obwodach telegraficznych. Był on jednak powolny i niewystarczająco bezpieczny. I tak, w 1973 roku, powstał SWIFT. Formalnie siedzibę ma w Belgii i jest własnością banków członkowskich. Zarządza tą swego rodzaju spółdzielnią 25-osobowy zarząd, w którym obecnie zasiada jeden przedstawiciel Rosji. Organizacja jest nadzorowana przez banki centralne krajów G-10 oraz Europejski Bank Centralny.

Co ciekawe, jest już precdens, jeśli chodzi o odłączenie jakiegoś kraju od systemu. W 2012 roku SWIFT odłączył irańskie banki po tym, jak Unia Europejska umieściła je na „czarnej liście”, a także pod presją USA. Tyle że Iran był w dużej mierze odizolowany od globalnej sieci finansowej, więc ogólny wpływ odłączenia od SWIFT na irańską gospodarkę był niewielki. SWIFT podlega prawu krajowemu belgijskiemu oraz unijnemu. Więc tak naprawdę USA nie mogą organizować nakazać odłączenia Rosji. Mogą za to podjąć różne kroki wymierzone w sam SWIFT. Groźba takich sankcji w 2012

roku także przyczyniła się do zgody na odcięcie Iranu.

Mocny cios, ale nie nokaut?

Rosja jest znacznie większą gospodarką niż Iran i jest głęboko zintegrowana z globalną społecznością finansową, więc skutki odłączenia SWIFT byłyby znacznie poważniejsze niż w przypadku państwa ajatollahów. Zwłaszcza w perspektywie krótkoterminowej. Należy pamiętać, że ze względu na wielomiliardowy eksport gazu i ropy denominowany w dolarach amerykańskich Rosja jest w dużym stopniu uzależniona od SWIFT.

Analitycy zgadzają się, że odcięcie od systemu byłoby dla Rosji bolesne ekonomicznie, jednak niektórzy twierdzą, iż skutki są z różnych powodów - przedstawiane ze zbytnią przesadą. Na pewno zakłócenia mogą spowodować skurczenie się rosyjskiej gospodarki i w krótkim terminie doprowadzić do spadku wartości rubla. Ponieważ jednak główny rosyjski eksport - ropa naftowa i gaz ziemny - ma kluczowe znaczenie dla Europy, obie strony szukałyby jakiegoś szybkiego sposobu na realizację płatności transgranicznych. Przeciwnicy stosowania tego środka wobec Rosji wskazują, że jej odłączenie od SWIFT mogłoby w krótkim okresie zdestabilizować rynki finansowe, a w średnim okresie - tu cytuję ze wspomnianego na początku „Handelsblatt” - „sprzyjać rozwojowi alternatywnej infrastruktury płatniczej, nad którą Zachód nie będzie już dominował”.

Tak czy inaczej, można ostatnio zaobserwować, że rosyjscy eksporterzy zwiększają liczbę spółek zakładanych poza Rosją, by w razie potrzeby uniknąć płatniczej blokady. W marcu ub.r. Kreml wezwał przedsiębiorców do potraktowania zamknięcia SWIFT jako realnego zagrożenia. Dmitrij Pieskow skomentował tak słowa ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa, który wezwał Chiny do wsparcia Rosji w tym obszarze. - Musimy odejść od korzystania z międzynarodowych systemów płatności kontrolowanych przez Zachód. Konieczne jest ograniczenie ryzyka związanego z sankcjami poprzez wzmocnienie naszej niezależności technologicznej, przejście na rozliczenia w walutach krajowych i walutach światowych, alternatywnych wobec dolara - mówił szef rosyjskiego MSZ.

Domowa alternatywa

W maju ub.r., komentując możliwość odłączenia Rosji od SWIFT, Ławrow zapewnił, że rząd i bank centralny pracują nad możliwymi rozwiązaniami na wypadek takiej sytuacji. Tak naprawdę, Rosja buduje swój własny system komunikacji finansowej od 2014 roku. Gdy anektowała ukraiński Krym, pojawiły się głosy, by odciąć ją od SWIFT. Kreml poparł więc rozwój krajowej platformy finan-

sowo-komunikacyjnej, aby się zabezpieczyć na taki wypadek. Zadanie do wykonania dostał bank centralny Rosji. Pierwsze testy systemu odbyły się już w grudniu 2014 roku. W marcu 2017 szefowa banku centralnego Elwira Nabiullina poinformowała Putina, że krajowa alternatywa dla SWIFT już jest gotowa. Znała jako System Przekazywania Komunikatów Finansowych (SPFS), rosyjska platforma na koniec 2020 roku miała 400 banków członkowskich - w tym 23 z innych krajów byłego ZSRR - i obsługiwała 20,6 proc. całej krajowej komunikacji finansowej.

Po 2014 roku Moskwa podjęła też szereg innych działań, które powodują, że dziś jest nieporównanie lepiej przygotowana na finansową wojnę z Zachodem.

W 2012 roku SWIFT odłączył irańskie banki po tym, jak Unia Europejska umieściła je na „czarnej liście”, a także pod presją USA

W kwietniu 2014 r. Visa i MasterCard zawiesiły usługi dla szeregu rosyjskich banków, które trafiły na czarną listę USA, blokując im możliwość korzystania ze swoich systemów płatniczych. Już w następnym miesiącu rząd rosyjski uchwałą wprowadzającą Narodowy System Kart Płatniczych, znany później pod nazwą MIR (po rosyjsku „pokój”, ale też „świat”). System kart, będący w całości własnością banku centralnego Rosji, działa jako centrum rozliczeniowe do przetwarzania transakcji kartowych na terenie Rosji. Od 2014 r. udział MIR w operacjach wzrósł do 24 proc. wszystkich krajowych transakcji kartowych (wydano ponad 73 miliony kart). Karty MIR są obecnie standardowo wydawane emerytom czy pracownikom sektora publicznego. Gorzej jednak z możliwością używania kart MIR poza granicami Rosji. Tak naprawdę możliwe jest to tylko w kilku krajach i tylko w Armenii w pełnym zakresie. Jeśli rosyjskie banki zostaną odłączone od systemów płatniczych Visa i MasterCard, wszystkie transakcje krajowe będą mogły być przeprowadzane za pośrednictwem krajowego systemu kart płatniczych. Wykonywanie przelewów międzynarodowych byłoby jednak już złym zadaniem.

Słabe punkty „Fortecy Rosja”

Duże banki działające w Rosji, choćby zagraniczne UniCredit, Deutsche Bank i Raiffeisen Bank czy niektóre krajowe, jeszcze się nie przyłączyły do SPFS. Aby przyciągnąć nowych członków, bank centralny obniżył taryfę swego systemu do około połowy opłat SWIFT. Aby stać się atrakcyjną alternatywą dla podmiotów komercyjnych, system ten musiałby jednak jeszcze rozwią-

zać swoje ograniczenia technologiczne. W przeciwieństwie do systemu SWIFT, który działa 24 godziny na dobę przez 7 dni w tygodniu, SPFS działa tylko w godzinach pracy w dni robocze, a system ogranicza wielkość wiadomości do 20 kilobajtów.

Rosja może spróbować rozszerzyć SPFS na arenie międzynarodowej, ale z tym ciężko. Moskwa liczy bardzo na Chiny, ale Pekinowi nie spieszy się do budowania sojuszu na tym akurat polu. Po pierwsze, z powodu dużych różnic w prowadzonej polityce finansowej. Bank Rosji prawie całkowicie wyeliminował też ostatnio inwestycje w dług publiczny USA i zmniejszył udział dolara w rezerwach walutowych do 20 procent. Chiny nadal utrzymują około jednej trzeciej swoich rezerw w amerykańskich obligacjach i zwiększyły ostatnio inwestycje dolarowe.

Chiny, których gospodarka jest znacznie większa niż rosyjska, również rozwijają alternatywę dla SWIFT. W 2015 roku Pekin uruchomił system CIPS (Cross-Border Interbank Payment System), który ma pomóc w umiędzynarodowieniu wykorzystania chińskiej waluty - juana. Minęły już przeszło dwa lata od ogłoszenia przez szefową rosyjskiego banku centralnego planów budowy nowego systemu płatności międzynarodowych przez Moskwę i Pekin, a nic w tej sprawie się nie ruszyło. Jedynym chińskim uczestnikiem SPFS jest Bank of China. Władze ChRL nie zachęcają banków z Państwa Środka do przyłączania się do rosyjskiej platformy. Wiele mówi fakt, że 23 rosyjskie banki dołączyły do chińskiego CIPS, a tylko jeden do rosyjskiego SPFS.

Zachód znów spóźniony

Choć niektórzy urzędnicy i analitycy nazwali SWIFT opcją „nuklearną”, jest to przesada. Rosja nadal będzie mogła przeprowadzać transakcje międzynarodowe za pośrednictwem innych platform komunikacyjnych, choć mniej efektywnych. Gdyby Rosję odcięto od SWIFT w 2014 roku, byłaby to katastrofa dla tamtejszej gospodarki. Gdy w sierpniu 2014 Wielka Brytania apelowała do liderów UE o rozważenie opcji odłączenia Rosji od SWIFT, były minister finansów Rosji Aleksiej Kudrin przewidywał, że taki ruch oznaczałby zmniejszenie PKB Rosji o 5 proc. Dziś skończy się tylko poważnym wstrząsem - na krótszy lub nieco dłuższy okres. Zwłaszcza że rząd Rosji przez ostatnie lata - mimo pewnych problemów gospodarczych - pilnował się z wydatkami, notując nawet nadwyżki budżetowe. Zbudował również rezerwy walutowe i złota, które przekraczają 620 miliardów dolarów, co plasuje Rosję na 4. miejscu na świecie. Jedna trzecia tej sumy leży w Narodowym Funduszu Doobrobytu na „czarną godzinę”. Taką, jak na przykład odcięcie od SWIFT.

Są spokojne i delikatne. Ich dotykanie ma działanie terapeutyczne

Jolanta Tęcza-Ćwierz
jolanta.cwierz@gk.pl



Zwierzęta

Chociaż ich naturalnym środowiskiem jest Ameryka Południowa, alpaki robią coraz większą furorę w Polsce. Wyglądają jak duże przytulanki, ale są ostrożne. Mają wyjątkowo miękkie runo, są także wykorzystywane w procesach terapeutycznych. Te pocieszne zwierzęta z rodziny wielbłądowatych hodują parństwo Joanna i Paweł Najbarowie spod Krakowa. Założone przez nich gospodarstwo Coniraya to miejsce pełne pasji, gdzie czuje się miłość do przyrody i zwierząt.

Od samego patrzenia na alpaki robi się weselej. Długa szyja, sterzące uszy, ciekawskie oczy i mięciutkie runo sprawiają, że chce się je mocno przytulić. Nie jest to jednak takie łatwe. Chociaż zwierzęta w gospodarstwie Coniraya są oswojone, to jednocześnie są bardzo ostrożne.

Gdy staniemy w bezpiecznej odległości od nich, możemy je podziwiać do woli, ale wystarczy wykonać gwałtowniejszy ruch, natychmiast odskakują. Przestraszone mogą (podobnie jak lamy) pluć na ludzi, na szczęście są to bardzo rzadkie przypadki. Plują, kiedy znajdują się w sytuacji bez wyjścia np. w obronie młodych lub wtedy gdy bardzo się boją, a nie mają jak uciec. Może się też zdarzyć, że będziemy opluci przez przypadek, gdy staniemy na linii „strzału” między kłócącymi się alpakami. Zwierzęta te potrafią też wydawać różne dźwięki, czasem przypominające rżenie, innym razem szczenie lub rechot.

- Szukałam dla siebie pomysłu, chciałam zająć się stadkiem jakichś zwierząt. Początkowo miały to być koty lub rasowe psy, myślałam o hodowli owiec albo kóz, ostatecznie zwyciężyły alpaki. Zauroczyły mnie wspomina Joanna Najbar, właścicielka gospodarstwa Coniraya w Sieborowicach pod Krakowem oraz członek zarządu Polskiego Związku Hodowców Alpaki.

Joanna Najbar odpowiada za hodowlę, dobór i opiekę weterynaryjną nad zwierzętami. Niedawno rozpoczęła też ko-



FOT. ANNA KACZMARZ



FOT. ANNA KACZMARZ

Plują, kiedy znajdują się w sytuacji bez wyjścia, np. w obronie młodych lub wtedy, gdy bardzo się boją

lejne zaawansowane kursy w USA, na których uczy się oceniania ich budowy oraz jakości runa.

- Pierwszy raz zobaczyłam alpaki w ogrodzie zoologicznym w Salzburgu 9 lat temu. - Zakochałam się w tych zwierzętach od pierwszego wejrzenia. Miesiąc później sprowadziłam z Chile do Sieborowic pierwsze alpaki. W Polsce były to wówczas zwierzęta niszowe, niewiele było wiadomo na temat ich hodowli.

Dziś stado w Coniraya liczy około 50 sztuk alpaki różnej maści: białej, rudawej, karmelowej, brązowej i czarnej. Mają egzotyczne imiona: Sorento, Frodo czy Marek Aureliusz. Niektóre pochodzą z Chile, inne

z Kanady czy USA, ale są i takie, które urodziły się w Polsce.

Złote runo czyli skarb Inków

W naturalnym środowisku alpaki żyją w temperaturze od minus 15 do plus 20 stopni, polskie lato bywa więc dla nich trudne do zniesienia. W okresie upałów trzeba im zapewnić chrońcie przed słońcem zadaszenie i stały dostęp do wody pitnej. Są to zwierzęta stadne, dlatego właściciele gospodarstwa kupili na początek jedenaście alpaki.

- Jeśli chcemy, żeby były zdrowe i szczęśliwe, musimy mieć minimum trzy alpaki, by stworzyć im ministado - wyjaśnia Paweł Najbar, z zawodu psycholog zwierząt i instruktor jazdy konnej. - Alpaki potrzebują wy-

biegu, widnych boksów i dużo spokoju, ale też zainteresowania człowieka, obserwacji i troski. Żywią się głównie sianem, otrzymują również suplementy, uzupełniające, aby ich pokarm był najbardziej zbliżony składem do tego z Ameryki Południowej.

Alpaki to trawożerne ssaki z rodziny wielbłądowatych. Ich naturalnym środowiskiem są tereny góryste Chile i Peru. Zostały udomowione przez Indian około 4,5 tysiąca lat temu. Ich dzikim przodkiem jest występująca również współcześnie wikunia. Od kilkudziesięciu lat alpaki jako zwierzęta hodowlane zyskują popularność także w Europie. W Polsce pierwsza farma tych zwierząt powstała w 2004 roku.

- Dzisiaj alpaki hoduje się głównie dla wełny, cieplejszej i delikatniejszej niż wełna owiec. Runo alpaki, zwane skarbem Inków, jest wyjątkowo miękkie i pozbawione lanoliny, dzięki czemu nie mieszkają w nim szkodliwe roztocza - wyjaśnia Joanna Najbar. Z wełny robi się wysokiej jakości czapki, szaliki, swetry i płaszcze oraz kołdry, które są polecane osobom z alergią.

Okazuje się, że wełna alpaki jest unikatowa: cienka, bardzo delikatna, pozbawiona zapachu. I ma wiele kolorów: 22 odcienie to podstawowe naturalne barwy alpaczego runa, od białego i brązowego aż po kolor czarny. Strzyżenie alpaki odbywa się raz w roku, po przymrozkach i przed upałami, czyli mniej więcej w połowie maja. Z jednej alpaki pozyskuje się od dwóch do siedmiu kilogramów runa.

Alpakoterapia i lekcje przyrody

Alpaki często mylone są z lamami. Jednak lamy są większe, bardziej poważne i mają zaokrąglone uszy, które wyglądają jak dwa banany. Z kolei alpaki są zdecydowanie bardziej pocieszne. W gospodarstwie Coniraya woła się je po imieniu. (Ja zapamiętałam jedynie Frodo ze względu na wielobarwne umaszczenie). Każda alpaka ma swoją historię, cechy charakteru i odmienną apary-

Wystarczy wykonać gwałtowniejszy ruch, natychmiast odskakują. Przestraszone mogą (podobnie jak lamy) pluć. Ale to rzadkość

cję. Hodowla cały czas się rozwija, a zwierzęta są uczone pracy z ludźmi.

- Aby przygotować alpaki do kontaktu z człowiekiem, stosujemy trening desensytyzacyjny, odwrażliwiamy je na obecność człowieka. Dotykanie czy przytulanie przez ludzi nie jest dla nich oczywiste. Zazwyczaj chcemy je głaskać po głowie, a to najmniej pożądanym miejscem. Raczej powinniśmy dotykać podstawy szyi, łopatki i przodu grzbietu - tłumaczy pan Paweł.

A dotykanie tych mięciutkich zwierząt ma działanie terapeutyczne. Metodę camelidynamics, czyli metodę pracy z alpakami, opracowała Marty McGee Bennett, specjalistka

w dziedzinie nauk przyrodniczych i zachowań zwierząt, szczególnie alpaki.

- Przygotowanie zwierząt do alpakoterapii wymaga cierpliwości i długiej pracy - wyjaśnia Paweł Najbar.

W procesie terapeutycznym z wykorzystaniem alpaki najważniejszą rolę odgrywa charakter tych zwierząt. Alpaki są spokojne, zrównoważone, delikatne i inteligentne. Mają miękką wełnę, dlatego kontakt z nimi jest kojący i relaksujący. Głaskanie tych zwierząt, a nawet ich obserwowanie, powoduje u ludzi wydzielanie się endorfin, czyli hormonów odpowiedzialnych za poczucie szczęścia. Alpaka jest naprawdę pięknym i miłym stworzeniem o wyglądzie pluszaka. Choć oczywiście nie jest maskotką, tylko żywą, czującą istotą, mającą swoje potrzeby.

- U osób, które korzystają ze wsparcia alpaczego terapeutów w Coniraya, obserwujemy pozytywne zmiany. Dla dzieci autystycznych czy niepełnosprawnych alpaki stają się motywacją do ćwiczeń. Na przykład chęć podejścia do wełnianego czworonoga może sprawić, że dziecko będzie intensywniej ćwiczyło wstawanie czy chodzenie - mówi Joanna Najbar.

W Coniraya odbywają się zajęcia z alpakoterapii, które prowadzi Beata Rosińska, pedagog specjalny. Te spokojne, lubiące przebywanie z człowiekiem zwierzęta doskonale sprawdzają się w terapii osób cierpiących na autyzm, ADHD, nerwice, zaburzenia lękowe oraz depresję.

Właściciele gospodarstwa organizują spacer z alpakami, a także zajęcia dla przedszkolaków i uczniów szkół podstawowych i średnich, np. angielski z alpakami, zajęcia plastyczne czy edukacyjne.

- Przygotowaliśmy zestaw lekcji z uwzględnieniem kontaktu ze zwierzętami, jak również z szeroko rozumianą przyrodą - mówi Paweł Najbar. - Dużo łatwiej się rozmawia na temat budowy żołądka u przeżuwaczy, stojąc naprzeciwko zwierzęcia, który przeżuwa. Łatwiej nauczyć się budowy włosów, dotykając runa alpaczego.

Pani Joanna dodaje: - Alpaki samą swoją obecnością zachęcają dzieci do pracy. Dają im szczęście i radość. Pracuję z alpakami od dziewięciu lat i jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś zareagował na nie źle. Wzbudzają wyłącznie pozytywne emocje, sprawiają, że można zapomnieć o całym świecie i skupić się tylko na nich.



Dr Andrzej Zapaśnik, ekspert Federacji ZZPOZ „Porozumienie Zielonogórskie”

FOT. PRZEMEK SWIĘDERSKI

Jolanta Gromadzka
jolanta.gromadzka
@polskapress.pl



Oprócz tego, że od początku pandemii codziennie przyjmują od 20 do 40 proc. więcej pacjentów niż zwykle, to jeszcze testują, szczepią i edukują. Lekarze rodzinni, podobnie jak anestezjolodzy - od wielu miesięcy na pierwszej linii walki z Covidem - pracują resztkami sił. Czy podołają kolejnym obowiązkom, które chce im narzucić szef resortu zdrowia?

Mamy trzy plagi na raz - kolejny wzrost zachorowań na COVID-19, szczyt sezonu infekcji grypopodobnych i grypy oraz coraz większe trudności w dostaniu się do specjalistów i brak miejsc w szpitalach dla chorych niecoronawirusowych. Nic więc dziwnego, że tłumy zdesperowanych pacjentów szturmują przychodnie Podstawowej Opieki Zdrowotnej usiłując dostać się do lekarza rodzinnego, który jest dla wielu chorych ostatnią deską ratunku. Pacjenci, dla których zabrakło wolnych miejsc skarżą się, że do przychodni nie da się dozwonić, pomstują na teleporady, denerwują się, że na wizytę u lekarza rodzinnego muszą czekać nawet kilka dni.

Minister straszy sankcjami

Tymczasem, im bliżej końca tego miesiąca, kiedy to - jak przewidują epidemiolodzy - lawinowo zacznie szerzyć się Omikron - tym lekarze rodzinni mniej wiedzą, co ich czeka.

W przededniu piątej fali pandemii, którą minister zdrowia Adam Niedzielski określa jako zbliżającą się „katastrofę”, spodziewali się raczej nowych obustrzeń, a nie tego, że szef resortu krytycznie oceni ich grupę zawodową. W opinii ministra i - nie oszukujemy się - również sporej grupy specjalistów, lekarze rodzinni się nie przepracowują, mają wolne moce przerobowe i powinni bardziej zaangażować się w walkę z pandemią.

W związku z tym to na ich barki chce minister zdrowia przerzucić obowiązek opieki nad chorymi na COVID-19, przynajmniej tymi, którzy ze względu na łagodny przebieg mogą się leczyć w warunkach domowych. Gros przypadków Omikrona ma być - zdaniem ministra zdrowia - leczona właśnie w POZ, w ramach tzw. opieki przedszpitalnej, a w monitorowaniu stanu pacjentów pomagać ma jej system Domo-wej Opieki Medycznej. Wymagania są ostre; lekarz POZ powinien zapewnić choremu opiekę kompleksową. Pacjent ma prawo oczekiwać od swojego lekarza, że ten zorganizuje mu wizyty w poradni, badania diagnostyczne, także wizyty domowe. Co gorsza, minister zagroził też sankcjami w stosunku do lekarzy, którzy z tych obowiązków nie będą się należycie wywiązywać. Strategia „teraz lekarze POZ” uchronić ma szpitale i cały system opieki zdrowotnej przed kompletną zapaścią.

I tak grają główną rolę

Lekarze rodzinni się bronią; z powodu trwającej już drugi

rok pandemii pracują ponad siły. Są przeciążeni z powodu dodatkowych obowiązków wynikających z pandemii, ale także z powodu znacznie większej zgłaszalności pacjentów z innymi chorobami, których Covid nie zatrzymał - cukrzyca, nadciśnieniem tętniczym, depresją, a nawet z chorobą nowotworową. Coraz częściej zajmujemy się przewlekłymi chorobami, pacjentami onkologicznymi i chorymi w trakcie specjalistycznego leczenia z uwagi na ograniczenia przyjęć planowych do szpitali - twierdzi dr Jacek Krajewski, prezes Federacji „Porozumienie Zielonogórskie”. - Bo łóżka na oddziałach chirurgicznych czy kardiologicznych od miesięcy przemianowano na covidowe, pozabawiając tym samym chorych dostępu do diagnostyki i leczenia.

- Chętnie zaprosiłbym pana ministra, by nas odwiedził i przyjrzał się, jak naprawdę pracujemy - deklaruje dr Andrzej Zapaśnik, szef Przychodni BaltiMed w Gdańsku i ekspert Federacji Związków Zawodowych Pracowników Ochrony Zdrowia „Porozumienie Zielonogórskie”.

Bo tak naprawdę od samego początku pandemii podstawowa opieka zdrowotna odgrywa główną rolę w opiece nad osobami zakażonymi kolejnymi wariantami wirusa Sars-Cov-2. Większość pacjentów kierowana jest na test właśnie przez lekarzy POZ, a po potwierdzeniu rozpoznania chorzy przebywający w izolacji domowej, nadal znajdują się pod ich opieką. To w gabinetach POZ lekarze wykonują

Na pierwszej linii frontu walki z pandemią

tysiące testów w kierunku wykrycia koronawirusa.

Znacznie więcej porad

- Od początku pandemii liczba porad lekarza rodzinnego/poz wzrosła o ok. 7,5 tys., czyli o 20 proc., co odpowiada dodatkowej pracy 1 lekarza na pełnym etacie. Pomimo tego pojawiły się liczne skargi na brak wolnych terminów - tłumaczy dr Zapaśnik.

Liczba połączeń przychodzących do rejestracji przychodni BaltiMed wzrosła o ponad 25 tys., czyli o ok. 50 proc., a łączny czas połączeń wzrósł o ok. 1,1 tys. godzin, czyli o ok. 75 proc. Spowodowało to konieczność zatrudnienia pracownika do obsługi połączeń przychodzących (sprawny pracownik rejestracji potrafi przez godzinę przeprowadzić łącznie ok. 40 minut rozmów telefonicznych, pracuje przez 11 m-cy w roku). W związku z koniecznością oddzwania do pacjentów, którzy sami nie mogli się dozwonić do przychodni, liczba połączeń wychodzących do pacjenta z rejestracji wzrosła 5-krotnie, do ok. 1 tys. godzin rocznie. Wiązało się to z koniecznością zatrudnienia drugiego pracownika na pełnym etacie. Mimo to tego czasu oczekiwania na połączenie powyżej 5 minut wzrósł 2-krotnie, a liczba skarg z tego powodu się zwieliokrotniła.

Dodatkowe czynności rejestracji, m.in. organizacja szczepień p/COVID19, sprawozdawanie dodatkowych świadczeń, spowodowało zwiększenie pracy administracyjnej o ok. 1/2 etatu.

Podsumowując, przychodnia zatrudniła dodatkowo jednego lekarza poz w wymiarze czasu pracy jednego etatu oraz trzech nowych pracowników rejestracji w łącznym wymiarze czasu pracy 2,5 etatu. Pomimo tego występuje nadal nadmierna liczba telefonów nieodebranych lub zbyt długo oczekujących na połączenie. Podobnie jest z wolnymi terminami do lekarza poz, których nadal brakuje.

Nie ma kogo zatrudnić

W większej skali problem zmniejszenia pandemii i przepracowania widać wśród białego personelu Nadmorskiego Centrum Medycznego w Gdańsku - przyznaje wiceprezes spółki Mikołaj Ruciński. NCM zarządza dziesięcioma przychodniami funkcjonującymi pod nazwą Domy Medyczne. Głównie na gdańskim Przymorzu i na Zaspie, ale również w nowych dzielnicach miasta, a także w Żukowie. Pracuje w nich 62 lekarzy rodzinnych.

- Zarówno lekarze, jak i pielęgniarki, rejestratorzy itd., są bardzo obciążeni dodatkowymi obowiązkami związanymi z pandemią - przyznaje Mikołaj Ruciński. - Zgłasza się do nas bardzo dużo pacjentów. Podjęliśmy starania, by zatrudnić dodatkowych lekarzy, jednak bez efektów, bo lekarzy po prostu nie ma na rynku pracy. Starsi lekarze przechodzą na emeryturę, emeryci, którzy byli nadal czynni zawodowo skracają godziny pracy lub w ogóle z niej rezygnują, bo nie wytrzymują psychicznie tego wszystkiego, co związane jest z pandemią. Szczęśliwie udało się zatrudnić rezydentów. Nie zbierają opcji, nie są samodzielni, pracują pod nadzorem starszych, bardziej doświadczonych lekarzy, ale ich pomoc - medyczna, jak również administracyjna jest nieodzowna.

Skargi do rzecznika praw pacjenta

Im dłużej trwa pandemia, tym bardziej rośnie też liczba skarg kierowanych do rzecznika praw pacjenta. Jak podaje portal rynekzdrowia.pl, w 2020 roku do rzecznika praw pacjenta łącznie wpłynęło ponad 135 tys. skarg, z czego 29 proc. dotyczyło podstawowej opieki zdrowotnej, 24 proc. ambulatoryjnej opieki specjalistycznej oraz 18 proc. lecznictwa szpitalnego. Z kolei jesienią 2021 roku samych skarg na POZ było już przeszło 117 tys. Dotyczyły one: braku możliwości

Pomorskie zajmuje drugie miejsce w Polsce pod względem zaszczepionych na 10 000 mieszkańców

kontaktu lekarzem, braku rejestracji osobistej lub elektronicznej, braku możliwości złożenia deklaracji, długiego czasu oczekiwania na teleporadę i braku wizyt osobistych, brak opieki nad pacjentem. Nie ma natomiast skarg dotyczących jakości leczenia oferowanego przez lekarzy pacjentom.

Dr Mieczysław Cieplicki, prezes spółki Nadmorskie Centrum Medyczne (w 10 przychodniach zatrudnia 62 lekarzy rodzinnych), twierdzi, że skargi zawsze będą, bo pacjenci mają swoją wiedzę i oczekiwania wobec lekarzy rodzinnych, a przepisy, które ich obowiązują, są inne.

- Przy 2 tysiącach porad dziennie, trudno, aby nie było wątpliwości, skarg - tłumaczy

prezes NCM. - Oczywiście, po naszej stronie też może być czasem niedopatrzenie, niedociągnięcie, ale najczęściej skargi biorą się stąd, że pacjenci mają swoje oczekiwania, a nie mają wiedzy na temat funkcjonowania POZ.

Wójt oferuje godziwe płace

- Obciążenie pracą lekarzy rodzinnych w trudnej sytuacji pandemii jest duże i należy się spodziewać, że po nadejściu piątej fali związanej z Omikronem będzie jeszcze większe - przewiduje dr Tadeusz Wysocki, który od 40 lat pracuje jako lekarz w podstawowej opiece zdrowotnej w Kolbudach, a od 25 lat - jako lekarz rodzinny. Od 2017 r. pełni na Pomorzu funkcję wojewódzkiego konsultanta w dziedzinie medycyny rodzinnej.

- W Pomorskiem, w podstawowej opiece zdrowotnej pracuje 2000 lekarzy. Wielu z nich zbliża się do wieku emerytalnego. Lekarzy brakuje wszędzie. Podobnie, jak cały system opieki zdrowotnej, tak i POZ cierpi na niedobór kadr, a kadra, która w niej pracuje, jest w większości w zaawansowanym wieku - tłumaczy Jacek Krajewski, prezes Federacji Porozumienie Zielonogórskie. Na mapie Polski jest kilkadziesiąt białych pól, gdzie lekarzy rodzinnych w ogóle nie ma. To - jak wyjaśnia dr Krajewski - zwykle obszary z bardzo małą gęstością zaludnienia, gdzie praktyka lekarza POZ nie byłaby w stanie się utrzymać. Są jednak województwa, a w nich miejsca, gdzie do jednego lekarza rodzinnego zapisanych jest 4-5 tysięcy pacjentów. Są też gminy, gdzie lekarzy nie ma wcale, gdzie wójt oferuje godziwą płacę i mieszkanie, a chętnych nie widać. W woj. pomorskim, które w porównaniu do średniej krajowej, ma na sto tysięcy mieszkańców mniej zarówno lekarzy rodzinnych, jak i pediatrów, pielęgniarek i położnych - sytuacja jest różna w zależności od gminy. Najmniej lekarzy jest w powiatach; sztumskim, kwidzińskim, człuchowskim. Najwięcej w chojnickim i nowodworskim.

Młodzi chętnie wybierają

Szczęśliwie na Pomorzu nie brakuje młodych lekarzy chętnych do tej specjalizacji z medycyny rodzinnej. - W trakcie specjalizacji z medycyny rodzinnej jest obecnie 168 lekarzy - informuje dr Tadeusz Wysocki. - Dzięki wspólnym staraniom w tym z Pomorskim Związkiem Pracodawców Ochrony Zdrowia od ok. 3 lat stopniowo zwiększa się liczba miejsc specjalizacyjnych z medycyny rodzinnej.

W dalszym ciągu jednak w POZ-ie w większości pracują lekarze z dużym stażem, w tym również w wieku emerytalnym. Mimo zaawansowanego wieku doskonale radzą sobie oni z e-zwoleniami, e-receptami, dokumentacją elektroniczną czy kartami DIL.O. Po względem kadrowym sytuacja jednak stopniowo się zmienia, są większe możliwości (większa liczba miejsc specjalizacyjnych) i większe zainteresowanie młodych lekarzy specjalizacją z medycyny rodzinnej. Świadczą o tym również składane wnioski o miejsca akredytacyjne na nowe miejsca szkoleniowe, szczególnie w tych rejonach, gdzie brakuje lekarzy rodzinnych.

- Od dwóch lat lekarze POZ-u stawiają czoła nowemu wyzwaniu, pandemii COVID-19. W jej pierwszych miesiącach większość świadczeń medycznych była udzielana jako teleporady. Pod koniec ubiegłego roku ponownie przychodnie zaczęły przyjmować pacjentów, w większości w trybie stacjonarnym. Od początku roku dla większości placówek medycznych doszło nowe zadanie - szczepienia. Efekty są - województwo pomorskie zajmuje drugie miejsce w Polsce pod względem zaszczepionych na 10 000 mieszkańców, a gmina Kolbudy zdobyła pierwsze miejsce w rejonie

gdańskim wśród gmin do 30 000 mieszkańców.

Lekarzy rodzinnych stopniowo przybywa i nie widać, by więcej młodych lekarzy wyjeżdżało za granicę. Specjalizacja z medycyny rodzinnej trwa jednak 5 lat i młodych lekarzy specjalistów tak szybko nie przybędzie. Sytuacja kadrowa jednak radykalnie szybko się nie zmieni.

Piątka dla POZ

O tym, że fundamentem systemu opieki zdrowotnej powinna być podstawowa opieka zdrowotna wszyscy dobrze zdają sobie sprawę. Bo jest najtańsza i jest najbliżej pacjentów. Problem w tym, jak tego dokonać. Porozumienie Zielonogórskie wie, jak to zrobić. Opracowany przez Federację program nazwano „Piątką dla POZ”. Jednym z pięciu postulatów jest wzmocnienie roli lekarza POZ jako koordynatora i przewodnika pacjenta po systemie ochrony zdrowia.

Chodzi o to, by zabezpieczyć pacjenta na poziomie podstawowym. Tu odbywać się powinna profilaktyka i wczesna diagnostyka. Lekarz rodzinny powinien mówić o aktywności fizycznej, odpowiedniej diecie, uzależnieniach, chorobach sercowo-naczyniowych, o cukrzycy. To nie obciąża systemu i nie angażuje specjalistów, których też w Polsce brakuje, a którzy powinni się zająć bardziej skomplikowanymi

przypadkami - wylicza Jacek Krajewski.

Zgodnie z rozporządzeniem o świadczeniach gwarantowanych w ramach POZ trzy osoby - lekarz, pielęgniarka i położna - mają realizować większość zadań zapisanych w kontrakcie z NFZ.

- Problem w tym, że pacjenci, którzy dziś trafiają do POZ są coraz lepiej wyedukowani i mają coraz większe potrzeby, które już na tym, pierwszym poziomie powinny być realizowane - tłumaczy dr Krajewski. - Aby zapewnić pacjentom kompleksową opiekę, konieczne jest wzmocnienie tego trzypersonowego zespołu nie medycznymi pracownikami, którzy będą opiekować się pacjentem w domu, koordynować ruch pacjentów i zajmować się sprawami, którymi nie musi zajmować się lekarz, a powinni fizjoterapeuci, rehabilitanci, dietetycy, psychologowie, terapeuci zajęciowi, opiekunowie domowi czy koordynatorzy. Tych dwóch ostatnich zawodów my w Polsce nie mamy. A jak pokazał program pilotażowy POZ plus, aby wprowadzić do POZ opiekę koordynowaną, potrzebny jest czas na wykształcenie koordynatorów oraz dodatkowe pieniądze na ich zatrudnienie. Minister zdrowia powołał niedawno zespół ds. POZ. Zespół ekspertów Porozumienia Zielonogórskiego

przygotowuje zręby opieki koordynowanej, ale wszyscy zdają sobie sprawę, że na wykształcenie dla niej armii fachowców potrzeba przynajmniej kilku lat. Zdaniem ekspertów PZ - wprowadzić ją teraz, niejako z marszu może zaledwie kilka - kilkanaście procent placówek POZ.

Pacjenci skarżą się też, że po to, by skorzystać z wielu podstawowych dziś badań diagnostycznych muszą czekać w kolejkach do specjalistów, bo lekarz POZ nie ma uprawnień, by wystawić na nie skierowania.

- To prawda - przyznaje dr Krajewski. - Trzeba jednak w pierwszej kolejności opracować, podobnie jak jest w przypadku refundacji leków - ściśle określoną listę wskazań, kiedy lekarz POZ może skierować pacjenta na tomografię komputerową czy rezonans magnetyczny, a kiedy nie powinien. Aktualnie przygotowywana jest ustawa, która umożliwi lekarzom kierowanie pacjentów na takie badania, ale tylko w zgodzie z tymi wskazaniami. W przeciwnym razie te badania mogłyby być nadużywane.

- Taki system - z większym zespołem, który świadczy większy zakres świadczeń - powoduje, że lekarz rodzinny czuwa nad pacjentem, ustala plan opieki medycznej po to, by pacjent nie zachorował, by skutecznie zapobiegać i szybko wykrywać choroby - dodaje prezes PZ.

- Federacji zależy na tym, aby jej postulaty znalazły się w materiałach programowych rządu. - Pandemia COVID-19 pokazała, że podstawowa opieka zdrowotna odgrywa kluczową rolę w systemie ochrony zdrowia. Teraz doświadczenia pandemii należy przełożyć na szanse uporządkowania roli podstawowej opieki zdrowotnej i doinwestowania jej infrastruktury. W nowej perspektywie wykorzystania środków pochodzących z funduszy unijnych w latach 2021-2027 powinna stać się jednym z głównych beneficjentów - mówi prezes Krajewski. - Nie mniej ważne jest, by pacjent miał łatwy dostęp do lekarzy rodzinnych, był przez nich dobrze leczony, a jakość usług zdrowotnych oraz efektywność i dostępność były podnoszone. By pacjent leczony był zgodnie z najnowszą wiedzą medyczną, by nauczył się żyć jak najzdrowiej i mógł korzystać z programów zdrowotnych.

Twoje obowiązki

Tymczasem dr Andrzej Zapaśnik przypomina, że opieka lekarzy POZ nad pacjentami z COVID-19, którzy pozostają w izolacji domowej nie jest kwestią ich chęci, a ustawowym obowiązkiem.

- Obowiązkiem, który w naszym przekonaniu znakomita większość podmiotów POZ realizuje z największym poświęceniem, pomimo niewystarczających zasobów kadrowych i lokalowo-sprzętowych - dodaje Andrzej Zapaśnik. - Rola personelu medycznego przychodni POZ, pracującego ponad siły od wielu miesięcy w walce z pandemią, jest fundamentalna i nie do przecenienia. Podobnie uważa konsultant wojewódzki w dziedzinie medycyny rodzinnej. - Jestem przekonany, że pomimo ogromu pracy i nowych zadań, przed którymi stoi dzisiaj służba zdrowia w tym najbliższym czasie lekarze rodzinni poradzą sobie tak dobrze jak na początku pandemii - uspokaja dr Tadeusz Wysocki.

OPINIA PRAKTYKA

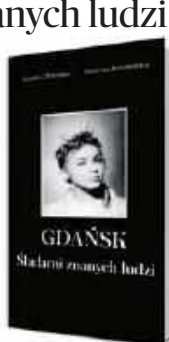
DR ELŻBIETA GLEBKO, 41 LAT PRACY W POZ

Nigdy nie żałowałam, że wybrałam tę specjalizację i do dziś z wielką chęcią pracuję jako lekarz rodzinny w rejonie Przemyśla i Oliwy. Dziennie przyjmuję około 50 pacjentów. Przez ponad 40 lat zdołałam poznać większość z nich, ich historie, a właściwie historię całych rodzin w kilku pokoleniach; dziadków, rodziców i dzieci znam doskonale. Największą satysfakcję odczuwam, gdy moi pacjenci wracają do zdrowia i są zadowoleni

SOPOT Śladami znanych ludzi



GDAŃSK



Sekrety gdyńskich kamienic



Sekrety gdyńskich kamienic IV



Księgarnia Dziennika Bałtyckiego poleca

Książki do nabycia w księgarni Dziennika Bałtyckiego

Kliknij i kup www.ksiegarnia.dziennikbaltycki.pl

Możesz też zadzwonić pod nr tel. **502 499 054**

REKLAMA

149807716

Zostań prenumeratorem!

Oszczędzasz 39 zł*

Prenumerata na 3 miesiące za **50 zł miesięcznie**



Gazetę dostarczymy codziennie

do Twojego domu, biura, tam gdzie chcesz!

zamów:

58 728 08 17

od poniedziałku do piątku
w godz. 9:00-15:00

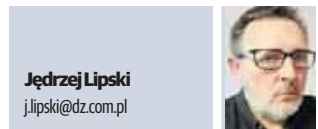
email:
prenumerata@prasa.gda.pl

Oferta tylko dla nowych prenumeratorów

* Średnia oszczędność miesięczna w porównaniu do ceny w kiosku styczeń - marzec 2022 r.

Konterfekt Zdrajcy.

Szkic do portretu Edwarda Gierka



Jędrzej Lipski
j.lipski@dz.com.pl

Historia

„Wicie, rozumiecie...” ten prząsny zwrot często padał z ust tzw. ojca narodu, kiedy chciał podkreślić wagę swoich światłych myśli. „Wicie, rozumiecie...” Ci, którzy urodzili się i dorastali w latach 70. XX wieku doskonale wiedzą, kto był autorem tych słów... Edward Gierek, rzekomo, „ojciec narodu”, „bohater wojenny”, przywódca, mąż stanu, budowniczy drugiej Polski, która „rosła w siłę, a ludzie żyli dostatnio!”. Rzekomo, a jak było naprawdę?

Pierwsze kroki...

Edward Gierek urodził się 6 stycznia 1913 r. we wsi Porąbka w pobliżu Sosnowca. Ojciec Edwarda był górnikiem. Gdy Edward miał 4 lata, ojciec zginął w wypadku podczas pracy w kopalni „Kazimierz”. Matka przyszłego I sekretarza wyszła ponownie za mąż jeszcze dwukrotnie.

Jako 10 latek, Edward Gierek wraz z rodziną wyjeżdża do Francji. Tam, już w 1926 roku, zaczął pracować w kopalni Arenberg. Gdy skończył 17 lat, związał się z ruchem komunistycznym. I w 1931 roku wstąpił do polskiej sekcji Francuskiej Partii Komunistycznej. Za działalność komunistyczną został wydalony z Francji i musiał wrócić do Polski. W tym samym roku zostaje powołany do wojska i odbywa dwuletnią zasadniczą służbę wojskową. W kwietniu 1937 roku w kościele w Zagórze bierze ślub ze Stanisławą Jędrusik. Kilka miesięcy później Gierkowie wyjeżdżają z kraju. Tym razem do Belgii. Tam Edward Gierek podejmuje pracę w kopalni węgla kamiennego. Dzięki temu byt rodziny Gierków znacznie się poprawił. Wówczas na świat przychodzi synowie, Adam, Zygmunt i Jerzy. Już w 1939 roku Gierek wstępuje do Komunistycznej Partii Belgii. W czasie wojny był członkiem komunistycznego ruchu oporu.

Powrót i kariera...

Do Polski wraca w 1948 roku na wezwanie władz zwierzchnich PPR. Mając wówczas 35 lat, rozpoczyna pracę na rzecz komunistycznej władzy w Polsce. Nie wiele wiemy na temat wykształcenia Edwarda Gierka. Na pewno miał ukończone trzy klasy szkoły powszechnej, ale już w 1948 roku podejmuje dwuletnie „studia”

na dwuletnim kursie partyjnym w Warszawie. Jego wykładowcy oceniali go jako „studenta miennego, wyrobionego politycznie, z podejściem klasowym do zagadnień”. Dzięki temu błyskawicznie robi karierę w aparacie partyjnym, zostając członkiem KC PZPR oraz kierownikiem Wydziału Przemysłu Ciężkiego KC PZPR, stając się tym samym bezpośrednim współpracownikiem Bieruta. Jako sekretarz KC PZPR zostaje oddelegowany z ramienia aparatu partyjnego, do „tłumienia” buntu robotników w czerwcu 1956 roku w Poznaniu. Od tego momentu staje się jednym z niewielu polskich komunistów, obdarzonych pełnym zaufaniem sowieckich towarzyszy na Kremlu. Nie jest do końca jasne, skąd wzięło się to pełne zaufanie Sowietów do Gierka. Historycy upatrują jego początku w latach działalności Gierka w ruchach komunistycznych we Francji lub Belgii. To właśnie tam mógł zetknąć się z emisariuszami sowieckiej agentury. Na przełomie lat 50. i 60. pozycja Edwarda Gierka coraz bardziej się umacniała. Stojąc niemal na czele partii, u boku Władysława Gomułki, występował wobec sowieckich towarzyszy w roli skrupulatnego informatora, chętnego do udzielania im wszystkich ważnych dla nich informacji. Nie tylko na temat wydarzeń społecznych, politycznych czy gospodarczych. Gierek również dla towarzyszy z Moskwy przygotowywał oceny swoich współtowarzyszy z PZPR. Wskazywał zarówno tych, którzy byli bardziej, a którzy mniej lojalni wobec Moskwy w przełomowych chwilach i wydarzeniach. Jego postawa bezkompromisowego komunisty na usługach Moskwy stawała się coraz bardziej wyrazista. Dał temu wyraz chociażby podczas słynnego przemówienia w Katowicach w 1968 roku, skierowanego przeciwko rewizjonistom i syjonistom, którym obiecywał, że „śląska woda pogruchocze im kości”. Już w roku 1968 Edward Gierek przygotowywał się do przejścia schedy partyjno-państwowej po Gomułkę. Musiał jednak jeszcze poczekać na to dwa lata. Do grudnia 1970 roku. Krwawe i tragiczne wydarzenia z grudnia 1970 roku, według ocen historyków, były bardzo dobrze zorganizowanym przewrotem pałacowym na najwyższych szczeblach władzy partyjnej. Walka na ulicach Trójmiasta i w Szczecinie, dokonana masakra na robotnikach miast Wybrzeża była pretekstem do błyskawicznego przejścia władzy przez towarzysza Gierka wraz z jego poplecznikami,



Edward Gierek składa wiernopoddaniczy pocałunek na ustach Leonida Breżniewa, swojego sowieckiego mocodawcy i poplecznika

kami, przy pełnej aprobacie nadzorujących wszystko władz sowieckiego Kremla. Pośrednikiem w rozmowach pomiędzy towarzyszami sowieckimi a grupą Gierka był, sprawujący wówczas fikcyjną funkcję premiera PRL, Piotr Jaroszewicz. Edward Gierek zostaje wówczas I sekretarzem KC PZPR, obejmując pełnię władzy dyktatora komunistycznego w Polsce. Dyktatora mieniącego się w oczach zmanipulowanego społeczeństwa liberalnym przywódcą niosącym pokój i dobrobyt.

Kłamstwo założycielskie

Jednak po grudniu 1970 roku nastroje społeczne wcale nie były spacyfikowane. Wciąż wybuchały strajki. W styczniu 1971 roku w Zarządzie Portu Gdynia, Gdyńskiej Stoczni Remontowej i Stoczni im. Komuny Paryskiej doszło do szeregu krótkotrwałych strajków. Protestowały też inne zakłady. W Stoczni Gdańskiej im. Lenina odnotowano aż pięć strajków, w których łącznie uczestniczyło 13 tys. robotników. W końcu stycznia stanęły największe zakłady Szczecina. Zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, Edward Gierek 24 stycznia 1971 roku polecił do Szczecina, aby osobiście porozmawiać ze strajkującą załogą Stoczni im. Warszawskiego. Negocjacje były burzliwe, lecz nowy szef PZPR dopiął swego i szczecinianie wrócili do pracy. Po sukcesie szczecińskim Gierek uparł się, że spotkanie musi odbyć się również w Gdańsku. Gdańska wizyta miała jednak zupełnie inny charakter niż wyjazd do Szczecina. Została drobniagowo wyreżyserowana. Służba Bezpieczeństwa nadała jej kryptonim „Przyjazd 25”. W materiałach SB czytamy:

„W dniu 25 stycznia 1971 r. spodziewane jest spotkanie delegacji większych zakładów pracy Gdań-

ska i Gdyni z przedstawicielami Sekretariatu KC PZPR. Spotkanie odbędzie się o godzinie 11.00 w okrągłej Sali Prezydium WRN [Wojewódzkiej Rady Narodowej - P.B.]. Zakłada się, że około godziny 10.00 na salę zostanie wprowadzona grupa aktywu partyjnego w liczbie około 100 osób. Grupę wprowadzi jeden z sekretarzy KW PZPR w Gdańsku. Grupa ta zobowiązana jest do zajęcia pierwszych rzędów krzesel przy scenie. Pozostali delegaci zostaną podwiezieni pięcioma autokarami po godzinie 10.00, najpóźniej do 10.30”.

Tym samym najlepsze miejsca zajęli partyjni aktywiści. Także reprezentanci robotników zostali odpowiednio dobrani. Bezpieka otrzymała bowiem polecenie „wytypowania odpowiednich kandydatów” na delegatów. Ich zadaniem było manipulowanie reakcjami pozostałych delegatów. Polecono im np. „wysuwanie realnych, korzystnych politycznych i ekonomicznych postulatów” i „spontaniczne reagowanie na odpowiednie elementy ze spotkań z kierownictwem, które mogą mieć wpływ na rozładowanie atmosfery, spokojną pracę i podejmowanie zobowiązań produkcyjnych”. Krótko mówiąc: mieli odegrać rolę klakierów. Na 181 robotniczych delegatów co szósty okazał się współpracownikiem SB! Wśród delegatów było też 45 członków PZPR. Oczywiście na sali znaleźli się też autentyczni delegaci. W tym szcście aktualnie inwigilowanych przez bezpiekę i trzynastu zidentyfikowanych przez nią jako aktywni uczestnicy grudniowej rewolty. Na wszelki wypadek w każdym wiozącym robotników autokarze ulokowano - udającego pilota - funkcjonariusza SB, który zamiast pilotować przejazd śledził zachowanie pasażerów. W szatni PWRN w tłum delega-

tów wmieszało się kolejnych 25 funkcjonariuszy SB, którzy wraz z robotnikami udali się na salę obrad. Spotkanie rozpoczęło się o godz. 11.00 i trwało osiem godzin. Oprócz Gierka przyjechali: Edward Babiuch, Piotr Jaroszewicz i Franciszek Szlachcic. Lokalne władze reprezentowali: Alojzy Karkoszka i Tadeusz Bejma. Mimo tych drobniagowych przygotowań, atmosfera daleka była od spokoju. Robotnicy zarzucili I sekretarza gradem pytań i postulatów, wśród których znalazły się żądania: ukarania winnych grudniowej masakry, uniezależnienia związków zawodowych od PZPR, złagodzenia cenzury i zaprzestania praktyki przysyłania do lokalnych władz „ludzi z Warszawy”. Pytany o cel swojej niedawnej podróży do ZSRS Gierek tłumaczył, że polecił do Moskwy, „by ich prosić o dostawę cementu”. Kończąc spotkanie, Gierek powiedział:

„Chciałbym zakończyć apelem o zaufanie, wiarę i pomoc, o coraz lepszą pracę. Możecie być przekonani, że wszyscy jesteśmy ulepiani z tej samej gliny i nie mamy innego celu, jak ten, który tu deklarowaliśmy. Jeśli nam pomożecie, to sądzę, że ten cel uda nam się wspólnie osiągnąć. No więc jak - pomożecie?”. W relacjonującym to spotkanie „Głosie Wybrzeża” z 27 stycznia 1971 roku napisano krótko: „Odpowiedzią na te słowa były burzliwe oklaski zebranych”. Tymczasem, jak opisuje to Jerzy Eisler w swoich badaniach naukowych: „Powszechnie uważa się, że odpowiedziało mu chóralnie: „Pomożemy!” wypowiedziane przez stoczniovców. O tym, że nic takiego się wówczas nie wydarzyło, można się przekonać, oglądając archiwalny film z tego spotkania lub słuchając nagrania magnetofonowego. Rozległy się tylko umiarkowane oklaski, ale środki masowego przekazu niemal od razu postanowiły zdyskontować propagandowo podróż nowego I sekretarza KC na Wybrzeże”. Z czasem hasło „Pomożemy” stało się czołowym sloganem peerelowskiej propagandy lat siedemdziesiątych. Nic dziwnego, że zapadło ludzom w pamięć, deformując przy tym rzeczywisty przebieg wydarzeń.

Bohaterskie włókniarki...

Ekipa Gierka potępiła użycie siły podczas tłumienia strajków i zapowiedziała zmianę polityki gospodarczej, ale jednocześnie nie odwołała podwyżek. Władze poczuły się pewnie i właśnie w takiej sytuacji do akcji wkroczyły łódzkie włókniarki. Bunt wybuchł tym razem w mieście, w którym

panowała najwyższa w kraju śmiertelność noworodków, a kobiety pracowały na trzy zmiany w systemie akordowym w warunkach rodem z filmowej Ziemi Obiecanej. Przełomowe wydarzenia dla łódzkich strajków miały miejsce 12 i 13 lutego. Do protestu przyłączyły się inne wydziały ZPB im. Marchlewskiego i sześć kolejnych zakładów bawełnianych. Już 12 lutego w Łodzi strajkowało ponad 12 tys. osób, z czego 80 proc. stanowiły kobiety, i tak znaczącego buntu nie można było spacyfikować ani obietnicami, ani drobnymi ustępstwami dyrekcji zakładów. Strajkujący nie ulegli ani presji, ani politycznej propagandzie i nie uwierzyli w składane im obietnice. 15 lutego przystąpiły do strajku trzy ostatnie zakłady przemysłu bawełnianego - im. Feliksa Dzierżyńskiego, im. Szymona Harnama, im. Stanisława Dubois - oraz siedemnaście zakładów z innych branż. Protest objął już 32 zakłady, w tym wszystkie z branży bawełnianej i wełnianej, a do pracy nie przystąpiło łącznie 55 tys. robotników. Zaniepokojone eskalacją niezadowolonych władze komunistyczne zdecydowały się na ustępstwa i postanowiono szybko wycofać się z podwyżek cen z grudnia 1970 r. Jeszcze 15 lutego wieczorem został nadany komunikat, że Rada Ministrów postanowiła obniżyć od 1 marca ceny artykułów żywnościowych do poziomu sprzed grudnia 1970 r. Strajkujący robotnicy otrzymali też gwarancję bezpieczeństwa. Władze PRL zdecydowały się odwołać podwyżki cen żywności, co miało zapobiec trzeciej fali strajków.

Handel ludźmi

Lata siedemdziesiąte prezentuje się czasem jako okres względnej prosperity w szarżyźnie PRL. Tym bardziej zaskakuje, że właśnie w dekadzie rządów Edwarda Gierka kraj zdecydowało się opuścić ponad 200 tys. osób. Gdy na początku lat 70. ub. wieku wieść o tym, że PRL poluzuje „żelazną kurtynę”, rozeszła się po Polsce, ruszyła ogromna fala podań o zgodę na wyjazd stały do RFN. Dla władz komunistycznych był to wstrząs, nie spodziewały się bowiem, że aż takliczna grupa „autochtonów” będzie chciała opuścić kraj. Tym bardziej że w grudniu 1970 r. miały miejsce dwa znamienne akty: podpisanie układu PRL-RFN oraz zmiana na szczytach władzy w Polsce. To pierwsze wydarzenie rodziło oczekiwanie, że kontakty z rodzinami w Niemczech Zachodnich będą łatwiejsze. To drugie budziło nadzieję, że w kraju „małej stabilizacji” Wła-

dysława Gomułki może faktycznie dojdzie do wieszczonego przez Edwarda Gierka „dynamicznego rozwoju”, a PRL stanie się „ósmą potęgą gospodarczą świata”, jak chciała tego propaganda sukcesu. Mniej więcej od lata 1973 r. władze PRL postanowiły powiązać kwestię zgody na wyjazd z żądaniami kredytowymi. Oczekiwały, że za „wypuszczenie” ponad 100 tys. osób Polska mogłaby uzyskać nawet 3 miliardy niskooprocentowanego kredytu do RFN, dodatkowo półtora miliarda regulacji rentowych. Do porozumienia doszło latem 1975 r. podczas Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, obradującej w stolicy Finlandii - Helsinkach. Z jednej strony w akcie końcowym z 2 sierpnia 1975 r. zapisano kwestię swobodnej migracji jako element praw człowieka. Z drugiej strony kanclerz federalny Helmut Schmidt i I sekretarz KC PZPR Edward Gierek zawarli umowę: kredyt „Jumbo” na 1 mld marek oprocentowanych na 2,5 proc., ryczałt rentowy na 1,3 mld marek oraz zgoda PRL na wyjazd 120-125 tys. osób w formule łączenia rodzin. Zawarto to w specjalnym dokumencie zwanym „zapisem protokołowym”. Nie sposób było nie odnieść wrażenia, że sprzedano owych ludzi za kredyt i tak też, przynajmniej na Zachodzie, sprawę tę komentowano. W latach 1976-1979 z województwa katowickiego emigrowano zwłaszcza z trzech miast, które przed 1939 r. znajdowały się w Rzeszy Niemieckiej - Bytomia, Gliwici i Zabrze. W województwie opolskim emigracja „połknęła” 80 proc. przyrostu naturalnego „autochtonów”: liczebność wyjazdów była trzykrotnie wyższa niż ów przyrost. Migracje lat siedemdziesiątych były efektem zmian w globalnej polityce - przejścia od twardych reguł zimnowojennej gry do polityki odprężenia między zwaśnionymi blokami. Stanowiły wielki wyłom w „żelaznej kurtynie”, który wszakże dopiero zapowiadał to, co miało nadejść: masowy exodus lat osiemdziesiątych, kiedy to z PRL wyjechało do Niemiec Zachodnich ponad 630 tys. osób. Te wyjazdy miały już jednak odmienny kontekst polityczny.

Sowieckie modelowanie Polski

Ekipa Edwarda Gierka zawsze obawiała się utraty zaufania Kremla. Poddające zapisy konstytucyjne o „nierozdzielności” więzi ze Związkiem Sowieckim miały uspokoić Moskwę. Otworzenie Polski na Zachód, a także wyjazdy Edwarda Gierka wraz z małżonką i siostrą partyjnych dygnitarzy i goszczenie przez niego w Polsce zachodnich przywódców nie wpłynęły na jego politykę wobec ZSRR. Nawet w sposób dalece bardziej podległy niż Gomułka postępował wobec Związku Sowieckiego i jego przywódcy Leonida Breżniewa. Gierek miał wobec Moskwy dług wdzięczności, gdyż bez poparcia Kremla nie zostałaby I sekretarzem.

rzem. Toteż w 1974 r. nadał Breżniewowi najwyższe polskie odznaczenie wojskowe, order Virtuti Militari. W 1976 r. doprowadził do umieszczenia w polskiej konstytucji zapisu o wiecznej przyjaźni między PRL a ZSRR:

„Art. 6. Polska Rzeczpospolita Ludowa w swej polityce:

1) kieruje się interesami Narodu Polskiego, jego suwerenności, niepodległości i bezpieczeństwa, wolą pokoju i współpracy między narodami,

2) nawiązuje do szczytnych tradycji solidarności z siłami wolności i postępu, umacnia przyjaźń i współpracę ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich i innymi państwami socjalistycznymi,

3) opiera stosunki z państwami o odmiennych ustrojach społecznych na zasadach pokojowego współistnienia i współpracy”.

Serwilizm Gierka względem Breżniewa był tak daleki, że wizunki przywódcy ZSRR powróciły na publiczne spotkania, szkolne akademie i były często prezentowane w radiu i telewizji. Lojalność wobec towarzyszy radzieckich objawiała się także w cenzurze, która nie dopuszczała książek, które mogłyby zostać uznane za antyradzieckie (np. prace historyczne opisujące zbrodnię katyńską lub akt ZSRS na Polskę). Wśród wielu wzorców przeniesionych do powojennej Polski ze Związku Sowieckiego był też tzw. czyn społeczny (lub, w zależności od oficjalnego organizatora, np. czyn partyjny pod egidą organizacji PZPR albo związków zawodowych - wtedy była to „sztafeta czynów produkcyjnych”). Były to wierne kopie tzw. subotnika, czyli propagandowej akcji wykonywania różnych prac na rzecz społeczeństwa. Przez kolejne lata PRL czyni społeczne nabierały coraz większego rozmachu, osiągnąwszy swoje (przynajmniej deklarowane w liczbach) apogeum w latach siedemdziesiątych. We wszystkich większych miastach Polski, na wezwanie Edwarda Gierka, swój czas wolny „spontanicznie” poświęcało już nie dziesiątki, a setki tysięcy Polaków, w skali kraju były to miliony. W sierpniu 1979 r. Dzień Czynu Partyjnego Egzekutywa Komitetu Warszawskiego zaplanowała nie tylko jako „efekt pracy członków partii bezpośrednio dla Warszawy, ale i jako pokaz siły partii, której masowo towarzyszą bezpartyjni w czynie”. W praktyce działania te, pozornie precyzyjnie zaplanowane i przeprowadzone, były w rzeczywistości pokazem marnotrawstwa sił i środków. Szereg nieskorelowanych ze sobą działań potęgował tylko bałagan w funkcjonowaniu przedsiębiorstw, a także, co nie mniej istotne, propagandowy humbug, jakim był ów „czyn”, zniechęcał biorących w nim udział obywateli do jakiegokolwiek aktywności społecznej.

Kredyty, pożyczki, długi pod zastaw...

Żaden z poprzedników Edwarda Gierka na stanowisku I sekretarza KC PZPR nie miał takiego zaplecza eksperckiego, na jakie od 1976 r. mógł liczyć ten właśnie przywódca PRL. Kilkunastoosobowy Zespół Doradców Naukowych, powołany formalnie w 1977 r., zasilany dorywczo opiniami kilkudziesięciu innych ekspertów, przygotował dla niego do sierpnia 1980 r. łącznie kilkadziesiąt raportów. Dokonywano w nich nie tylko ogólnej oceny sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej kraju oraz szczegółowej analizy poszczególnych dziedzin życia i gałęzi gospodarki. Zawarte były tam także gotowe zalecenia koniecznych działań. Trzeba, oczywiście, pamiętać, że cała rzecz dotyczyła gospodarki socjalistycznej, sterowanej centralnie, niemal całkowicie zmonopolizowanej przez państwo, z systemem sztucznych cen i niewymienialną walutą. Przestrzegano ekipę Gierka przed negatywnymi skutkami wzrastającej przewagi importu nad eksportem oraz silnego uzależnienia od importu modernizowanej gospodarki („importochłonność gospodarki”), opartej na zachodnich technologiach. Zwracano uwagę na bardzo niebezpieczne tendencje wzrastającego zadłużenia zagranicznego i przekroczenie już wówczas bezpiecznej granicy w tym zakresie. „Nie możemy już bardziej się zadłużać” - brzmiała ówczesna konkluzja ekonomistów.

Gdyby nie Ursus i Radom...

W pełnej krasie negatywne skutki polityki „drugiej Polski” ujawniły się w 1976 r. Wówczas zaczęły się problemy z dostępnością towarów, zwłaszcza spożywczych. Było to szokiem dla Polaków, którzy od lat utrzymywani byli w przeświadczeniu o doskonałej sytuacji ekonomicznej PRL. Jednakże zamrożeniu cen towarzyszył wzrost kosztów produkcji i wzrost wynagrodzeń. Toteż produkcja stawała się coraz mniej opłacalna. Powodowało to powstanie wielkiego nawisu inflacyjnego i zachwianie równowagą rynkową. Sposobem na uzdrowienie sytuacji było przywrócenie tej równowagi poprzez podwyżkę cen. Jednakże skoro władza cen nie podnosiła od lat, to ich urealnienie było szczególnie dotkliwe. Jaroszewicz uznał, że brak podwyżek spowoduje, że zabraknie środków na dokończenie rozpoczętych już inwestycji. W efekcie w czerwcu 1976 r. Sejm uchwalił gigantyczne podwyżki cen. Mięso drożało o 69%, cukier o 90%, a masło i nabiał o 50%. Jedną z cech dysfunkcyjnych systemu socjalistycznej gospodarki było decydowanie o cenach nie przez sytuację rynkową, ale poprzez decyzje polityczne, które jako dalece spóźnione wywoływały bunt społeczny. Odpowiedzią społeczną na tak drastyczne podwyżki były podobnie jak w 1956 r. i 1970 r. strajki. Pracę

przerwały załogi 54 zakładów z województw: warszawskiego, szczecińskiego, gdańskiego, elbląskiego, łódzkiego i płockiego. Największe strajki zorganizowano w Radomiu, Ursusie i Płocku. W Radomiu nawet ok. 20 tys. pracowników i mieszkańców wyszło na ulice, by zaprotestować przeciwko polityce PZPR. Gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR został podpalony. Na strajkujących władza wysłała oddziały ZOMO i funkcjonariuszy SB. Jednak inaczej niż na Wybrzeżu w 1970 r. nie zdecydowano się na strzelanie do robotników. Do podobnych starć doszło w Ursusie. Robotnicy z Zakładów Mechanicznych zablokowali tory paraliżując transport kolejowy w całym kraju. Kilkutysięczny tłum protestował w Płocku. Strajki objęły zakłady z połowy województw. Opór społeczny był tak duży, że Jaroszewicz postanowił podać się do dymisji, która nie została przyjęta. Natomiast Gierek zdecydował się wycofać z podwyżek. To uspokoiło sytuację społeczną, ale miało bardzo negatywne skutki gospodarcze. Jeszcze w 1976 r. zostały wprowadzone kartki na cukier, chcąc w ten sposób hamować konsumpcję, która przy zachwianiu cen nie mogła być zaspokojona przez produkcję. Tym samym każdy po starej cenie mógł kupić 2 kg cukru miesięcznie. Więcej można było zakupić tylko po wyższej cenie. Społeczne wystąpienia z czerwca 1976 roku wywołały brutalną akcję władz. Sam Edward Gierek mówił do wojewódzkich sekretarzy PZPR: [...] trzeba załodzić tych czterdziestu paru zakładów powiedzieć, jak my ich nienawidzimy, jacy to są łajdacy, jak oni swoim postępowaniem szkodzą krajowi. Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem, a nawet jeśli zażądacie wyrzucenia z zakładów pracy elementów nieodpowiedzialnych - tym lepiej dla sprawy [...]

Po tych słowach władze wzięły odwet na protestujących, zwłaszcza w Radomiu i Ursusie. Zatrzymanych przewożono do komend MO i aresztów, gdzie przechodzili przez tzw. ścieżki zdrowia (szpaler milicjantów bijących pałkami). Bito także przypadkowe osoby: jedną z nich był Jan Brożyna, śmiertelnie pobity przez patrol MO, o którego zabójstwo oskarżono świadków tego wydarzenia. Drugą śmiertelną ofiarą represji był ks. Roman Kotlarz, który 25 czerwca i w kolejnych dniach wspierał robotników. Kilkukrotnie był nachodzony i bity przez funkcjonariuszy milicji oraz SB. Zmarł 18 sierpnia w stanie głębokiego wyniszczenia fizycznego i psychicznego. Do Kolegiów ds. Wykroczeń skierowano 353 wnioski, w tym 214 w Radomiu, 131 w Warszawie i 8 w Płocku. Orzeczono 314 kar aresztu, w tym 250 na trzy i 50 na dwa miesiące. W Radomiu w trybie przyspieszonym postawiono przed sądem 51 osób. Na kary więzienia skazano 42

osoby, w tym 28 - na pięć miesięcy do roku, 14 zaś - na 2 do 3 miesięcy. W zwykłym trybie w Radomiu osądzono 188 osób. W lipcu i sierpniu 1976 r. odbyły się cztery procesy pokazowe, w których wobec oskarżonych zastosowano zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Osiem osób skazano na kary od 8 do 10 lat więzienia, jednaście - na kary po 5-6 lat, a pozostałych na kary od 2 do 4 lat. W procesie ursuskim siedem osób skazano na kary od 3 do 5 lat więzienia. W Płocku sądzono 34 osoby, spośród których 18 skazano na kary od 2 do 5 lat, 15 - na kary w zawieszeniu, a 1 osobę uniewinniono. Łącznie za udział w proteście osądzono 272 osoby. Rezygnacja z podwyżki przesądziła o narastaniu trwałej nierównowagi rynkowej, co było jednym z pierwszych przejawów kryzysu, w jakim pogrążała się gospodarka PRL w drugiej połowie rządów Gierka. Surowe represje wymierzone w uczestników czerwcowych protestów kontrastowały z dotychczasowym, względnie liberalnym, wizerunkiem ekipy. Część bacznych obserwatorów wydarzeń doceniła znaczenie wydarzeń z czerwca 1976 r. „Myszę, że w gruncie rzeczy pierwszy żałobny dzwon dla ekipy Gierka już zadzwonił, wprawili go w ruch robotnicy z Ursusa, Radomia, Płocka i innych miast, kolejarze z całej Polski, słowem tłumy, które się wreszcie wściekły” - zapisał w swoim dzienniku Stefan Kisielewski. We wrześniu doszło do utworzenia Komitetu Obrony Robotników - pierwszej działającej jawnie w kraju komunistycznym organizacji opozycyjnej, która przez kilka miesięcy walczyła o wypuszczenie na wolność wszystkich osób skazanych za udział w protestach w Radomiu i Ursusie, co nastąpiło ostatecznie w lipcu 1977 r. Jednocześnie narasta terror MO i SB. W Krakowie ginie z rąk „nieznanych sprawców” student UJ Stanisław Pyjas. Polska gospodarka tonie w permanentnym kryzysie, a nastroje społeczne się radykalizują. W 1978 roku powstają na Śląsku i na Wybrzeżu Wolne Związki Zawodowe. Jesienią tegoż roku Polak zostaje Papieżem. Dużymi krokami zbliżają się przełomowe dni lata 1980 r.

Urlopi... koniec

W przeddzień wydarzeń sierpniowych Edward Gierek wyjechał na urlop na Krym. W 1981 r. jego syn bronił ojca w czasie katowickiego plenum: „wyjazd [na Krym] doszedł do skutku z tego jedynie względu, że ówczesni członkowie Biura Politycznego i Sekretariatu usilnie namawiali towarzysza Edwarda Gierka do udania się na wypoczynek, przedstawiając rodzące się niepokoje w zupełnie innym świetle”. W czasie wypoczynku na Krymie sekretarz spotkał się z Leonidem Breżniewem. Ten dokładnie zapamiętał ich rozmowę oraz zapewnienia, że opozycja demokratyczna w Polsce jest spacyfikowana i pod całkowitą kontrolą. Gierek rzeczywiście mógł przeko-

nywać Breżniewa o całkowitej kontroli nad opozycją, ponieważ tak relacjonowali mu sytuację ludzie odpowiedzialni na służby specjalne. Wziął za dobrą monetę między innymi zapewnienia Stanisława Kowalczyka o tym, że Lech Wałęsa „jest jego człowiekiem”, czyli tajnym współpracownikiem SB.

Polityczny upadek Gierka był błyskawiczny. Po strajkach lipcowo-sierpniowych i podpisaniu czterech porozumień Edwarda Gierka niemal zmiotło ze sceny politycznej. We wrześniu 1980 r. stracił stanowisko I Sekretarza, rok później nie był już nawet członkiem PZPR. Po strajkach z sierpnia 1980 r. PZPR była w rozsypce. W obliczu ogólnopolskich protestów, problemów ekonomicznych i pogłębiającego się kryzysu zaufania, konieczna stała się zmiana na stanowisku I Sekretarza. Gierek przypłacił jednak napięcie tamtych gorących tygodni zawałem. Jego hospitalizacja przyspieszyła personalnerosza-dy, nowym I Sekretarzem KC PZPR został Stanisław Kania.

Paranoje Gierka

W rzeczywistości Gierek nigdy nie pogodził się z utratą władzy, a za swój upadek winił partyjnych towarzyszy. Już po 1989 r. on oraz jego współpracownicy, głośno mówili o swoich podejrzeniach. Ich zdaniem sierpniowe strajki były częścią planu przeprowadzenia zmiany na stanowisku I sekretarza. Piotr Jaroszewicz, w latach siedemdziesiątych członek Biura Politycznego i premier, jako architektów spisku wskazywał Stanisława Kanię, stojącego na czele MON Wojciecha Jaruzelskiego oraz kierującego MSW Stanisława Kowalczyka. W jego ocenie właśnie ta trójka, kontrolująca milicję, wojsko i służby specjalne, do ostatniej chwili ukrywała prawdę i zwodziła Gierka, że sytuacja jest pod kontrolą.

Opracowano na podstawie:

Jerzy Eisler; Siedmiu wspaniałych, 2014, Jerzy Eisler „Czterdziści pięć lat, które wstrząsnęły Polską. Historia polityczna PRL, 2018, Iwona Kienzler „Gierek i jego czerwonawy dwór. Partia, rodzina, towarzysze”, 2021, Robert Spałek, Komuniści przeciwko komunizmowi, 2014, Robert Spałek, Na licencji Moskwy, 2020

W SKRÓCIE:

EDWARD GIEREK

został wyniesiony do władzy na fali strajków spowodowanych złą sytuacją gospodarczą kraju. Upadek Władysława Gomułki pozwolił Gierkowi na sprawowanie przez dziesięć lat funkcji I Sekretarza PZPR. W tym czasie dokonana została znacząca modernizacja gospodarki kraju, której kosztem było ogromne zadłużenie Polski. Spowodowany tym kryzys gospodarczy i karnawał Solidarności doprowadził do upadku dekady jego rządów.

Andrzej Dworak
redakcja@polskatimes.pl



Historia II wojny światowej

Po 77 latach od śmierci 15-letniej Żydówki, autorki słynnego dziennika będącego jednym z najbardziej znanych świadectw Holokaustu, wychodzą na jaw okoliczności aresztowania Anny Frank – emerytowany detektyw FBI Vince Pankoke jest zdania, że nastolatkę, jej rodzinę i osoby ukrywające się w oficynie amsterdamskiej kamienicy w 1944 roku zadenuncjował żydowski notariusz Arnold van den Bergh.

Pankoke jest członkiem zespołu śledczego, w którego skład wchodzi około 20 historyków, kryminologów i specjalistów od danych. Udało się im w ciągu sześciu lat pracy wyodrębnić z grona ponad 30 osób podejrzanych o zdradę czterech najbardziej prawdopodobnych sprawców i ostatecznie zidentyfikować stosunkowo nieznaną postać żydowskiego notariusza Arnolda van den Bergha jako głównego podejrzanego o ujawnienie kryjówki Anny Frank. Śledczy, tworzący grupę badaczy spraw zamkniętych (cold case), korzystali z nowoczesnych technik badawczych i skompilowali bazę danych zawierającą listy holenderskich współpracowników, informatorów, dokumenty historyczne, akta policyjne i wcześniejsze badania mające na celu odkrycie nowych tropów. Stworzyli dziesiątki scenariuszy i lokalizacji podejrzanych, które posłużyły wizualizacji głównych tropów śledztwa – powstała na tej podstawie swoista mapa miejsc, motywów i sposobnych okoliczności ułatwiająca namierzenie osoby zdradcy. Wyniki tych badań zostały opisane w książce kanadyjskiej autorki Rosemary Sullivan „The Betrayal of Anne Frank”, która została wydana we wtorek.

Zaufany zdradca

Właściwie od początku było wiadomo, że Annę i siedmioro innych osób pochodzenia żydowskiego ukrywających się w schowku za przesuwanym regałem z książkami w budynku na tyle kamienicy mieszczącej firmę ojca Anny, wydał Niemcom ktoś z kręgu znajomych. Nie była znana tylko jego tożsamość – aż do teraz.

Przez dwa lata nastolatce i pozostałym osobom ze skrytki udawało się unikać aresztowania i śmierci – do Amsterdamu rodzina Frank trafiła po ucieczce z Niemiec, gdzie głowa rodziny Otto Frank dość wcześnie rozpoznał niebezpieczeństwo grożące Żydom i już w 1933 roku przeprowadził się z Frankfurtu nad Menem najpierw do Akwizgranu,



FOT. EAST NEWS

Kto zdradził Annę Frank? Były śledczy FBI znalazł winnego

a następnie do bezpiecznej wóczas Holandii, do Amsterdamu. Otto, jego żona Edith oraz dwie córki – starsza Margot i młodsza Anna – zamieszkali przy ulicy Prinsengracht i aż do 1942 roku nie musieli się ukrywać.

Represje okupanta w stosunku do Holendrów nieuznawanych przez Niemców za podległych były o wiele łagodniejsze niż w Polsce. Nie byli przeznaczani do eksterminacji, choćby rabunkowo wykorzystywani. Natomiast w stosunku do Żydów, których w Holandii było ok. 140 tys., okupanci dość szybko, po kilku tygodniach od podboju, rozpoczęli coraz okrutniejszy

ucisk. Jednak, żeby sobie wyobrazić, jak bardzo tamtejsze realia odbiegały od tych na terenie Polski, wystarczy wspomnieć, że pod koniec lutego Holendrzy mogli sobie wyobrazić, że stać ich na protest, m.in. powszechnym strajkiem, przeciwko postępowaniu z Żydami. Bunt krwawo stłumiono, ale te inne okoliczności pozwalały Annie Frank i jej bliskim na egzystencję znacznie lepszą niż ta, na którą skazani byli Żydzi w Polsce.

Ojciec Otto, zasłużony niegdyś oficer niemieckiej armii, potemek bankierów, prowadził fabrykę i rodzina żyła względnie normalnie – mimo wielu po-

wszechnie obowiązujących zakazów i dyskryminacji. Nie udało się jednak Frankom skorzystać z wizy kubańskiej i wyjechać, a kiedy w czerwcu 1942 roku Margot zaczął zagrażać pobyt w obozie pracy, ojciec ukrył wszystkich na poddaszu oficyny. Dwa tygodnie później dołączyło do nich małżeństwo Pels z synem, a w listopadzie jeszcze jeden mężczyzna Fritz Pfeffer.

Przez 25 miesięcy ośmioro ludzi żyło w ukryciu, korzystając z pomocy przyjaciół. Wtedy właśnie Anna pisała swój dziennik... Kres temu położył donos. Frankowie oraz dwaj pomagający im przyjaciele wyładowali w więzieniu. Ośmkę Żydów wywieziono do obozu Westerbork, a następnie do Auschwitz-Birkenau. Tutaj Otto Frank został rozdzielony z żoną i córkami. Umieszczono go w obozie dla mężczyzn, następnie trafił do baraku dla chorych. 27 stycznia 1945 uwolniła go Armia Czerwona. Powrócił do Holandii, aby pod koniec 1945 roku przekonać się, że jest jedynym ocalałym członkiem rodziny, a także grupy ukrywającej się w domu przy Prinsengracht. Anna i Margot zostały oddzielone od matki podczas ewakuacji KL Auschwitz, trafiły do obozu Bergen-Belsen i tam zmarły na tyfus. Ich ofiara uratowała natomiast inną

żydowską rodzinę – żonę oraz trzy córki notariusza Arnolda van den Bergha.

Kim był van den Bergh?

Notariusz był członkiem założycielem Rady Żydowskiej (Judenrat), organu wykorzystywanego przez niemieckich okupantów do organizowania deportacji Żydów. Uczestniczył w cotygodniowych zebraniach Wydziału Emigracyjnego (Jüdische Auswanderung), który sporządzał listy Żydów przeznaczonych do deportacji. Miał poza tym liczne kontakty z ważnymi Niemcami. Na przykład był blisko z Aloisem Miedlem, niemieckim marszałdem, podobnie jak on miłośnikiem starych obrazów. W 1940 roku Miedl zakupił słynną kolekcję obrazów Jacquesa Goudstikera. Drugim nabywcą był... marszałek Rzeszy Hermann Göring. Van den Bergh był notariuszem tej transakcji i otrzymał część wpływów.

Jednak najważniejszą okolicznością chroniącą van den Bergha przed deportacją do obozu była znajomość z niemieckim urzędnikiem Hansem Calmeyerem, który starał się ratować Żydów (jest Sprawiedliwym Wśród Narodów). Van den Bergh przekonał Calmeyera – zapewne bez trudu – że nie jest Żydem i w związku z tym nie miał

„J” (Jude) w papierach. Miał natomiast szczegółową wiedzę o ukrywających się Żydach i kiedy poczuł nóż na gardle, z tej wiedzy skorzystał. Inny kolega notariusz doniósł Niemcom, że jego nielubiany znajomy Arnold van den Bergh jest jednak Żydem. Żeby ratować siebie, żonę i trzy córki – najmłodsza była w wieku Anny – van den Bergh wyciągnął z sejfów swoje zabezpieczenie i zaoferował, że za wolność zdradzi miejsca ukrywania się holenderskich Żydów. W ten sposób przypieczętował los Anny Frank i jej rodziny.

Ponad 85 procent pewności

Vince Pankoke przyznaje, że nie ma absolutnej pewności, że do aresztowania rodziny Frank doszło wskutek zdrady van den Bergha, ale twierdzi, że teoria jego i jego zespołu „jest w ponad 85 proc. prawdopodobna”.

Pierwszą wskazówką, że to Arnold van den Bergh podał Niemcom miejsce ukrycia rodziny, była notatka otrzymana przez ocalałego z Holokaustu Otta Franka. Anonimowy jej autor wskazuje imiennie na van den Bergha i chociaż znana jest jedynie kopia oryginału, śledczy – po gruntownych badaniach – uznają ją za prawdziwą. Oznacza to, że – być może – odkryta została jedna z wielkich tajemnic drugiej wojny światowej.

Są też wątpliwości – na przykład teza badaczy z „Domu Anny Frank”, instytucji upamiętniającej autorkę dzienników i Holokaustu, że rodzina Frank wpadła przypadkowo podczas obławy urządzonej w celu wykrycia posiadaczy fałszywych kartek żywnościowych...

Pieter van Twisk, jeden z członków zespołu śledczego, przyznaje, że posiadane dowody prawdopodobnie wystarczyłyby sędziemu. Ale ze wszystkich teorii na temat zdrady, ta jest najlepiej zbadana i prawdopodobna. Śledczy są też przekonani, że Otto Frank wiedział, kto był zdradcą. Podobnie jak Miep Gies, jedna z osób pomagających ukrywającym się w oficynie przy Prinsengracht. Gies powiedziała raz podczas wykładu w USA, że sprawca nie żył w 1960 roku... Van den Bergh zmarł w 1950 r. na raka gardła.

Cała sprawa ma jeszcze jeden aspekt, poruszony m.in. przez Hannę Luden, dyrektorkę holenderskiej organizacji żydowskiej CIDI, która walczy z antysemityzmem. Jej zdaniem ostatecznie doniesienia i książka zapewnią wgląd w wojenne losy ludności żydowskiej w Amsterdamie. Byłoby natomiast źle, gdyby przewały głosy, że to Żydzi są tu winni, choć przecież odpowiedzialni są Niemcy... Do tego akurat w Polsce, gdzie tragedia Żydów wymykała się wszelkim wyobrażeniom, a ludzie w takiej sytuacji byli zmuszani do potwornych wyborów i zdolni do czynów odległych od kanonów moralnych, niespecjalnie trzeba przekonywać.



FOT. LUPA/PHOTOSHOTREPORTER

Przez 25 miesięcy rodzina Franków żyła w ukryciu. Wtedy właśnie Anna pisała swój dziennik...

Nazarbajew przechodzi na emeryturę, nadchodzi era Tokajewa

Dariusz Olejniczak
dariusz.olejniczak1
@polskapress.pl



Kazachstan

Kazachstan zszedł z czołówek światowej prasy - teraz oczy wszystkich zwrócone są na Rosję i jej poczynania w rejonie granicy z Ukrainą. Tymczasem w największym i najludniejszym państwie poradzieckiej Azji Środkowej, na ulicach umilkły strzały, ale sytuacja wciąż jest napięta. Po trzech tygodniach milczenia do obywateli przemówił Nursułtan Nazarbajew - były prezydent, Ojciec Narodu, zdymisjonowany przywódca Rady Bezpieczeństwa.

W kilkunastu minutach, wygłoszonym w języku kazachskim i później rosyjskim, przemówieniu Nazarbajew zapewnił rodaków, że jest w dobrej formie, nie opuścił stolicy kraju (należy przypuszczać, że chodzi o noszącą jego imię od 2019 r. dawną Astanę - dziś Nur-Sułtan), a przede wszystkim, od 2019 roku jest przecież emerytem i oto teraz przeszedł na zasłużony odpoczynek, a pełnię władzy dżierży jego następca Kasym-Żomart Tokajew. Pod czujnym okiem tego następcy organy ścigania wyjaśnia, zdaniem Nazarbajewa, przyczyny styczniowych krwawo stłumionych zamieszek oraz wskazały terrorystów winnych wywołania chaosu w kraju. Nie zapomnieli zaznaczyć, że w elicie władzy nie ma żadnego konfliktu.

Między wierszami

Niby nic nadzwyczajnego, właściwie Nazarbajew nie powiedział niczego konkretnego. Z tych ogólników da się jednak, między wierszami,

wyłuskać kilka istotnych informacji.

Po pierwsze, transfer władzy w Kazachstanie zamarkowany przez Nazarbajewa w 2019 r. za sprawą przekazania prezydentury wskazanemu przez siebie następcy, teraz teoretycznie nabiera faktycznej mocy. Między innymi z powodu pozbawienia Elbasy istotnej funkcji, która dawała mu możliwości sterowania z tylnego fotela - przywództwa w RBN. Dlaczego teoretycznie? O tym niżej.

Po drugie, pojawienie się Nursułtana Nazarbajewa w zainscenizowanej scenarii i w wyreżyserowanej formule - nie wiemy, kto napisał mu wygłoszoną mowę - oznacza, że nie został on skreślony z kart kazachskiej historii jako wróg publiczny numer 1, choć z pewnością, Tokajew (lub inny przywódca) nieraz to właśnie Nazarbajewa i jego epokę będzie obwiniał za wszelkie nieszczęścia kraju oraz jego mieszkańców. Nazarbajewowi dano szansę wycofania się - niekoniecznie na jego warunkach, ale na warunkach, jakie łatwiej było mu zaakceptować.

Po trzecie, Nazarbajew wskazał na Tokajewa jako na tego, który teraz rządzi i w domyśle, który rządził w tragicznych pierwszych dniach stycznia. To oczywiście umycie rąk i odsunięcie od siebie odpowiedzialności, już nawet nie za wojsko strzelające do demonstrantów, ale także za przyczyny, które doprowadziły do wybuchu społecznego gniewu. Także tych, mających swoje źródła w całej

Nazarbajew wskazał na Tokajewa jako na tego, który teraz rządzi, i który rządził w pierwszych dniach stycznia

30-letniej historii politycznej i ekonomicznej niepodległego Kazachstanu.

Po czwarte, skoro Elbasy oficjalnie wrogiem publicznym nie jest (nieoficjalnie oczywiście wielu Kazachów szczerze go nienawidzi i obwinia o wszelkie nieszczęścia, narodowe i prywatne), to nie było pewnie powodu, by pozbawiać go nagromadzonych przez lata sprawowania władzy zasobów. Najprawdopodobniej zatem Nazarbajew zachowa swój majątek, a ponadto na finansowy i osobisty szwank narażeni będą ci przedstawiciele jego własnej rodziny, którzy byli i są mu nieprzychylni. Od jakiegoś czasu wpływy i stanowiska tracą jego kuzyni, zięciowie... Może nawet sam Nazarbajew uznał, że warto chronić własną głowę kosztem cudzych głów?

Ustawa nadal obowiązuje

A teraz o zastrzeżeniach, które wyraziłem przy okazji punktu pierwszego. Otóż jest pewien haczyk, który może spędzać sen z powiek Kasymowi-Żomartowi Tokajewowi. Wprawdzie bowiem Nazarbajew potracił oficjalne stanowiska, ale w Kazachstanie wciąż obowiązuje ustawa o Pierwszym Prezydencie - Przywódcy Narodu i jest ona personalnie związana z Nursułtanem Nazarbajewem.

Ustawa została uchwalona w 2000 r. w uznaniu niewyobrażalnie wielkich zasług Nursułtana Nazarbajewa jako tego, który pełniąc - jako pierwszy - urząd prezydenta niepodległego kraju, uczynił dla Kazachstanu tak wiele, tak dobrego. Dokument ten daje Nazarbajewowi następujące przywileje, także po zaprzestaniu pełnienia oficjalnych obowiązków prezydenckich: zwracać się do ludności Kazachstanu, organów państwowych i urzędników z inicjatywami w najważniejszych kwestiach budowy państwa, polityki wewnętrznej i zagranic-



FOT. SPUTNIK / EAST NEWS

W przemówieniu skierowanym do narodu Nursułtan Nazarbajew nie odniósł się do żadnych zarzutów kierowanych pod jego adresem przez protestujących podczas niedawnych zamieszek

nej oraz bezpieczeństwa kraju; zabierać głos przed Sejmem Republiki Kazachstanu i jego Izbami, na posiedzeniach Rządu Republiki w sprawach ważnych dla kraju; przewodniczyć Zgromadzeniu Narodu Kazachstanu; przewodniczący Rady Bezpieczeństwa Republiki Kazachstanu (z tej funkcji został zdymisjonowany przez Tokajewa); należeć do Rady Konstytucyjnej Republiki Kazachstanu.

Ponadto, w myśl ustawy, inicjatywy rozwijane w głównych kierunkach polityki wewnętrznej i zagranicznej państwa koordynowane są z Pierwszym Prezydentem Republiki Kazachstanu - Elbasą. Dalej ustawa przewiduje, że: utrudnianie legalnej działalności Pierwszego Prezydenta Republiki Kazachstanu, publiczne znieważenie lub inne naruszenie honoru i godności Pierwszego Prezydenta Republiki Kazachstanu, a także zbezczeszczenie wizerunków Pierwszego Prezydenta Republiki Kazachstanu - są zabronione i są ścigane z mocy prawa. Akurat z tego ostatniego zapisu nic sobie nie robili w ostatnich dniach demonstranci obalający pomniki Nazarbajewa. Na dodatek Nazarbajewa obejmuje pełny immunitet dotyczący jego i jego majątku. Jednym zdaniem - włos mu z głowy spaść nie może, a z sejfów nie może ubyc ani jedno tenge. To tylko te najważniejsze przywileje, jakimi cieszy się pierwsza głowa państwa.

Kasym w butach Nursułtana

Jak wobec tych zapisów i wobec Nazarbajewa zachowa się

teraz Tokajew? Najprawdopodobniej, ich istnienie warunkowało choćby częściowo kontrakt, jaki obaj panowie zawarli. Czy z kolei Nazarbajew będzie chciał korzystać ze swoich uprawnień? W jakim zakresie? I czy będzie na mocy swoich nadzwyczajnych prerogatyw podejmować działania przeciw Tokajewowi? Można przypuszczać, że nie, bo i tak sporo dla siebie ugrał. Poza tym, skoro coś ugrał i nie stracił majątku, to jego głównym zmartwieniem może być teraz jedynie w miarę honorowe wycofywanie się z życia publicznego. Czy dyktator przez lata funkcjonujący w świecie pozorów jako Ojciec Narodu, będzie chciał nadal utrzymywać iluzję funkcjonowania jako zwyczajny, choć zasłużony dla ojczyzny i zasługujący na szacunek emeryt?

Swoją drogą, o tym, jak postrzegają Nazarbajewa jego następcy, może w przyszłości świadczyć to, czy (być może już po śmierci 81-letniego dziś Elbasy) stolicą Kazachstanu - dziś Nur-Sułtan - na powrót stanie się Astaną.

Skoro Tokajew jako tako ułożył już relacje z byłym prezydentem, czekają go kolejne wyzwania, znacznie bardziej poważne. Teraz to właśnie on wszedł w buty Nazarbajewa i dla wielu stał się najbardziej znienawidzonym człowiekiem w kraju. W styczniowej zawierusze postawił wszystko na jedną kartę, czując za plecami wsparcie Rosji. Dziś wydaje się na tyle politycznie silny, że niestraszni mu ani wewnętrzni przeciwnicy - dotychczasowi stronnicy Nazar-

bajewa (o których mówiło się, że szykują przewrót nakierowany na przejęcie pełni władzy od Tokajewa), ani niezadowoleni z własnej sytuacji ekonomicznej współobywatele, ani nawet islamscy radykałowie operujący w regionie.

Czy tej siły wystarczy Tokajewowi, by spokojnie rządzić krajem, wprowadzać niezbędne dla zachowania stabilizacji reformy postulowane przez obywateli i przeprowadzić kolejne wybory prezydenckie, które oczywiście by wygrał? Pokażą to najbliższe tygodnie, jednak poza siłą polityczną, w rządach Tokajewa duże znaczenie będzie odgrywać siła jako taka i umiejętność zastraszenia społeczeństwa, bo nic nie wskazuje na to, by w przyszłości nie miał się mierzyć z kolejnymi, choć może na mniejszą skalę niż ta z początku 2021 r., falami społecznego niezadowolenia.

Wydarzenia w Kazachstanie pokazały, że w poradzieckiej Azji Środkowej, która nie jest przestrzenią funkcjonującą w ramach demokratycznych standardów uprawiania polityki, trudno znaleźć właściwy model transferu władzy. Wydawało się, że w 2019 r. Nazarbajew taki model wypracował, jednak w rzeczywistości to nie był żaden transfer, a jedynie wycofanie się na tylny fotel, z którego były prezydent chciał nadal kierować sprawami kraju. To się nie udało wskutek wielu czynników, z których głównymi są najpewniej brak reform, a co za tym idzie, zawiedzione nadzieje ludzi na zmiany oraz ambicja namaszczonego następcy...

Ireneusz
Gębski

Podróże

Marek Kamiński, wybitny polarnik i podróżnik, od dawna powtarza, że w podróży najważniejsza jest droga. Oczywiście sam cel dobrze jest osiągnąć, ale zazwyczaj najwięcej wrażeń i intensywnych przeżyć dostarcza nam owa umowna droga.

W książce „Wyprawa” Kamiński poświęcił tej kwestii rozdział pt. „Droga jest celem”. Ostatnio zaś, przy okazji kolejnej rocznicy zdobycia dwóch biegunów w jednym roku, dodał: „Piękno osiągnięcia celów polega na tym, że one nigdy się nie kończą. Zawsze można więcej, lepiej... Dlatego gdy stałem na biegunie północnym, wiedziałem, że trzeba iść dalej. I poszedłem”. Dla jednych drogą i celem będzie wędrówka poza uczeszczanymi szlakami, dla innych spływ rwącą rzeką, a jeszcze dla innych samochodowa eskapada przez drogi lub bezdroża tego czy innego kraju. Temu ostatniemu rodzajowi podróży chciałem poświęcić nieco uwagi, biorąc za przykład odbytą w towarzystwie znamiennych podróżników Wojciecha Dąbrowskiego z Gdańska i Pawła Krzyka z Łodzi, w 2021 r., wyprawę w Góry Fan (Fańskie) oraz przejazd przez Pamir.

Przepustka musi być

Lot z Czelabińska do Duszanbe był rejsiem międzynarodowym, więc i catering był obfitszy.

W rozgrzanej do 34 stopni C stolicy Tadżykistanu wylądowaliśmy o czternastej. Nie mogliśmy jednak opuścić lotniska przed otrzymaniem wizy. Z tym zaś był pewien kłopot. Nikt się bowiem nie spodziewał, że turyści z terenu UE przybędą tu od strony Rosji (zwykle przylatują z Istanbulu). Na miejscu nie było więc konsula. Czekaliśmy na niego 40 minut. Na szczęście, gdy się wreszcie pojawił, uraczył nas pozytywną wiadomością. Opłata za wizę miała wynieść 35 USD, a nie 55, jak się spodziewaliśmy. Starania o pozwolenie na wjazd do GBAO (Górsko-badachsański Wilajet Autonomiczny) rozpoczęliśmy od wpłacenia dwudziestu somoni w Amonatbanku. Z potwierdzeniem wpłaty udaliśmy się do miejscowej siedziby MSW, gdzie złożyliśmy odpowiednie wnioski. Otrzymaliśmy obietnicę, że przepustki otrzymamy w poniedziałek o dziewiątej. Wybiegając nieco do przodu, uzupełnię, że w wyznaczonym terminie nie czekały na nas potwierdzone permity, bo - jak nam powiedziano - naczelnik nie miał czasu. Polecono nam przyjść we wtorek. Wtedy też odczekaliśmy ponad godzinę, zanim naczelnik łaskawie przystawił pieczęć do naszych przepustek.

W niedzielę rano wybraliśmy się na wycieczkę do Hisoru (Hisaru). W okolicy hotelu Sheraton złapaliśmy autobus linii nr 8 (koszt 1 somoni), którym pojechaliśmy na obrzeża miasta. Potem wsiadliśmy do dalekobieżnego autobusu, który przejeżdża

co prawda niedaleko Hisor, ale nie zbacza do tej miejscowości. Zapłaciliśmy po 3 somoni i wysiedliśmy na skrzyżowaniu. Przygodny kierowca samochodu osobowego zgodził się zawieźć nas za 15 somoni (początkowo chciał 20) pod samą bramę twierdzy, a właściwie tego, co z niego zostało. Jest to niewątpliwie ważne miejsce dla Tadżyków, gdyż front zamku został uwieczniony na rewersie banknotu o wartości 20 somoni.

Coraz bliżej gór

Historia twierdzy Hissar sięga czasów rozkwitu Jedwabnego Szlaku. Zbudowano ją w celu ochrony karawan i miejscowej ludności przed atakami plemion koczowniczych. Obecnie jest ona częściowo zrekonstruowana i nadal trwają prace przy jej odbudowie. Wstęp na teren tego niezwykle istotnego dla Tadżykistanu zabytku kosztuje zaledwie 1 somoni. W pobliżu znajdują się dwie medresy. Podczas naszej wizyty na dziedzińcu jednej z nich kobiety przygotowywały w ogromnym kotle posiłek dla robotników pracujących przy rekonstrukcji obiektu.

W pewnym momencie usłyszeliśmy dźwięki muzyki i ujrzelśmy orszaki ślubne zmierzające w pobliże głównej bramy twierdzy. Okazało się, że jest to miejsce otoczone swoistym kultem, do którego tradycyjnie przybývają nowożeńcy z całej okolicy. Poszczególne pary podchodzą pod biały dwuczęściowy obelisk, pod którym odbywa się coś w rodzaju sesji fotograficznej. W tym samym czasie goście tańczą



Napotkany po drodze handlarz pamiątek i jego syn

i śpiewają w rytm muzyki (muzykanci przyjeżdżają specjalnie z Duszanbe).

We wtorek rano poznaliśmy naszego kierowcę, z którym mieliśmy spędzić najbliższe 8 dni. Przyjechał pod Green House z niewielkim opóźnieniem (korki spowodowane szczytem zwanym anty-NATO nadal utrudniały poruszanie się po Duszanbe). Toyota land cruiser nie należała do najmłodszych - jej przebieg wynosił prawie 278 tysięcy km. To sporo, jak na samochód z silnikiem benzynowym, częściej zresztą napędzanym gazem. Przed wyjazdem Mufesar zatankował właśnie gaz: 92 litry po 2,80 somoni za litr.

Z Duszanbe wyjechaliśmy o 10.40 (wcześniej czekaliśmy na wspomniane już przepustki do Pamiru) drogą M34 w kierunku Gór Fańskich (Fan) stano-

wiących część Gór Zafarszańskich na pograniczu tadżycko-uzbeckim. Na początku trasy samochód jechał po idealnie gładkim asfalcie. Jednak im bliżej gór, a już zwłaszcza po minięciu prezydenckiej rezydencji nad rzeką Varzob, nawierzchnia stawała się coraz gorsza, by wreszcie zamienić się w zwykły szuter. Od czasu do czasu zatrzymywały nas policyjne patrole. Kierowca brał wówczas z przygotowanej wówczas kupki banknotów 2-3 somoni i najzwyczajniej w świecie wręczał je mundurowym. Taka praktyka jest w tym kraju powszechna i praktycznie nikogo nie dziwi. Policjanci nie zwracają uwagi na prędkość (nie mają zresztą radarów). Jedyne, co naprawdę ich interesuje, to łapówka.

Malowniczymi serpentynami, mijając od czasu do czasu stada owiec i wyprzedzając na wąskiej drodze ciężarówkę, wspinaliśmy się na przełęcz Anzob. Znajduje się ona na wysokości 3372 m n.p.m. Dojechalśmy do niej o trzynastej. Po krótkiej przerwie na serię zdjęć zaczęliśmy zjeżdżać w dół. Naszym celem było jezioro Iskandarkul (Jezioro Aleksandra). Dojazd do niego nie jest łatwy. Jedzie się tam bardzo wąską, często dziurawą drogą, której dodatkową atrakcją jest brak jakichkolwiek zabezpieczeń przed przepaścią czy też spadającymi ze zboczy odłamkami skał.

Jezioro widać już z daleka. Jest niewątpliwie piękne. Leży na wysokości prawie dwóch tysięcy metrów. Przed wjazdem zatrzymuje nas zardzewiały szlaban. Trzeba uiścić opłatę za wjazd. Po negocjacjach płacimy po 5,5 somoni. Zaraz za bramą napotykamy starą zaniedbaną bazę turystyczną, której czasy świetności minęły wraz z upadkiem ZSRR. Idziemy wzdłuż brzegu jeziora, którego głębokość sięga 72 metrów, patrząc na odbijające się w tafli wody szczyty okolicznych gór. Na krańcu jeziora znajduje się

jedna z prezydenckich dacz, a obok niej lądowisko dla helikopterów.

Wracamy do głównej drogi, którą wzdłuż rzeki Anzob jedziemy do Ayni. Natrafiamy na korki spowodowane remontem drogi. Powoli robi się ciemno. Kierowca jedzie na wyzucie, co pewien czas pytając przygodnych ludzi o drogę. Zero drogowych znaków. Co chwile niemal ocieramy się o potężne chińskie ciężarówki. Droga A377 prowadzi do Samarkandy w Uzbekistanie. My jednak musimy z niej zjechać przed Penjkentem, aby dostać się w rejon Seven Lakes (Siedem Jezior), zwanych też Marguzor lub po tadżycku Haftkul. Znajdują się one w wąwozie rzeki Shing. Starożytne petroglify odkryte na brzegach jednego z jezior wskazują, że jeziora te są dość stare. Najniższe jezioro (Nezhigon) znajduje się na wysokości 1640 metrów, a najwyższe (Hazorchashma) ma 2400 metrów. Różnica wzniesień wynosi 760 metrów, a odległość między nimi to ponad 14 km.

W stronę Pamiru

W czwartek, po drodze znowu mijamy mnóstwo wielkich chińskich ciężarówek. Kierowca mówi, że Chińczycy eksploatują w pobliskich górach kopalnię złota. W dolinie Zafarszanu podziwiamy zielone pola i sady, stanowiące spiżarnię nie tylko dla tego rejonu. Znowu wspinaliśmy się na przełęcz Anzob, po czym nieco poniżej zatrzymujemy się na krótki odpoczynek. Spotykamy miejscowe kobiety, które sprzedają kierowcom herbatę. Na dzisiaj właśnie kończyły swoją działalność i wybierały się do domów w pobliskim kiszaku. Na nasz widok wyciągnęły lepioszki i nas poczęstowały. Zupełnie bezinteresownie.

Po blisko ośmiu godzinach jazdy ponownie znaleźliśmy się w Green House w Duszanbe. Łącznie przez ostatnie trzy dni przejechalśmy 684 kilometry,

REKLAMA

0010401158



WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PIERWSZYM PRZETARGU USTNYM NIEOGRANICZONYM NA SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI POŁOŻONEJ W RUMI W REJONIE UL. WIĄZOWEJ, STANOWIĄCEJ WŁASNOŚĆ GMINY MIEJSKIEJ RUMIA

Burmistrz Miasta Rumi ogłosił pierwszy przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej położonej w Rumi w rejonie ul. Wiązowej, oznaczonej jako działka nr 57/2 o powierzchni 6.617 m², obręb 6, zapisana w księdze wieczystej KW GD1W/00027151/5, prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Wejherowie. Zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego miasta Rumi uchwalonym Uchwałą Nr XXV/247/2016 Rady Miejskiej Rumi z dnia 30 czerwca 2016 r. w sprawie uchwalenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla obszaru położonego w Rumi, zwanego „Stara Rumia”, ograniczonego od północy granicami planowanego węzła oraz trasy Obwodnicy Północnej Aglomeracji Trójmiejskiej, od zachodu ulicą I Dywizji Wojska Polskiego i od południa ulicą Dębogórską, działka nr 57/2 leży w terenie oznaczonym symbolem G8.MN, U – co oznacza, że jest to teren zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej, usługowej, mieszkaniowej jednorodzinnej z usługami; usługi niezakładające funkcji mieszkaniowej.

Działy III i IV księgi wieczystej KW GD1W/00027151/5 są wolne od wpisów i zobowiązań.

Cena wywoławcza 1.603.000,00 zł netto. Wadium 160.300,00 zł – wnoszone w pieniądzu.

Pierwszy przetarg ustny nieograniczony odbędzie się w dniu 25 marca 2022 roku o godzinie 12.00, w siedzibie Urzędu Miasta Rumi przy ul. Sobieskiego 7, pok. 100.

Wadium należy wnieść do dnia 21 marca 2022 roku w pieniądzu.

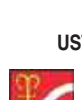
Do wycytowanej ceny zostanie doliczony 23% podatek VAT.

Ogłoszenie zostało podane do publicznej wiadomości poprzez wywieszenie na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Rumi, 84-230 Rumia, ul. Sobieskiego 7 oraz na stronach internetowych Urzędu Miasta Rumi: www.bip.rumia.pl i <https://rumia.eu>. Szczegółowe informacje dotyczące niniejszego przetargu można uzyskać w Referacie Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Rumi, pok. 103, tel. 58/679-65-24, we wskazanych godzinach: poniedziałek w godz. 9.00-17.00.00, wtorek, środa i piątek w godz. 7.30-15.30.

Rumia, dnia 18 stycznia 2022 r.

REKLAMA

0010401174



WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PIERWSZYM PRZETARGU USTNYM OGRANICZONYM NA SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI POŁOŻONEJ W RUMI PRZY UL. WAŁOWEJ

Burmistrz Miasta Rumi

ogłosił pierwszy przetarg ustny ograniczony

na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej, położonej w Rumi przy ul. Wałowej, oznaczonej jako działka nr 131/10 o powierzchni 350 m², obręb 19, zapisanej w księdze wieczystej KW GD1W/00032160/9 prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Wejherowie.

Zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego miasta Rumi uchwalonym Uchwałą Nr VI/58/2011 Rady Miejskiej Rumi z dnia 24 lutego 2011 r. w sprawie uchwalenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla obszaru położonego w Rumi, zwanego „Wzgórzem Markowca”, działka nr 131/10 leży w terenie oznaczonym symbolem 8.MN - co oznacza, że jest to teren zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej.

Nieruchomość jest niezabudowana, porośnięta trawą z nasadzeniami drzew. Wzdłuż granicy z działką nr 131/9 i nr 137/2 przebiega przewód elektroenergetyczny wysokiego napięcia oraz przewód telekomunikacyjny.

Dział III i IV księgi wieczystej KW GD1W/00032160/9 jest wolny od wpisów i zobowiązań.

Pierwszy przetarg odbędzie się w dniu 4 marca 2022 roku o godz. 12.00 w siedzibie Urzędu Miasta Rumi, 84-230 Rumia ul. Sobieskiego 7, pok. 100.

Cena wywoławcza wynosi 200.000,00 zł netto (dwieście tysięcy złotych).

Wadium wynosi 20.000,00 zł, które należy wnieść do dnia 28 lutego 2022 roku w pieniądzu. Do wycytowanej ceny zostanie doliczony 23% podatek VAT.

Ogłoszenie zostało podane do publicznej wiadomości poprzez wywieszenie na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Rumi, 84-230 Rumia ul. Sobieskiego 7 oraz na stronach internetowych Urzędu Miasta Rumi: www.bip.rumia.pl i <https://rumia.eu>.

Szczegółowe informacje dotyczące niniejszego przetargu można uzyskać w Referacie Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Rumi, pok. 103, rgn@um.rumia.pl tel. 58/679-65-24, we wskazanych godzinach: poniedziałek w godz. 9.00 - 17.00, wtorek, środa i piątek w godz. 7.30 - 15.30.

Rumia, dnia 18.01.2022 r.

do Tadżykistanu



FOT. IRENEUSZ GEBSKI

Twierdza Hissar, która powstała w okresie rozkwitu Jedwabnego Szlaku

z czego większość po drogach gruntowych. Tym razem otrzymaliśmy pokój siedmioosobowy na parterze, tuż obok recepcji. Wieczorem nie działało Wi-fi (łączność pojawiła się dopiero rano). Pierwszy gorący posiłek od kilku dni. Przed nami ostatnia noc w Duszanbe. Już tu nie wrócimy, a przynajmniej nie podczas tej wyprawy.

W piątek wczesna pobudka. O siódmej wyjeżdżamy w kierunku Pamiru. Na rogatkach

Duszanbe pełno patroli wojskowych z długą bronią, a w jednym przypadku nawet z erkanem. Kierowca pokazuje nam miejsce, gdzie kilka dni temu doszło do strzelaniny, w której zginęło kilkadziesiąt osób. Sprawcą całego zamieszania był były wiceminister obrony Abduhalim Nazarzodi, który zbrojnie wystąpił przeciwko władzom. Według słów naszego kierowcy, zbuntowanego generała wytopili żołnierze z kontyngentu rosyjskiego i od razu go zlikwidowali (nie znalazłem potwierdzenia tej informacji w internecie).

Po blisko czternastu godzinach jazdy, podczas których pokonujemy niespełna 600 kilometrów, docieramy do Chorogu. Już dawno jest ciemno, ale kierowca doskonale zna to miasto, gdyż stąd pochodzi. Zawozi nas do hostelu Pamir Lodge. Nocleg kosztuje tutaj 9 USD. Otrzymujemy pokój trzyosobowy.

W sobotę rano niewielkie zachmurzenie, pierwsze od początku naszego pobytu w Tadżykistanie. O wpół do dziewiątej opuszczamy stolicę Górskiego Badachschanu i udajemy się na południe, w stronę Ishkasm. Jeźdzymy też z Pamir Highway. W południe znajdujemy się na 102 kilometrze od Chorogu. Widać stąd słynny bazar po afgańskiej stronie. Mieliśmy zamiar go odwiedzić. Niestety, od kilku tygodni jest zamknięty. Wkrótce jesteśmy w Ishkasm (2515 m n.p.m.), u celu etapu. Zatrzymujemy się w homestay Anis. Nocleg kosztuje tutaj 10 dolarów, kolacja 5, a śniadanie 3. Korzystam z wszystkich opcji.

Miasteczko jest niewielkie, do obejścia w 20 minut. Na jedynym skrzyżowaniu, a i to mało ruchliwym, znajduje się sygnalizacja świetlna, zjawisko w Pamirze dość niezwykle. Codziennie ścigają się natomiast portrety prezydenta Rachmona, których widać tu więcej niż w Duszanbe. A wienką na torcie jest wyeksponowane przy głównej ulicy popiersie Lenina. Jedną z miejscowych kobiet, zapytana o powód oszczędzenia wizerunku twórcy bolszewizmu po odzyskaniu niepodległości przez Tadżykistan, odparła filozoficznie: - Tam, gdzie zdemontowano pomniki Lenina, jest wojna, a u nas jest Lenin i jest pokój.

W niedzielę, 20 września, jadąc w stronę Langar obserwowa-

liśmy żniwa, które na tych wysokościach, odbywają się dopiero teraz. Na małych poletkach, u podnóża skalistych gór uwijali się ludzie z sierpami.

Pożegnanie z Tadżykistanem
W poniedziałek wyjechaliśmy o dziewiątej. Droga pięła się stromo pod górę. Na wysokości trzech tysięcy metrów nadal pasły się owce. Po blisko dwugodzinnej jeździe odbiliśmy w lewo, zostawiając tym samym na dobre rzekę graniczną i widoki Afganistanu. Na drodze prawie pusto, krajobraz księżycowy. Przed wjazdem na Pamir Highway oglądaliśmy słone jezioro, leżące po prawej stronie drogi. Szosą pamirską jedziemy przez chwilę w lewo (w stronę Chorogu), by skręcić w boczną drogę i pojechać do odległego o 15 kilometrów jeziora Jasikul (Zielone Jezioro). Przed jeziorem znajduje się wioska uchodząca za tutejszy biegun zimna. Tu po raz pierwszy zobaczyłem jakiś samochód. Po tyłu dniach podróżowania górzyste krajobrazy nieco nam zubożyły.

Na przełęcz Kyzyl-Art (4283 m n.p.m.) żegnamy się z Tadżykistanem. Zwracamy przepustki do GBAO, otrzymujemy stemple w paszportach i jedziemy w stronę Kirgistanu. Tu przekroczenie granicy trwa nieco dłużej. Nie potrzebujemy co prawda załatwiać wiz, ale kierowca musi się sowicie opłacić pogranicznikom i celnikom. Tutaj bowiem, w przeciwieństwie do Tadżykistanu, „w łapę” biorą nie tylko policjanci, ale wszyscy mundurowi, z pogranicznikami i celnikami włącznie. W dodatku o wiele więcej od swoich kolegów ze strony tadżyckiej.

liśmy żniwa, które na tych wysokościach, odbywają się dopiero teraz. Na małych poletkach, u podnóża skalistych gór uwijali się ludzie z sierpami.

liśmy żniwa, które na tych wysokościach, odbywają się dopiero teraz. Na małych poletkach, u podnóża skalistych gór uwijali się ludzie z sierpami.

liśmy żniwa, które na tych wysokościach, odbywają się dopiero teraz. Na małych poletkach, u podnóża skalistych gór uwijali się ludzie z sierpami.

liśmy żniwa, które na tych wysokościach, odbywają się dopiero teraz. Na małych poletkach, u podnóża skalistych gór uwijali się ludzie z sierpami.

liśmy żniwa, które na tych wysokościach, odbywają się dopiero teraz. Na małych poletkach, u podnóża skalistych gór uwijali się ludzie z sierpami.

liśmy żniwa, które na tych wysokościach, odbywają się dopiero teraz. Na małych poletkach, u podnóża skalistych gór uwijali się ludzie z sierpami.

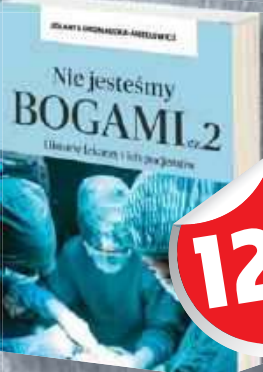
liśmy żniwa, które na tych wysokościach, odbywają się dopiero teraz. Na małych poletkach, u podnóża skalistych gór uwijali się ludzie z sierpami.

liśmy żniwa, które na tych wysokościach, odbywają się dopiero teraz. Na małych poletkach, u podnóża skalistych gór uwijali się ludzie z sierpami.

AUTOPROMOCJA

0010373357

Książki na długie zimowe wieczory teraz w promocyjnych cenach

 Nowi Testamen Ewanielie po Kaszebsku 14⁹⁰ zł	 Pogrzebani nocą 12⁹⁰ zł	 Nie jesteśmy Bogami 12⁹⁰ zł	 Nie jesteśmy BOGAMI II 12⁹⁰ zł	 Szkoła na czterech łapach, czyli jak dobrze wychować psa 10⁰⁰ zł
--	---	---	---	--

Książki do nabycia w księgarni Dziennika Bałtyckiego

Kliknij i kup  www.ksiegarnia.dziennikbaaltycki.pl
lub pod adresem mailowym: ksiegarnia@prasa.gda.pl

Możesz też zadzwonić pod nr tel. **502 499 054**

Krzyżówki panoramiczne

pracuje na kutrze		półkoliste zakręty		czerwone jak korale		uszkodzenie kopyta konia		z niego sake		mowa wrony	
karmi się mlekiem matki				jama				port nad Rodanem		francuski pies myśliwski	
gryzoń o cennym srebrnym futerku										pieszczołtliwie o ojcu	
celowo dezorganizuje pracę		8						11		12	
		7						czerwony kozak zespół okretów			
szkło kryształowe				ziółta w sadzie „serce” wiśni						1	
krzew koka-inowy		autor „Kazań sejmowych”		Zjednoczone Ameryki		talia druha Mickiewicza		nuta, dźwięk James Bond		6	
w niej dokumenty						10				olej silnikowy	
filmowy kochanek		mieszanie kart autor „Kapitału”						uczta pierwszych chrześcijan		duża, drewniana skrzynia	
tłuszcz z wieloryba								okrycie na konia		pomoc domowa, gospoia	
				dozorca słoni							
choroba wirusowa		4		drzewo parkowe				5			
						siekierka do mięsa					
zwierzę z Tybetu		dzie-wosłęb		część Wielkiej Brytanii							
upalna pora roku				3							
Maria, prima-donna stulecia		proszek w płynie medykament									
alkaloid w her-bacie np. nerpa				9							
						ciepła kurtka na wacie					
2											

AUTOPROMOCJA



**Czytaj tak,
jak lubisz**

dziennikbałtycki.pl

Dziennik Bałtycki

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 14 utworzą rozwiązanie – tytuł kolędy cytowanej w okienku.

pisak, fla- master	leń, obibok imię kobiecie	embryon w menu malucha	zmowa, intryga nieproszony gość	bożek pasterzy	Matejko znany języko- znawca
		letni kape- lusz			
olbrzymie bryły łodu szlam			warszaw- skie osiedle		
		roślina koszy- karska		litera grecka	donioś- czyn
długie wikin- gów			pocze- kalnia statków		
		spiralna bakteria			
potomek pożywny napój			jest niezbędny nie tylko w muzyce		

Litery z pól oznaczonych strzałką przeniesione do kolorowego rzędu tworzą rozwiązanie – przy

portowa knajpa		włoski komik filmowy		odnowienie żona radzy		Ponia-towski-go na Wiśle		uczta pogrze-bowa		córka brata	
ssak podobny do zuba										świętość	
surowe napom-nienie		1		14				6			
księż-niczka Bur-gunda						potocznie o przeło-żonej					
zamiast pie-niędzy u gracza						region Dałaj-lamy				5	
ciarki						dopływ Fuldy					
„cicha” rzeka				8		rywal Adidas				4	
		pod-stawa armaty		choroba prze-miany materii				podręcz-nik gramatyki łacińskiej		znak pro-dukту	
taniec towa-rzyski				2		w kinie i telewizorze		polski aparat fotograficzny			
sąsiad Polaka		obraca brzegi jeziora						targowy lub zam-kowy		czarna na dachu	
tkwi w desce								sej w tenisie			
10						lego-wisko niedź-wiedzia		7			
imię historycznego prezydenta USA Lincolna				roślina oleista ciało z ogonem						dwurzę-dowy surdut męski	
„domek” kanarka		batalion				Jean Paul, rewolu-cjonista					
kuzyn cebuli		kuzynka brzozy		12		11					
				pra-matka Izra-ELITÓW		narzuta na łóżko					
niewielki zagajnik											
wiejski drewnia-ny dom											
rodzaj bicz		3									
szykow-na kobieta											
				beczka z piwem							

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 14 utworzą rozwiązanie – tytuł kolędy cytowanej w okienku.

słynny biegacz czeski		linia równo- legła do frontu		broń szer- mierza		brak karności	pub lub bistro		mała Izabela kuchenn- ny obrus	
kłamca, blagier	frycowe			jeden z przy- padków						
rodzaj alergii						matka bogów				
kawał czasu						mgła, obłok	rzeka białych nocy			
				waluta Korei Płd.				drażek gimnas- tyczny		metal jak sza- chista
atmosfe- ryczny				pisemny ela- borat						
staro- hinduski zbiór tekstów				łóże działa						
urząd ministra										
			rys stepowy							

owie polskie.

Stamm: von der Wiese

eprasa.pl 3c6509f357

Iga Świątek nie zwalnia tempa, reszta już niestety tak

Tenis

Hubert Zdankiewicz
redakcja@polskapress.pl

Iga Świątek znów nie straciła seta, a Rebekce Peterson oddała tylko jednego gema więcej (6:2, 6:2) niż wcześniej Harriet Dart (6:3, 6:0). Nie dojdzie jednak do polskiego meczu w trzeciej rundzie Australian Open, bo Magda Linette przegrała 2:6, 3:6 z Rosjanką Darią Kasatkina. Z Melbourne pożegnał się niestety również Kamil Majchrzak.

Mecz z Peterson (82. WTA) od początku układał się po myśli Świątek (9. WTA). Polka grała agresywnie, przejmowała inicjatywę, dobrze serwowała (w całym meczu przegrała tylko jednego gema przy swoim podaniu). W efekcie spędziła na korcie tylko godzinę i 17 minut. Już w pierwszym secie szybko odskoczyła rywalce na 4:1 (z podwójnym przełamaniem).

Peterson zdołała odrobić jedno, co jednak jeszcze bardziej „nakręciło” Świątek do walki. Błyskawicznie przełamała rywalkę po raz trzeci (i to do zera), a agresywna gra w kolejnym gemie zaowocowała trzema piłkami setowymi. Żadnej z nich co prawda nie wykorzystała, trzykrotnie myląc się z forhendu, ale

po chwili dostała czwartą szansę i zakończyła partię asem serwisowym. Drugi set zaczął się od zwycięskiego gema serwisowego Szwedki, ale pięć kolejnych wygrała Polka i było już niemal pewne, że to ona zjeździe z kortu jako zwyciężczyni. Peterson zdołała jeszcze utrzymać własne podanie, ale po zmianie stron Świątek pewnie zakończyła spotkanie, wykorzystując pierwszą piłkę meczową.

Nie był to może wybitny występ naszej tenisistki, co pokazują statystyki. Zwłaszcza 20 niewymuszonych błędów (przy 19 kończących uderzeniach). Na Szwedkę (6 winnerów przy 24 błędach) to jednak wystarczyło, a cieszyć może również nastawienie Świątek, która w końcówce poprzedniego sezonu sprawiała chwilami wrażenie, jakby traciła instynkt killera, jak to barwnie ujął na naszych łamach Paweł Ostrowski.

- Coraz częściej zaczyna na korcie kalkulować. Rozważać, co warto zagrać, a co nie. Zatraca przez to swój naturalny dar do podejmowania ryzyka, a to jest to, czym zawsze wygrywała. Wcześniej było tak, że niezależnie od wyniku to Iga rządziła na korcie, a teraz w jej meczach to rywalki coraz częściej zaczynają dyktować swoje warunki, a ona



Iga Świątek dochodziła w dwóch ostatnich edycjach Australian Open do 1/8 finału. Tym razem nie tylko ona liczy na więcej

próbuje się do tego dostosować. Tyle że to nie jest jej gra, bo Świątek to nie Radwańska. Jej domena jest ofensywa, a nie czekanie na to, aż rywalka się pomyli - podkreślał były trener Marty Domachowskiej i Niemki Angelique Kerber, komentując występ Igi w WTA Finals. A tenisistka i jej nowy trener Tomasz Wiktorowski doszli zapewne do tego sa-

mego zdania, bo w Melbourne Świątek znów rządzi na korcie. Przynajmniej na razie.

Szkoda tylko, że jej kolejną rywalką nie będzie Magda Linette (53. WTA), której nie udało się powtórzyć swojego osiągnięcia z 2018 roku i awansować do trzeciej rundy. Można zaryzykować stwierdzenie, że historia zakończyła się, bo wówczas również

zmierzyła się w drugiej rundzie z Kasatkina. Z tą jednak różnicą, że wówczas to ona była górą. Tym razem górą była niestety Rosjanka (23. WTA), a o jej przewadze najlepiej świadczy fakt, że w trwającym godzinę i 20 minut pojedynku ani razu nie dała się przełamać. Sama natomiast wykorzystała cztery z sześciu break-pointów.

W rywalizacji panów do Huberta Hurkacza dołączył niestety Kamil Majchrzak i również odpadł w drugiej rundzie Australian Open, po porażce 4:6, 4:6, 2:6 z Australijczykiem Aleksem de Minaurem.

Trudno mówić o niespodziance, bo to reprezentant gospodarzy (42. ATP) był faworytem pojedynku z Polakiem (107. ATP), który i tak może mówić o szczęściu, bo niewiele brakowało, a w ogóle nie zagrałby w Melbourne. Podczas rozgrywanego przed Australian Open turnieju ATP Cup w Sydney (w którym Polacy dotarli do półfinału) u Majchrzaka wykryto koronawirusa. Trafił na kwarantannę, przepadły mu kwalifikacje w Melbourne i musiał liczyć na to, że wycofa się któryś z wyżej sklasyfikowanych rywali.

Tak się ostatecznie stało, a choć 26-latek z Piotrkowa Trybunalskiego nie ukrywał, że

po przejściu Covid-19 nie jest jeszcze w stu procentach gotowy, to jednak podjął wyzwanie i w pierwszej rundzie wyeliminował 6:1, 6:1, 7:5 doświadczanego Włocha Andreasa Seppiego. - Jeszcze ze sobą nie graliśmy, ale obejrzę kilka jego spotkań i z trenerem opracujemy taktykę na to spotkanie - zapowiadał przed meczem Polak.

Niestety, na zapowiedziach się skończyło, bo nie udało się jej zrealizować, a spotkanie trwało w efekcie tylko godzinę i 40 minut. Australijczyk świetnie poruszał się po korcie, był skupiony i bardziej zdeterminowany od Polaka, który zdawał sobie sprawę, że z tak dysponowanym rywalem nie może wdawać się w długie wymiany. To z kolei przełożyło się na błędy - w całym meczu popełnił ich w sumie 28 (przy 25 wygrywających piłkach). Bilans rywalki (35 winnerów i 20 pomyłek), w połączeniu z 11 asami serwisowymi (Majchrzak tylko trzy) wyraźnie pokazuje, kto był lepszy w tej parze.

Nasz tenisista może być jednak zadowolony, bo i tak był to jego najlepszy występ w Australian Open (dwa poprzednie starty kończył na pierwszej rundzie), a dzięki wywalczonym w Melbourne punktom awansuje w rankingu ATP. ©

0010403755

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś + P

**Romualda
Teperskiego**

wieloletniego pracownika naszej firmy,
dobrego Kolegi i cennego Fachowca

Żonie, Rodzinie i Najbliższym

przekazujemy serdeczne wyrazy współczucia

Zarząd oraz pracownicy
Stoczni CRIST S.A.



0010403352

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy,
że 9 stycznia 2022 r. odszedł od nas
w wieku 88 lat
Kochany Mąż, Ojciec i Dziadek



mgr inż.

Janusz Świerczyński

Msza żałobna zostanie odprawiona
dnia 25 stycznia 2022 r. o godz. 9.30 w kościele
pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Gdańsku.
Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia o godz. 11.30
nowej kaplicy na cmentarzu Srebrzysko.
O czym zawiadamia pogrążona w głębokim smutku
Rodzina

REKLAMA

0010379249

WAŻNE TELEFONY

**ZAKŁADY
POGRZEBOWE**

• Usługi Pogrzebowe
Cmentarz Komunalny Sopot
własna chłodnia, całodobowo,
58 551 03 50, 609 060 965

Jeżeli chcesz zamieścić ogłoszenie w tej rubryce zadzwoń ☎ 503 191 846

REKLAMA

0010366512

Nekrologi i kondolencje

przyjmowane są zgodnie z harmonogramem

dzień wydawniczy

poniedziałek
wtorek
środa
czwartek
piątek
sobota

termin przyjmowania:

piątek do godz. 16:00
poniedziałek do godz. 16:00
wtorek do godz. 16:00
środa do godz. 16:00
czwartek do godz. 15:00
czwartek do godz. 13:00

☐ drogą mailową:

nekrologi@prasa.gda.pl tel. 58 30 03 211

☐ poprzez internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

☐ w zakładach pogrzebowych współpracujących z Polska Press

☐ Koncesjonowanym Biurze Ogłoszeń Laboexpress,
Gdynia ul. Świętojańska 5, w godz. 9:00-14:00



nekrologi.net



Wspomnienia. Te najważniejsze...

Wspomnij bliskich. Zapal im świeczkę. Sprawdź na
nekrologi.net
i dziennikbaltycki.pl/nekrologi

Dla kogo Pekin? Mamy 56 nazwisk

Daniel Ludwiński
daniel.ludwinski@polskapress.pl



Pekin 2022

Na dwa tygodnie przed ceremonią otwarcia zimowych igrzysk olimpijskich w Pekinie znamy większość nazwisk reprezentantów Polski, którzy polecą do Chin. Nasza kadra będzie liczyć minimum 56 osób.

Ostatnie zawody Pucharu Świata, które miały jeszcze wpływ na przydzielenie liczby miejsc dla konkretnych krajów w poszczególnych dyscyplinach, odbyły się w ostatni weekend. Teoretycznie wszystko powinno być już więc jasne, ale w praktyce ustalanie ostatecznych list startowych zajmuje nieco więcej czasu. Wcale nierzadkie są bowiem sytuacje, gdy któryś z krajowych komitetów olimpijskich z danego miejsca dla swojego zawodnika po prostu rezygnuje, uznając, że szanse na sukces są zbyt małe. Dzięki relokacji Polska zyskała dwóch

kolejnych reprezentantów dwa dni temu, w środę. Niemal w ostatniej chwili szansę występu w Pekinie otrzymali urodzona w 2005 (!) roku alpejka Hanna Zięba i Mateusz Haratyk. Dzięki miejscu dla tego ostatniego wysłaliśmy do Chin nie trzech, a czterech biegaczy narciarskich, co pozwoli na start sztafety 4 x 10 kilometrów, dopiero drugi licząc od... igrzysk w Innsbrucku w 1976 roku.

W rywalizacji o podium Zięba i Haratyk liczyć się jednak

**Natalia Maliszewska,
Aleksandra Król,
Maryna Gąsienica-
-Daniel - w Pekinie
liczymy na dobre
wyniki naszych pań**

nie będą - naszych szans musimy szukać gdzie indziej. Największą polską nadzieją medalową na igrzyska w Pekinie powinna być startująca w short-tracku Natalia Maliszewska. Jeszcze cztery lata temu w Pjongczangu Polka mogła liczyć na sukces na dystansie 500



Maryna Gąsienica-Daniel ma udany sezon i niewykluczone, że w Pekinie sprawi niespodziankę

metrów. I choć najkrótsza z konkurencji pozostaje jej główną specjalnością, Maliszewska jest już postacią z czołówki także na 1000 metrów, a w Chinach wystąpi jeszcze na 1500 metrów i w sztafecie. Short-track to oczywiście dyscyplina, w której trzeba mieć

też trochę szczęścia, ale Polkę zdecydowanie stać na podium - ona sama mówi o tym zresztą wprost.

Natalia Maliszewska nie będzie jedyną zawodniczką, z którą wiążemy duże nadzieje. Niemal tuż przed igrzyskami kibiców snowboardu ucieszyła

Aleksandra Król, która wygrała zawody Pucharu Świata w Simonhöhe i zapewnia, że w Chinach również chce stanąć na podium. W światowej czołówce alpejek mamy Marynę Gąsienicę-Daniel, specjalistkę od slalomu giganta. Dobrą formę prezentują także nasze

łyżwiarki: w Salt Lake City Puchar Świata na 500 metrów wygrała Andżelika Wójcik, a w czołówce jest też przecież Kaja Ziomek.

Co na to panowie? Choć nasz skład w łyżwiarstwie szybkim - zarówno na krótkim, jak i na długim torze - nie został jeszcze ogłoszony (to jedyne dyscypliny, w których formalnie znamy tylko liczbę miejsc przysługujących Polsce, a nie konkretne nazwiska), nie zabraknie w nim oczywiście miejsca dla Piotra Michalskiego i Damiana Żurka.

Na koniec zostawiliśmy skoczków. Rozum nie pozwala liczyć na szczególnie dużo, serce sugeruje zaś wiarę, że w Pekinie grupa, która jeszcze kilka miesięcy temu miała być zespołem pewniaków do dobrych miejsc, jednak przewycięży kryzys. Zagadką pozostaje forma Kamila Stocha: nasz lider na wielkich imprezach wygrał wszystko, co było do wygrania, ale obecnie wraca do pełni sił po kontuzji, przez którą nie skacze w PS. Ale mimo to, jeśli już szukać wśród skoczków kogoś, kto da nam radość, to i tak trzeba chyba zacząć właśnie od Stocha. ©

FOT. PAMEL RELIKOWSKI

Sztuczna inteligencja nie daje zbyt wielu szans polskim olimpijczykom

Pekin 2022

Tomasz Biliński
tomasz.bilinski@polskapress.pl

Czy igrzyska w Pekinie będą dla Polski najgorsze w tym wieku? Tak wynika z prognozy firmy Gracenote specjalizującej się w dostarczaniu metadanych z różnych dziedzin.

11 lutego minie 50 lat od złotego medalu olimpijskiego Wojciecha Fortuny. Dzień później skoczkowie narciarscy będą rywalizować na dużej skoczni w Pekinie. Obecnie godne uczczenie rocznicy krążka z Sapporo wydaje się mało prawdopodobne. W ostatnich dwóch dekadach skoki narciarskie były jedną z naszych największych nadziei medalowych. Najpierw dał ją Adam Małysz, później Kamil Stoch, a cztery lata temu dorobek medalowy powiększyła drużyna.

Obecnie w Pucharze Świata najwyżej z Polaków - na 17. miejscu - jest Stoch, ale mistrz olimpijski z Soczi (dwukrotnie) i Pjongczangu w poprzednim tygodniu skreślił kostkę. Choć do Pekinu poleci, to jego dyspozycja - i tak nienapawająca optymizmem - jest pod znakiem zapytania. Ale to i tak jedyny Polak, który w tym sezonie stał na podium.



Stoch ma w dorobku trzy złote medale olimpijskie i jeden brązowy zdobyty z drużyną

Nic więc dziwnego, że dorobek medalowy podczas igrzysk w Pekinie (4-20 lutego) szacowany przez sztuczną inteligencję specjalizującą się w tego typu prognozach firmy Gracenote wypadł blado. Jak informuje amerykańskie przedsiębiorstwo, wirtualną tabelę medalową stworzyło na podstawie wyników od poprzednich zimowych igrzysk. Z racji tego, że brane są pod uwagę cztery lata, na komputerze wrażenia nie zrobiły Natalia Maliszewska w short-tracku, panczenistki i panczeni-

ści, którzy na początku stycznia zdobyli trzy medale mistrzostw Europy, a także Aleksandra Król, która tydzień temu wygrała swój pierwszy slalom gigant równoległy na snowboardzie.

Według obliczeń Gracenote, na dziś Polska zdobędzie w Pekinie tylko jeden krążek (brązowy) i razem z Białorusią zajmie 26. miejsce w klasyfikacji medalowej. Gdyby prognozy się sprawdziły, byłyby to dla Białego-Czerwonych najgorsze igrzyska od 1998 r. i zmagani w Nagano. W Japonii nie wywalczyli ani jednego medalu. W Salt Lake City w 2002 r. i w Turynie w 2006 r. zdobyli po dwa. Z kolei zmagania w Vancouver (2010 r.) i w Soczi (2014 r.) były dla nas najlepsze w historii, bo zakończone z dorobkiem sześciu krążków. Cztery lata później w Pjongczangu Polacy znów sięgnęli po dwa medale.

Wirtualną klasyfikację medalową na dziś wygrywa Norwegia (21 złotych, 14 srebrnych i 11 brązowych) przed Niemcami (12-9-8) i Rosyjskim Komitetem Olimpijskim (10-12-8). Firma zaznaczyła jednak, że ze względu na pandemię i rezygnację z jej powodu z wielu startów przez zawodników z Azji, zwłaszcza z Chin, ich dorobek może być niedoszacowany.

REKLAMA

0010375959

**SILNI
RAZENI
#TEAMPOLSKA
PEKIN 2022**

KAROLINA BOSIEK - ŁYŻWIARSTWO SZYBKE

SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

ORLEN LOTTO Enea 4F GRUPA LUXMED LOT

Sponsorzy Srebrnej Księgi Sponsorzy Czerwonej Księgi Sponsorzy Złotej Księgi Główny Partner Medyczny Oficjalny Przewoźnik

Przełamanie Trefla w Pucharze Polski

Siatkówka

Tomasz Galiński

tomasz.galinski@polskapress.pl

Siatkarze Trefla Gdańsk pokonali w hali 100-lecia Cuprum Lubin 3:1 i awansowali do ćwierćfinału Pucharu Polski. To jeden z niewielu pozytywnych akcentów gdańszczan w ostatnich kilku tygodniach.

Siatkarze Trefla Gdańsk nie mają ostatnio dobrej passy w PlusLidze, ale nie przeszkodziło im to w rozegraniu dobrego meczu w Pucharze Polski. Gdańszczanie pokonali w hali 100-lecia Sopotu Cuprum Lubin, z którym pięć dni wcześniej... przegrali w lidze.

Tym razem żółto-czarni wzięli rewanż, choć zaczęło się podobnie jak w Lubinie. Czyli pierwszy set dla Trefla, drugi dla rywala. Ale dalsza faza meczu przebiegała już pod dyktando gospodarzy, którzy zagrali w hali 100-lecia Sopotu pierwsze spotkanie od trzech lat. Trzeci i czwarty set padł łupem gdańszczan. Oba były wygrane do 22 punktów.



Gdańscy siatkarze grają w lidze słabo, ale odbili się nieco w meczu pucharowym

Tym samym Trefl awansował do ćwierćfinału Pucharu Polski. Spora w tym zasługa Bartłomieja Lipińskiego, zdobywcy 23 punktów. Nie bez powodu został uznany za MVP spotkania. Swoje dorzucili też skuteczni tego dnia Mariusz Wlazły i Mateusz Mika.

Trefl Gdańsk - Cuprum Lubin 3:1 (25:21, 22:25, 25:22, 25:22)

Trefl: Kampa 4, Urbanowicz 9, Mordyl 9, Mika 12, Wlazły 16, Lipiński 23, Olender (libero) oraz Łaba, Sasak, Kozub, Reichert

Cuprum: Sekita 0, Krage 14, Waliński 10, Gunia 10, Ferens 17, Kapica 18, Szymura (libero) oraz Gierżot 1, Stępień, Sas (libero)

W SKRÓCIE

Pilka ręczna

Wielkie emocje na mistrzostwach

Wczoraj, już po zamknięciu tego wydania gazety, zakończył się mecz Polska - Norwegia, który na mistrzostwach Europy otwierał przed naszymi szczyptami udział w drugiej rundzie turnieju. Przed zawodnikami selekcjonera Patryka Rombla jeszcze trzy niezwykle trudne spotkania. Dzisiaj o godz. 18 zmierzą się ze Szwedami, w niedzielę o godz. 15.30 czeka ich mecz z Rosjanami, a we wtorek o godz. 15.30 z Hiszpanami. Te mecze pokaże Eurosport oraz Metro TV.

Będę bardzo zadowolony, jeśli będziemy mogli skorzystać ze wszystkich zawodników. Wróćmy jednak do rzeczywistości. Chciałbym oglądać zespół, jaki widzieliśmy o tej porze, czyli walczący, nie poddający się, rywalizującego z przeciwnościami losu i przeciwnikiem. Tego nikt nam nie może odmówić - powiedział trener Patryk Rombel. **(RAF)**

Pilka nożna

Od 120 złotych za mecz Polaków w Chorzowie

Polski Związek Piłki Nożnej podał ceny biletów oraz harmonogram ich sprzedaży na mecz reprezentacji Polski na Stadionie Śląskim 29 marca. Tego dnia odbędzie się finał baraży o awans na mundial w Katarze lub mecz towarzyski. Biało-czerwoni zagrają więc ze Szwecją lub Czechami. Sprzedaż biletów rozpocznie się 10 marca. Będzie prowadzona tylko przez internet na stronie: bilety.laczynaspilka.pl. Nie będzie możliwości zakupu biletów w dniu meczu w kasach na stadionie.

Za bilety trzeciej kategorii trzeba zapłacić 120 złotych, drugiej 180 zł, a pierwszej 240 zł. Bilet rodzinny kosztuje 100+60 zł (opiekun + dziecko do lat 12), dla osoby niepełnosprawnej (na wózek inwalidzki z opiekunem) - 90 złotych. Osoba ze znaczną niepełnosprawnością z opiekunem (maksymalnie 176 miejsc) zapłaci również 90 złotych.

(AIP)

Lechia Gdańsk na ostatniej prostej zgrupowania w Turcji



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

Lechiści przygotowują się do wznowienia rozgrywek. Rundę rewanżową rozpoczną już 5 lutego meczem ze Śląskiem

Pilka nożna

Tomasz Galiński

tomasz.galinski@polskapress.pl

Już w poniedziałek piłkarze gdańskiej Lechii zakończą zgrupowanie w tureckiej Antalyi i udadzą się w podróż powrotną do Polski. W weekend biało-zieloni rozegrają dwa ostatnie sparingi.

To już ostatnie dni piłkarzy Lechii Gdańsk na tureckiej ziemi. Obóz w Antalyi zbliża się do końca, a do startu rundy wiosennej w PKO Ekstraklasie zostały już tylko nieco ponad dwa tygodnie.

Treningi urozmaicane relaksem na basenie

Przyjęło się mówić, że zimowe zgrupowania są dużo bardziej wymagające niż te letnie. Trener Tomasz Kaczmarek nie oszczędzał swoich zawodników, często ordynował dwie jednostki treningowe dziennie. Piłkarze spędzali czas głównie na boisku oraz siłowni, choć oczywiście wygospodarowali także momenty na relaks. Był

do dyspozycji basen, stoły do bilarda, piłkarzyki i innego typu rozrywki, z których gdańszczanie chętnie korzystali. Rzecz jasna w wolnych chwilach, których zbyt wiele nie było.

Odbłyły się też dwa sparingi, z których jednak nie można wyciągać daleko idących wniosków. Najpierw Lechia pokonała FC Botosani 3:2, a następnie przegrała z Czornomorciem Odessa 0:2. Tu trzeba dodać, że to drugie spotkanie zostało rozegrane w nietypowym systemie - cztery razy po 30 minut. Z Ukraińcami nie zagrali lekko kontuzjowani Michał Nalepa i Mario Maloca, natomiast urazy te nie wpłynęły mocno na ich dalszą pracę.

33 punkty po 19 meczach ma na koncie Lechia. Prowadzący Lech - 41

A skoro mowa o pracy, to w poniedziałek przygotowania wznowił drugi zespół Lechii. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że w zajęciach uczestniczyli Omran Haydary i Mateusz Żukowski, których przysłuszość w Lechii wciąż nie jest znana. W przypadku Afganczyka pojawił się temat transferu definitywnego do Wisły Płock. W kontekście Żukowskiego mówiło się o Legii Warszawa, natomiast w ostatnich dniach sprawa nieco ucichła. Z kolei w najbliższym czasie powinno zostać oficjalnie ogłoszone półroczne wypożyczenie Miłosa Szczepańskiego do Warty Poznań.

Conrado dotarł na ostatnie dni treningów w Turcji

Warto też zaznaczyć, że kadra Lechii powiększyła się, ponieważ w srodego późnym wieczorem na zgrupowanie w Turcji doleciał Conrado, który nie mógł podróżować wcześniej z całym zespołem z powodu choroby. Brazylijczyk dołączył na ostatnie cztery dni obozu

i być może dostanie szansę w dwóch ostatnich sparingach. Były plany, by do Lechii dołączył jeszcze środkowy obrońca Mateusz Cichocki, prezes Paweł Żelem sondował możliwość sprowadzenia go, jednak 29-latek najprawdopodobniej przedłuży kontrakt z Radomiakiem Radom. Tym samym Lechia w dalszym ciągu będzie zmuszona do poszukiwania stopera.

Przypomnijmy, że biało-zieloni zagrają w sobotę o godz. 15 sparing w Achmatem Grozny (7. zespół ligi rosyjskiej), a w niedzielę o 15.30 z Dinamem Batumi (mistrzem Gruzji z ubiegłego sezonu). Następnie Lechia wraca do Polski i będzie kontynuować przygotowania do rundy wiosennej na własnych obiektach.

Pierwszy mecz rundy wiosennej Lechia rozegra w sobotę, 5 lutego o godz. 20, a jej rywalem będzie Śląsk Wrocław. Kibice będą mogli zobaczyć na Polsat Plus Arenie Gdańsk, w jakiej dyspozycji są biało-zieloni. **(©)**

Dziennik Bałtycki

www.dziennikbaltycki.pl

DZIENNIK BAŁTYCKI

Adres redakcji: ul. Połęża 3, 80-720 Gdańsk, tel. 58 300 33 00, faks 58 300 33 03

Redaktor naczelny Artur Kielbasinski, 58 300 33 00, artur.kielbasinski@polskapress.pl

Zastępca redaktora naczelnego Mariusz Lesniewski (Tygodnik Trójmiasto), 502 499 036, m.lesniewski@prasa.gda.pl

Sekretarz on-line Anna Szalkowska, 502 499 023, t.kubik@prasa.gda.pl

Koordynator serwisów naszemiasto.pl Wojciech Sosnowski, 502 499 080, wojciech.sosnowski@polskapress.pl

Rejsy/Publicystyka Dariusz Olejniczak, 502 499 066, dariusz.olejniczak@polskapress.pl

Ekonomia Jacek Klein, 502 499 026, j.klein@prasa.gda.pl

Magazyn Rodzinny Anna Szalkowska, 502 499 031, anna.szalkowska@polskapress.pl

Sport Rafał Rusiecki, 698 635 661, r.rusiecki@prasa.gda.pl

Łączność z Czytelnikami 58 300 33 41

Poradniki, dodatki i edukacja Kamila Kubik, 514 800 986, k.kubik@prasa.gda.pl

Multimedia Kamila Benke, 58 300 33 22, k.benke@prasa.gda.pl

Prezes oddziału Polska Press w Gdańsku Tomasz Niski, 58 300 31 00

Biuro reklamy Joanna Gwiazda-Kozłowska
Biuro ogłoszeń (nekrologi, kondolencje), 58 300 32 17, 58 300 32 11

Kolportaż 58 728 08 17

Marketing marketing.gdansk@polskapress.pl

Prenumerata 58 728 08 17, bok.prenumerata@polskapress.pl. Prenumeratę można także zamówić za pośrednictwem urzędów pocztowych i w Internecie

e-wydanie: online.dziennikbaltycki.pl

DRUK Polska Press sp. z o.o. Oddział Poligrafia 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229; tel. 52 322 62 01, fax 52 552 41 41

Polska Press sp. z o.o. Oddział w Gdańsku należy do Grupy Wydawniczej Polska Press

© © - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.dziennikbaltycki.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

REDAKTOR PROWADZĄCY WYDANIE Mariusz Lesniewski

Polskie Badania Czyniłowia

Nakład Kontrolowany ZKOP

POLSKA PRESS GRUPA

WYDAWCA Polska Press Sp. z o.o. ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes zarządu Tomasz Przybek
Członek zarządu Dorota Kania
Członek zarządu Maciej Kossowski
Członek zarządu Miłosz Szulc

Dyrektor artystyczny

Tomasz Bochenński

Dyrektor marketingu

Ślawomir Nowak, slawomir.nowak@polskapress.pl

Dyrektor zarządzający biura reklamy

Maciej Kossowski

maciej.kossowski@polskapress.pl

Dyrektor kolportażu

Karol Wlazło karol.wlazlo@polskapress.pl

Agencja AIP

kontakt@aip24.pl

Rzecznik prasowy

Adrian Majchrzak, tel. 22 201 44 38, adrian.majchrzak@polskapress.pl